www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 44 (1034)
28.10-3.11.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

FRANCIS FUKUYAMA
NACJONALIZM CZEKA W POGOTOWIU

ROBERT WALENCIAK I JAKUB DYMEK
PiS BYŁO DO OGRANIA

HISTORIA LISTU BISKUPÓW POLSKICH DO NIEMIECKICH

USTAWY JAK ŚMIECI CZEGO NIE UCHWALIŁ SEJM

MEDIA

SŁODZIAKI WŁADZY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 44 >
9 771509 311904

Bartłomiej Topa

Sandra Koneniak

Andrzej Szeremeta

film
Piotra Subbotko

DZIURA W GŁOWIE

W KINACH OD 1 LISTOPADA

argoMEDIA DYSTRYBUTOR Holly Pictures PATRONI MEDIALNI Movieway GŁOS KULTURY IRKA charaktery Przegląd

eprasa.pl a9160c3526

CYTATY

WIESŁAW KOZIELEWICZ, **przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej**
Nie wierzę w możliwość sfałszowania w Polsce wyników wyborów parlamentarnych. Musiałoby w tym uczestniczyć kilkaset tysięcy ludzi.
„Dziennik Gazeta Prawna"

MAŁGORZATA FOREMNIAK, **aktorka**
Dopiero po pięćdziesiątce nabrałam dystansu do tego zawodu. Nie tyle pozbyłam się marzeń, ile złudzeń.
„Wysokie Obcasy"

JACEK KRZYSZTOFOWICZ, **teolog, psychoterapeuta**
Małe dziecko nie kupuje sobie smartfona w sklepie. Ktoś mu go do ręki włożył.
„Charaktery"

EWA LIPSKA, **poetka**
Artysta może wszystko, pod warunkiem że będzie to miało jakąś wartość.
„Polska Café"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Nie okradaj suwerena

Gwar jak w szkole na przerwie. Stroje wyjściowe. Wyczytywanie kolejnych nazwisk. Dyplom w okładkach. Uścisk ręki. Zdjęcie. I tak ponad 400 razy. Ten wstęp może zmylić czytelników, ale to nie jest relacja z inauguracji roku szkolnego czy akademickiego. Choć wręczanie zaświadczeń o wyborze do Sejmu miało wiele wspólnego ze szkołą. A na dodatek Sejm ma być dla nas prawdziwą szkołą demokracji. Ma być. Ale wiadomo, że nie jest.

Oglądałem długą relację z tej uroczystości w telewizji. I to z rosnącym zainteresowaniem. A to z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względu na prowadzącego ceremonię. Sędzia Wiesław Kozielewicz, przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej, ma niewątpliwie talent do robienia show. Wyraźnie lubi występy publiczne i kamery. Zadanie miał niełatwe, bo stawiła się zdecydowana większość z 460 posłanek i posłów. W tym takie primadonny jak prezes wiadomej partii, premier, szefowie partyjni i polityczni celebryci. Przewodniczący PKW nie dał im się przyćmić.

A drugim powodem zapatrzenia się na tę, nie tak przecież ważną, uroczystość była zwykła ludzka ciekawość. Zastanawiałem się, jak zagospodarują swoje parenaście sekund wybrańcy narodu. Patrzyłem na długi korowód. Od bardzo młodych, co do których mam wątpliwość, czy posłowanie nie jest ich pierwszą pracą, po mocno leciwych weteranów wielu kadencji. Mamy w Sejmie tylko 55 debiutantów. W tym ledwie kilkoro z potencjałem. Indywidualności pojawiły się głównie na lewicy.

Na Wiejskiej zdecydowana większość to karna armia głosująca tak, jak każe interes partyjny. Jeśli mają osobiste ambicje, to wiążą się z one z budowaniem pozycji w strukturach władzy. Albo zajęciem możliwie dobrego miejsca w peletonie walczącym o władzę.

I co ten staro-nowy parlament ma zmienić w życiu suwerena? Jak poprawi mankamenty funkcjonowania państwa? Kilkanaście milionów głosujących Polaków ma przecież swoje oczekiwania.

Sejm i Senat są więc na starcie w bardzo trudnym położeniu. I dobrze będzie, jeśli nie dorzucą do już rozpalonego pieca nowych problemów. To program minimum. Choć i to skromne oczekiwanie może być zbyt optymistyczne. Czarny scenariusz to pogłębianie procesów zawłaszczania państwa przez jeden obóz polityczny. I politycy zajmujący się głównie budowaniem osobistych wpływów oraz bogaceniem się na majątku państwowym. Piszę o tym, bo prawie żaden polityk nie protestuje przeciwko powszechnemu powtarzaniu, że w Polsce wszyscy z władzy kradną, a ci, którzy teraz rządzą, chociaż się dzielą. Może by na początek stworzyć jakiś ponadpartyjny blok niekradnących?

BĄKOWSKI

eprasa.pl a9160c3526

W NUMERZE

MEDIA

8 **Czy PiS zadusi media?**
– rozmowa z Jackiem Żakowskim

11 **Ciemny lud to kupił**
Prawicowe media pogardzają odbiorcami

KRAJ

16 **Małe błędy w wielkiej sprawie**
PiS można było ograć

20 **Ustawy do kosza**
Czego nie uchwalił Sejm

24 **Białorusie, doceń naszą gościnność**
Hejt na dziennikarza

26 **Wiedeńskie walce nad Wisłą**
60 lat Towarzystwa Polsko-Austriackiego

29 **Austriak w Warszawie**
– rozmowa z dr. Wernerem Almhoferem

40 **Tęcza nad Kościołem**
Katolicy LGBT+

ZAGRANICA

30 **Rewolucja w komunikacji**
Transportowa ekologia

56 **Handel przyszłością planety**
Nowe mapy handlu światowego

HISTORIA

32 **List biskupów polskich czy polsko-niemieckich?**
Konsultacje bp. Kominka

OPNIE

36 **Francis Fukuyama**
Socjaldemokracja w odwrocie

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

39 **OPZZ ma receptę na zdrowie**

SYLWETKI

44 **Jak pies z kotem**
O Januszu Kondratiuku

54 **Pamiętamy**

OBSERWACJE

48 **Kaczyński, Morawiecki i Trump wiersze piszą**
Poezja w polityce

58 **Spacerniak jak wybieg w Paryżu**
Wspomnienia więziennego klawisza

KULTURA

50 **Poszukiwany: Handke**

51 **Szymborskiej nikt nie odmawiał**

52 **Qulturalia**

66 **Vee Speers. Dystopia**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Nie okradaj suwerena

15 **Ludwik Stomma**
Próżny odpływ PiS

19 **Jan Widacki**
Co ma zrobić lewica?

23 **Roman Kurkiewicz**
Policja czy polucja?

43 **Tomasz Jastrun**
Przyjaciel lasu

47 **Wojciech Kuczok**
Brecht przez łzy

16
KRAJ

MAŁE BŁĘDY W WIELKIEJ SPRAWIE
PiS można było ograć

30
ZAGRANICA

REWOLUCJA W KOMUNIKACJI
Transportowa ekologia

40
KRAJ

TĘCZA NAD KOŚCIOŁEM
Katolicy LGBT+

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER,
PIOTR GRZYBOWSKI/SE/EAST NEWS,
TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl a9160c3526

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Wieś przeciwko sąsiadom

Czeskie spojrzenie na Jerzego Kosińskiego

Globalizacja nauczania, czyli szkoła w wielu językach

Historia: policja – od państwowej do granatowej

Narracja mniejszego zła trwa

Red. Jerzy Domański w komentarzu w 42. numerze PRZEGLĄDU pisze o okresie przejściowym. Skąd taki optymizm? To żaden okres przejściowy. Zawsze tak było, niezależnie od tego, kto rządził. Naród pokochał „numery" w wydaniu pana Gawłowskiego i został on senatorem. A dlaczego tak się stało? Dlatego że Lewica i Koalicja Polska (ugrupowania z zasadami) postanowiły nie wystawiać w okręgu koszalińskim kandydata do Senatu. Podejrzewam, że uzgodniono to z panem Schetyną. Dzisiaj to Gawłowski rządzi w Senacie. Jego Demokracja Obywatelska to mocarz z jednym mandatem. I nie przeszkadza to ani Lewicy, ani PSL. Toż trzeba pokonać PiS. Reszta nie ma znaczenia. Dla dobra sprawy o „numerach" zapomnimy. A w razie czego, dla dobra sprawy, uchylą mu immunitet czy nie? Czy w tej sytuacji jako nauczyciel wiedzy o społeczeństwie mam uczyć młodzież, że jest mniejsze zło? Zawiodłem się na Lewicy i to bardzo. PRZEGLĄD sporo pisał o „numerach" pana Gawłowskiego. I co z tego? Nic. Chyba Włodzimierz Czarzasty PRZEGLĄDU nie czyta. Lewica mogła mieć jeszcze jednego senatora. Gawłowski skromniutko wygrał z nikomu nieznanym lekarzem ze Szczecinka. Szkoda. Narracja mniejszego zła trwa.

MÓJ PRZEGLĄD
Jerzy Domański
Okres przejściowy

Wiktor Kamieniarz, Koszalin

W imię pamięci powstańców warszawskich

W 1948 r. podjęłam pracę w Komendzie Wojewódzkiej Powszechnej Organizacji „Służba Polsce" w Krakowie. Podczas wakacji zostałam wysłana z brygadą dziewcząt do Warszawy, do pracy przy budowie Trasy W-Z. Wraz z innymi brygadami stworzyłyśmy żeński batalion SP, dowodzony przez oficera Wojska Polskiego. Pewnego dnia dowódca wysłał mnie z grupą dziewcząt na Cmentarz Powązkowski w celu uporządkowania grobu Hanki Sawickiej. Na cmentarzu przyjął nas pracownik, który zapytał, czy nie chciałybyśmy przy okazji oczyścić grobów powstańców warszawskich. Groby te były porośnięte wysoką trawą, leżały na nich zeschnięte konary. Bardzo chętnie przyjęłyśmy tę propozycję. Dostałyśmy grabie, motyki i widły. W ciągu kilku godzin pięknie oczyściłyśmy mogiły powstańców. Pracownik cmentarza dziękował nam za to ze łzami w oczach, a dowódca batalionu udzielił pochwały, podkreślając, że nasza postawa była chwalebna.

Ada Żurawska, Kraków

Trzemeszno, nie Trzemieszno

W numerze 41. PRZEGLĄDU z felietonu Tomasza Jastruna dowiedziałem się, że był on w miasteczku Trzemieszno. W rzeczywistości miasteczko nazywa się Trzemeszno. Jedna litera, a wstyd spory.

Zdzisław Rojek

Od redakcji:
Czytelników przepraszamy.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Tęczowy Piątek 25 października. Manifestacja uczniów w obronie tolerancji przed Ministerstwem Edukacji Narodowej w Warszawie.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a9160c3526

154,5 mld zł zarobili w 2018 r. Polacy pracujący w krajach Unii. Najwięcej w Wielkiej Brytanii (prawie 35 mld zł), Niemczech (27 mld zł), Irlandii (2,7 mld) i Holandii (2,6 mld). **Do kraju wysłali z tego 15,6 mld zł. Najmniej od lat.**

236,5 tys. osób w wieku ponad 65 lat zaszczepiło się przeciwko grypie w sezonie 2018/2019, korzystając z refundacji kosztów.

Joanna Woś i Stanisław Kuflyuk zostali laureatami Teatralnych Nagród Muzycznych im. Jana Kiepury w kategorii najlepsi śpiewacy operowi. Najlepszym reżyserem został Maciej Prus, a Tadeusz Kozłowski najlepszym dyrygentem.

Aleksander Kaczorowski, autor książki „Ota Pavel. Pod powierzchnią" (wydawnictwo Czarne, Wołowiec) **otrzymał Górnośląską Nagrodę Literacką „Juliusz" za najlepszą biografię.**

Sławomir Litwin, wieloletni przewodniczący Społecznego Komitetu Obrony Nazwy ul. ZWM w Warszawie, z uporem i skutecznie walczył o utrzymanie nazwy, za którą optowała większość mieszkańców.

W Łodzi powstaje Ekumeniczna Szkoła Biblijna. Akt założycielski podpisali miejscowi przedstawiciele Polskiej Rady Ekumenicznej oraz abp Grzegorz Ryś, metropolita łódzki. Wykładowcami będą bibliści, teolodzy i duszpasterze różnych wyznań chrześcijańskich.

Premier Mateusz Morawiecki ogłosił przed wyborami, że budżet na 2020 r. będzie pierwszym bez deficytu, choć wiedział, że zamiast faktów prezentuje sztuczki księgowe z wpłatami z OFE i FUS.

Prezydent Duda uznał, że jawność majątków rodzin polityków mogłaby być kłopotem np. dla premiera Morawieckiego, i odmówił podpisania odpowiedniej ustawy. Skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego, który jest pod pełną kontrolą PiS.

Prokurator Renata Śpiewak podpisała się pod decyzją o odmowie śledztwa w sprawie Jarosława Kaczyńskiego oskarżonego przez Austriaka Geralda Birgfellnera **o niedotrzymanie umów w sprawie budowy dwóch wież w Warszawie.** Nie znamy wystarczająco krytycznych słów, by ocenić decyzję pani Śpiewak.

Poczta Polska zwolniła dyscyplinarnie Piotra Moniuszkę, przewodniczącego Wolnego Związku Zawodowego Pracowników Poczty, za to, że na facebookowym profilu napisał, że „możliwe jest złożenie wniosku do sądu o upadłość Poczty Polskiej".

IPN odtajnił materiały z 1990 r., podając personalia oficerów polskiego i amerykańskiego wywiadu i kulisy współpracy z CIA. Jeśli coś nas jeszcze dziwi w działaniach IPN, to jawne szkodzenie interesom USA.

PRZEBŁYSKI

Siedmioro Pawlickich na liście płac

Idąc tropem wielkiej kasy, jaka poszła na film „Legiony", którego producentem jest Maciej Pawlicki, zobaczyliśmy, że na liście płac jest tam siedem osób o nazwisku Pawlicki. 27 mln zł to horrendalna kasa jak na tak kiepski produkt. Nie pomagają filmowi rzewne opowieści promocyjne. Lud wie swoje. A teraz od nas dowie się, że wśród siódemki Pawlickich na liście płac „Legionów" są oprócz Macieja Pawlickiego jego żona Magdalena Pawlicka, brat Tadeusz Pawlicki, bratanek Antoni oraz Klara, Monika i Kamil. Stopnia pokrewieństwa tej trójki nie znamy. Podobnie jak jeszcze nie wiemy, kto z krewnych i znajomych królika robił przy tym filmie.

Tajny członek bez poparcia

Walczyli, jak umieli. Prof. Marek Rudnicki, kandydat PiS do Senatu w Warszawie, próbował skusić wyborców życiorysem kombatanta. Ujawnił, że w latach 80. „był członkiem tajnej KKK służby zdrowia (?) i kolporterem prasy podziemnej". Niestety. Nie udało nam się dotrzeć do źródeł. Rudnicki musiał być tak świetnie zakonspirowany, że chwalebne czyny ciągle są tajne. A szkoda. Bo zdezorientowane, by nie powiedzieć wprost, że ogłupione społeczeństwo prof. Rudnickiego nie wybrało.

Witucki się pochyla

Ludzie zarabiają na życie, jak potrafią. Niektórzy mają taki dryg do kasy, że dostają więcej niż setki ich pracowników. Razem wziętych. Nie dlatego przecież, że są superkompetentni. Ot, jedna z tajemnic biznesu. Ale podobno Polacy chcieli takiego wilczego kapitalizmu. Więc mają. I będzie tak, dopóki wkurzony lud nie wywróci tego koślawego stolika. A myśl o tym chodzi nam po głowie, gdy słuchamy takich mądrali jak Krzysztof Kilian, a ostatnio Maciej Witucki. To on szefował agencji pracy Work Service. Tej, co optymalizowała koszty, dostarczając firmom tanich pracowników. Ileż tam było płaczu, skarg i protestów. Witucki jest teraz prezydentem Konfederacji Lewiatan. I z troską pochyla się nad losem pracowników. Cudowna odmiana. Może jeszcze do OPZZ się zapisze?

Co dadzą Gryglasowi?

Mając poparcie 1011 wyborców, cztery lata temu Zbigniew Gryglas wjechał do Sejmu na plecach Ryszarda Petru (129 tys.) i wydawało się, że ma wobec Nowoczesnej wielki dług. Ale jak się kupuje kota w worku, to kot może nasikać do butów. Albo podrzeć firankę. Gryglas przebił tego kota. Po kabotyńskim występie w Sejmie z opaską Narodowych Sił Zbrojnych na ramieniu przeszedł do PiS. I jak każdy neofita bronił nowej matki żywicielki i każdej jej najgłupszej decyzji. Doczłapał do wyborów. Warszawiacy powiedzieli temu kotu: spadaj. Ale nie z Gryglasem taki numer. Zobaczymy, jaką fuchę PiS mu załatwi. Zdrajców muszą nagradzać, bo ciągle szukają nowych Gryglasów.

FOT. YOUTUBE (2), SEJM.GOV.PL, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a9160c3526

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czytam książki Olgi Tokarczuk, bo…

PROF. ZDZISŁAW JERZY ADAMCZYK,
historyk literatury

Przez długi czas powracały u nas wątpliwości, czy literatura, która wyrasta z narodowych dziejów, nie jest ograniczona w możliwościach docierania do odbiorców spoza Polski, z innych kręgów kulturowych. Okazało się, że pisarstwo Olgi Tokarczuk, tak głęboko zanurzone w naszych dziejach, tak wiele czerpiące z własnego podwórka, jakoś przebiło się do świata. Także z tego względu książki naszej noblistki zasługują na czytanie, a ona sama na podziw i wielką wdzięczność.

JOANNA SIKORZANKA,
dziennikarka, popularyzatorka literatury

Bo odpowiada mi jej sposób opisywania świata. Moja fascynacja powieściami Tokarczuk zaczęła się od książki „Prawiek i inne czasy", która ukazała się w 1996 r. W ramach jej promocji pisarka odwiedziła wtedy Łódź i miałyśmy okazję porozmawiać o sile wyobraźni, która jest „mostem pojednania między materią a duchem". Potem były „Gra na wielu bębenkach" i „Bieguni" – niezwykła podróż w czasie i przestrzeni, i w końcu fenomenalne „Księgi Jakubowe". Mądre, czasem przerażające, stawiające pytania, które nigdy nie tracą na aktualności. Opublikowano je w 2014 r., a w roku następnym Olga Tokarczuk znów odwiedziła Łódź, by wziąć udział w publicznym, tzw. performatywnym czytaniu jej książek, przygotowanym przez Kolektyw Szechiny. Wtedy znów się spotkałyśmy i miałam okazję przekonać się po raz kolejny, jak bliskie jest mi jej widzenie świata.

MARTA ZDANOWSKA,
Dom Literatury w Łodzi,
Kolektyw Szechiny

„A co by było, gdyby naprawdę otworzyć oczy?", pyta Olga Tokarczuk w „Księgach Jakubowych", imponującej narracji o herezji i przekraczaniu granic społecznych. To pytanie – na różne sposoby – wraca we wszystkich jej powieściach. Jest jedyną polską pisarką, która uparcie pokazuje, że poza „tu i teraz" istnieją także „inne czasy", metafizyka, która nie ma nic wspólnego z religią, duchowa podszewka świata. Przeczytajcie opowiadanie „Rubież", a zrozumiecie, że oficjalna historia człowieka i narracje religijne składają się z fragmentów pokawałkowanych historii. Nikt już nie wie, jak było „naprawdę". Ale też nikt tak jak Olga Tokarczuk nie składa tych fragmentów w spójną całość: przywracając historie kobiet i kosmogonie bogiń, odkrywając głosy zwierząt, a wreszcie opowiadając nam o nas samych. I otwierając nasze oczy na niepokojącą dziwność istnienia.

GRZEGORZ BOŻEK,
miesięcznik „Dzikie Życie"

Czytam książki Olgi Tokarczuk, bo dają czytelnikowi szansę na spotkanie z tematyką ekologiczną, rzadko obecną w literaturze. Taka jest choćby powieść „Prowadź swój pług przez kości umarłych", na podstawie której powstał film „Pokot". To oczywiście tylko literatura albo tylko film, ale one kształtują postawy ludzi, np. wobec tak kontrowersyjnej aktywności, jaką jest łowiectwo.

GRAŻYNA GRAMZA,
czytelniczka PRZEGLĄDU

Bo lubię, jak ktoś pokazuje świat z innej strony. Nie wszystkie książki Olgi Tokarczuk mi się podobały, ale każda, którą przeczytałam, była interesująca.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl a9160c3526

Czy PiS zadusi media?

Oni mają do mediów taki stosunek jak do puszczy – wyciąć i zasadzić od początku

Rozmawia Robert Walenciak

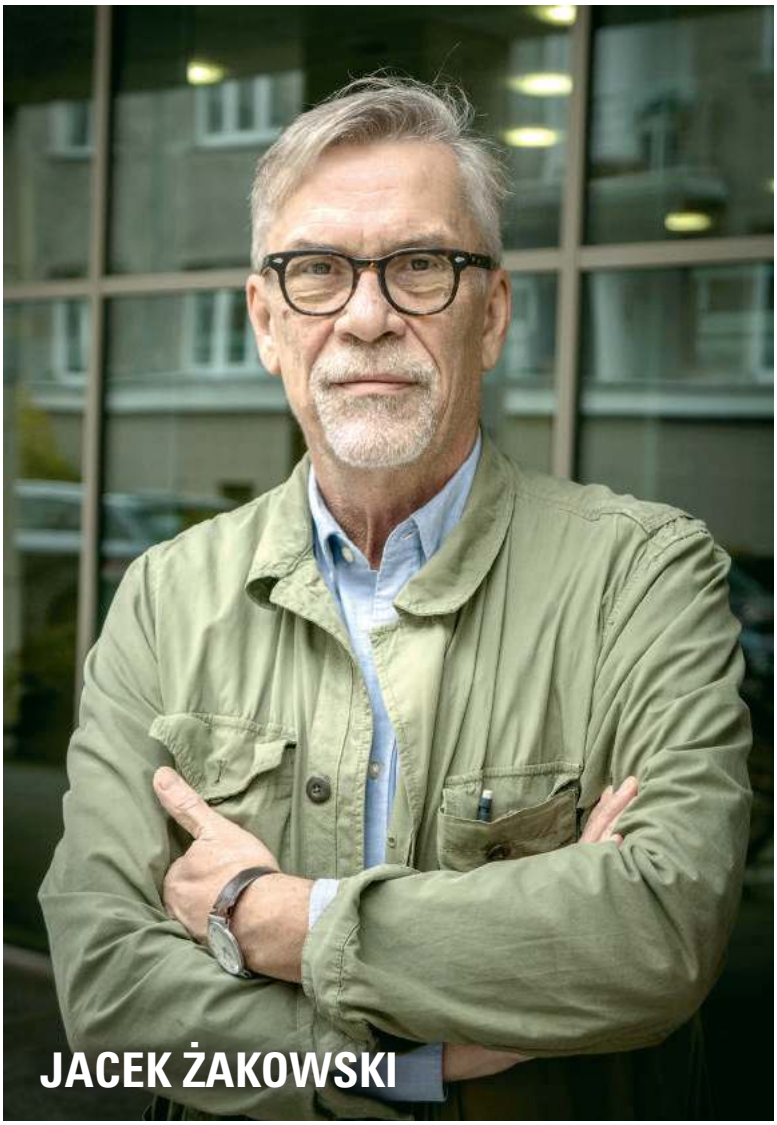

Czy PiS zadusi media?

– Chciałoby!

Da radę?

– Myślę, że jest to formacja schyłkowa, która głównie będzie potykała się o własny ogon. Będzie szkodziła, oczywiście. Ale z rosnącym kosztem i z umiarkowanym sukcesem. A poza tym, wydaje się, że nie zdążą zbudować i nie dadzą rady zbudować na tyle funkcjonalnego autorytaryzmu, żeby wyhamować fenomen nowych mediów. Nawet jeżeli jakimś sposobem zamordują „Politykę", „Agorę", TVN, „Newsweek" i różne media, które im się nie podobają, to pozytywny efekt dla nich będzie bardzo ograniczony.

Dlaczego?

– Bo te media nie są dla nich groźne. Oni potrafią – prawica i w Polsce, i w innych krajach – neutralizować je niebywale skutecznie za pomocą nowych mediów. A my nie umiemy się przed tym bronić.

Chodzi o media społecznościowe.

– Wszystko razem! Google, śmugle… Tu oni mają cały czas taką przewagę, że nie muszą neutralizować mediów tradycyjnych, które ich krytykują.

A oni ciągle mówią: nie mamy mediów! One są przeciwko nam!

– Bo mają do mediów taki stosunek jak do puszczy – wyciąć i zasadzić od początku. No to nie będzie puszcza, tylko las przemysłowy czy jak to się nazywa. I to już nie będą media, tylko biuletyny propagandowe. A to jest coś zupełnie innego! Mam wielu kolegów, którzy odeszli z dziennikarstwa, pracują w *custom publishing* i robią biuletyny – dla linii lotniczych, hoteli i kogo tam jeszcze. Ale to nie jest dziennikarstwo. To tylko fizycznie wygląda podobnie. Różnica jest taka jak między natryskiem a komorą gazową.

Ale wiedzą, że dzięki publicznej telewizji wygrali wybory.

– Ja się z tym nie zgadzam! To jest pocieszanie się. Jakbyśmy mieli Jacka Kurskiego, tobyśmy im dali! Jakbyśmy byli tacy prostaccy i chamscy jak oni, tobyśmy im dali! To jest próba uniewinnienia Grzegorza Schetyny. Oczywiście, że media publiczne miały jakieś znaczenie, ale żeby był to decydujący czynnik… Przestrzegam przed takim pocieszaniem się. PiS wygrało polityką, a nie mediami.

To czego oni w takim razie chcą od mediów?

– A! Bo tam jest cała masa głupków, którzy tego nie rozumieją, którzy myślą w XIX-wiecznych kategoriach. Podobnie jak po naszej stronie. Co Kapuściński pisał o zamachach? Zawsze zaczynały się od ataku na stację telewizyjną.

Od jej przejęcia.

– No, proszę bardzo, zdobądźmy telewizję publiczną. I co? Elektorat nagle przesunie się na lewą stronę? Mieliśmy w rękach telewizję publiczną, że tak powiem, i PiS wygrało.

eprasa.pl a9160c3526

Więc to jest takie gadanie. Natomiast to jest groźne w długim okresie. Media państwowe są na tyle silne, że potrafią narzucać standardy. Zarażają swoim paskudztwem wszystkich, całą Polskę, i w dłuższym okresie to paskudztwo jest śmiertelnie groźne, bo my się stajemy coraz gorszymi ludźmi – jako społeczeństwo, jako dziennikarze… Bo jak nam się rzucają do gardła, to musimy im oddać, nie ma siły. Wszyscy się tak staczamy i degenerujemy. To jest groźne. Można powiedzieć: przedtem była telewizja dla idiotów, teraz jest telewizja dla hiperpatriotów. Tamta też nie była dobra. Taniec z gołą pupą na lodzie.

To było marne.

– Kiepskie to było. Oczywiście to nie było tak chamskie i wulgarne jak teraz. Bo teraz oni przekroczyli wszystko.

To ważne?

– Tak! Media są bardzo ważne, podobnie jak religia, filozofia, kultura, szkoła… W dłuższych okresach. Z godziny na godzinę to nie działa.

PiS robi, to co zapowiada. A jak mówi, że weźmie się za media, to się weźmie.

– Tyle rzeczy zapowiadało i nic! Dlaczego więc tak poważnie ich traktować? Przecież mieli produkować śmigłowce z Ukraińcami. Milion samochodów elektrycznych. Dużo takich pomysłów było.

Zachowuje się racjonalnie?

– On nawet zachowuje się szlachetnie. Bo kiedy mnie wyrzucali z Superstacji, to nie było tak jak wtedy, gdy rząd Olszewskiego wyrzucał mnie z Interpressu, że jeszcze musieli okleić mnie brudem, że nieudolny, że do bankructwa prowadzi. Tu było kulturalnie. Podziękowanie, odprawa. Nie mogę mieć pretensji. Bo jako obywatel dopuściłem do tego, że takie patologiczne konstrukcje zostały systemowo wprowadzone.

Nikt nie jest bezpieczny, dopóki rządzi PiS.

Ale TVN nie zrobią chyba krzywdy. No bo jak mogą zrobić? Amerykańskiej firmie?

– Eeee... Mnie się wydaje, że na tę Amerykę nie ma co liczyć. Jak w sprawie Kurdów. Tak naprawdę nikt nie jest bezpieczny, dopóki rządzi PiS. Jedyną naszą nadzieją, gwarancją naszego bezpieczeństwa jest to, że oni mają dwie lewe łapy i potykają się o własne ogony. Gdyby nie to, już byśmy byli zaorani kompletnie. Bo na opozycję też nie bardzo można liczyć, także ma długie ogony, o które się potyka.

Uff. I tak źle, i tak niedobrze.

– Ale ja teraz nie jestem tak pesymistyczny, jak pół roku temu! Po tych wyborach Kaczyński jest w bardzo trudnej sytuacji, taki ma wewnątrz układ sił. I 80% albo nawet 90% jego energii będzie szło na opanowanie własnego środowiska. To tak jak Platforma w mijającej kadencji – kiedy woziła się głównie ze sobą i z tymi, którzy chcieli jej pomagać. Myślę więc, że media przeżyją.

Jedyną naszą nadzieją, gwarancją naszego bezpieczeństwa jest to, że oni mają dwie lewe łapy i potykają się o własne ogony.

Ale Polsat potrafili przycisnąć.

– Nastraszyli Zygmunta Solorza. Przecież myśmy o tym debatowali długo w latach 90. – czy jest dopuszczalne, żeby właścicielem kluczowych mediów koncesjonowanych było przedsiębiorstwo mające interesy w innych branżach.

Żeby było wolne od nacisków.

– Debatowano o tym. Bez efektów. I mamy efekty takiego czysto komercyjnego podejścia. Ja bardzo szanuję Zygmunta Solorza, on robił wszystko, co jest możliwe, w tej roli, w której się znalazł. Próbował jakiegoś pluralizmu, więc go przycisnęli. A on nie może ryzykować, że kopalnia czy bank mu padnie, dlatego że jakiś debil kłapie sobie na antenie byle co.

Ale będą poturbowane. Wielu spotka krzywda.

– Krzywda… Ile osób straciło pracę przez nieuczciwą dystrybucję reklam! Ilu wybornych dziennikarzy albo odeszło z zawodu, albo jest gdzieś na marginesie! Albo szuka jakichś chałtur, żeby przetrwać. To są straty dla kultury. Narobili więc szkód. Poza tym – standardy… Ludzie zagrożeni egzystencjalnie zaczynają przyjmować inne standardy. To też jest groźne. Natomiast nie wyobrażam sobie, żeby „Politykę" mogli zabić. Osłabić – to jeszcze może się udać.

Zabiorą jej reklamy.

– Reklam tam już nie ma.

Procesami będą gnębić.

– Kto chce psa uderzyć, zawsze kij znajdzie. Ale nie tylko PiS osłabia media. To są procesy cywilizacyjne. 10 lat temu szedłem do naczelnego i mówiłem: „Chcę lecieć do Stanów, jest ważny temat". A on pytał: „Ile ci trzeba?". Ja wymieniałem jakąś kwotę, na trzytygodniową podróż po Ameryce, on podpisywał. I szło. Wynajmowałem samochód, jechałem kilkaset kilometrów od jednego rozmówcy do drugiego. Hotele, wszystko. Gdybym dziś poszedł z taką propozycją… Kaftan na pewno by wyciągnęli!

Ta władza ma przecież potężne fundusze. Jest Fundacja Narodowa, która może wykupywać. Mają banki. Tak jak na Węgrzech – odkupią media.

– Są takie rzeczy, które mogą wykupywać. Bauer, RMF – to są komercyjnie zorientowane przedsiębiorstwa. Jak się je dociśnie. Ale też, wydaje mi się, że październikowe wybory bardzo dużo zmieniły. Powstało poczucie, że ta władza nie jest wieczna. Ono powstało po naszej stronie, ale także po ich stronie. W związku z tym ich działania będą zupełnie inne. A trzecia rzecz – taki właściciel RMF, gdy przyjdą do niego i powiedzą: „No, tutaj żadnych reklam pan nie dostanie, wie pan dlaczego…", on im odpowie: „No dobra, ja to przetrzymam, spokojnie, chłopaki, a potem was nie będzie". Może jeszcze im nawet powiedzieć: „Jeżeli wy tak zagrywacie, to wam przyładuję, przyśpieszymy ten *exit*!". Więc jak oni szli wcześniej np. do Solorza, to on był w beznadziejnej sytuacji. A teraz już nie! Teraz patrzy w kalendarz i pyta: „To ile wam zostało, chłopaki? Może mnie stać, żeby przetrzymać?". Będzie im więc trochę trudniej.

A niezależnym mediom łatwiej?

– Tak mi się wydaje, bo w miarę jak władza PiS będzie słabła, jej przyszłość będzie coraz bardziej niepewna, łatwiej będzie pozyskiwać reklamy z sektora prywatnego. Będzie

eprasa.pl a9160c3526

trochę mniej strachu, a więcej nadziei. Za to dużo papieru będzie wylatywało ze środowisk pisowskich, będą zasypywali nas kwitami. To już się zaczęło. A Banaś? Widać, że w jego sprawie toczy się walka wewnątrz PiS. Natomiast widzę dużo poważniejszy problem – czy media będą w stanie odbudować choćby te standardy, które obowiązywały na początku lat 90.? Nie mówię o standardach ekonomicznych, bo już takiego bogactwa nie będzie. Ale o kulturowych.

Za dużo rzeczy już się wydarzyło. Ludzie za bardzo się poobrażali.

– Tu jest inny problem, czy takie minimum standardów dziennikarskich jest jeszcze w nas. W redakcjach, w naszej kulturze korporacyjnej? Czy jest tego tyle, żeby stworzyć media, które nie byłyby istotnie gorsze od mediów niemieckich? Więcej nie wymagam. Ale też mówię o takiej zasadzie – wierności odbiorcy. Tylko interes odbiorcy mamy prawo reprezentować.

Media zostały skłócone także z powodu pieniędzy. Pieniądze spółek skarbu państwa, które szły do Agory czy „Polityki", władza pisowska przesunęła do „Sieci" czy „Gazety Polskiej".

– Muszę zaprotestować! To jednak na poprzednim okrążeniu nie było aż tak wulgarne! To nie były takie pieniądze. I przede wszystkim inaczej to wyglądało. Jak? Podam znamienny przykład. W czasach rządów Platformy Obywatelskiej Towarzystwo Dziennikarskie zwróciło się do ówczesnego ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego o stworzenie transparentnego systemu przepływów finansowych między instytucjami państwowymi i publicznymi, spółkami skarbu państwa a mediami. Żeby było widać każdą złotówkę. Na bieżąco. Że jak są środki na promocję, żeby były podane kryteria rozdziału, żeby to było transparentne. Zdrojewski to zignorował. I czy ktoś teraz się spodziewa, że Sakiewicz z Karnowskimi zwrócą się do Glińskiego, żeby zrobił coś takiego, jak już doczyta Tokarczuk? Do łba im to nie przyjdzie! I to jest problem. I myślę, że dziś, po naszej stronie, już mniejszej grupie osób przyszłoby to do głowy. Oni nas zepsuli. Gdybym teraz zaczął podnosić, że jak w Polsce będzie demokracja, zróbmy właśnie tak, transparentnie, usłyszałbym: „Chyba zwariowałeś! Oni kradli przez tyle lat i co, teraz z nimi chcesz się dzielić sprawiedliwie? Z tymi złodziejami?".

PiS wygrało wybory dzięki polityce, a nie dlatego, że ma TVP z prezesem Jackiem Kurskim.

Też sądzę, że takie reakcje by dominowały.

– Więc jak to miałbym tłumaczyć moim kolegom?

Że musi być czytelny system rozdziału pieniędzy.

– To usłyszę – najpierw się obłapmy, a dopiero potem dzielmy sprawiedliwie… Mam wrażenie, że problem nie polega na tym, że PiS jest złe, bo PiS jest złe. I jest tak złe, że będzie musiało odejść. Problem polega na tym, że jego zło jest zakaźne.

„Sieci", „Do Rzeczy", „Gazeta Polska"… Patrząc na różne zestawienia, widzę, że oni notują po 60-70 mln zł wpływów reklamowych, z tego po kilkanaście milionów od spółek skarbu państwa. To niewyobrażalne kwoty. Ale nie widać tego na łamach. Oni piszą ciągle na takim samym poziomie.

– Te wypracowania… Ale to jest też taka koncepcja mediów prawicowych, tożsamościowych, że dają ludziom poczucie tożsamości, więc informacja ma drugorzędne znaczenie. One odgrywają też rolę mobilizacyjną, przełamują samotność. Takie to dziennikarstwo.

Może więc niech PiS przyjmie tę ustawę o mediach, o której mówi, i niech będzie samorząd dziennikarski, który będzie decydował, kto może być dziennikarzem, a kto nie?

– Ideowo jestem za tym. Ale nie z szulerami! Bo to jest problem Polski – wiadomo, że trzeba zreformować sądownictwo, ale nie powinni tego robić szulerzy. Wiadomo, że trzeba się zająć upodmiotowieniem słabszej części społeczeństwa – ale nie powinni tego robić oszuści. I tak dalej. W sensie systemowym PiS w wielu sprawach ma bardzo dużo racji.

Zadaje dobre pytania, tylko udziela złych odpowiedzi?

– Właśnie tak! I to jest problem. I z mediami też tak jest. Ich wsparcie jest konieczne. System medialny jest częścią systemu demokratycznego – jak sądy, edukacja, kultura itd. I jeżeli jest kryzys systemowy, państwo powinno finansować media z publicznych środków, bo jest potrzebny. Jak to zrobić w kraju tak spolaryzowanym? I jeszcze nauczonym, że każdy drapie, ile może? Trudne to.

Czyli znów szulernia?

– Nie... Wychodzimy z epoki neoliberalizmu, gdzie podstawową wartością jest sukces materialny. Na nim oparta jest konstrukcja cywilizacyjna. Jeżeli więc masz sprzeczność między tą podstawową wartością cywilizacyjną a innymi, to one słabną. W taki sposób osłabła spójność społeczna. W tym tzw. standardy dziennikarskie.

Zaskakuje mnie podczas naszej rozmowy pewność, z jaką pan mówi, że PiS to formacja schyłkowa. Dlaczego pan uważa, że oni przerżnęli? Że to już ich ostatnie lata?

– Bo zaczął się proces ich dezintegracji wewnętrznej. Moja teza, żelazna, jest taka, że siły autorytarne muszą się rozbić od środka. I to ruszyło. Gowin występuje w roli Gorbaczowa, Ziobro to jest Janajew… I jest ten towarzysz Breżniew, który sobie urzęduje na Nowogrodzkiej. Ten schyłek to już tylko kwestia czasu.

Robert Walenciak

Media państwowe zarażają swoim paskudztwem wszystkich, całą Polskę.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl a9160c3526

Ciemny lud to kupił

Autorzy i wydawcy prawicowych mediów myślą o swoich czytelnikach i odbiorcach tak samo źle jak „liberalne elity III RP", jeśli nie gorzej

Jakub Dymek

Stawiam się rano w „zrepolonizowanym" przez rząd Polskim Radiu. Tradycyjnie legitymuję się przy wejściu, widząc przed sobą plecy pędzącego publicysty prawicy. „Przepraszam, a jak ten pan się nazywa? Może pan wie…", pyta mnie pracowniczka ochrony pilnująca wejścia do państwowej rozgłośni. Mówię, że owszem, i podaję nazwisko mojego współrozmówcy w programie, który za chwilę zaczniemy. „Ach, no widzi pan, bo ja się już boję pytać go o nazwisko, dokumenty czy cokolwiek – strasznie napastliwy człowiek, taki agresywny".

No cóż, nie był to jedyny raz, gdy medialna prawica „wchodzi jak po swoje", maluczkim pokazując wyłącznie plecy. A powyższa anegdota, niestety, to symbol szerszego zjawiska. Ale zacznijmy od początku.

Pogarda i samobiczowanie

„Elity gardzą Polakami" – znacie państwo to hasło? Wśród wielu mitów polskiej polityki ten o pogardzie warszawskich elit wobec „zwykłych ludzi" jest jednym z najtrwalszych. I być może nie powinno to dziwić, skoro raz po raz ktoś dokłada do niego swoją cegiełkę – a ogień hejterskich dyskusji w internecie rozpala się ostatnio coraz żywszym płomieniem. Ojkofobia – termin wprowadzony do dyskusji przez Jarosława Kaczyńskiego, oznaczający nienawiść do swoich – robi zawrotną karierę. Nienawidzimy się w Polsce wszyscy, dlaczego więc nie dać wiary, że elity (koniecznie z dopiskiem liberalno-lewicowe czy salonowe) nienawidzą ludzi szczególnie mocno?

Pierwszy z brzegu przykład: aktor Jerzy Stuhr udziela Tomaszowi Lisowi wywiadu, w którym rzekomo padają słowa o wyborcach PiS jako potomkach chłopów pańszczyźnianych (jakbyśmy wszyscy nimi nie byli). Stuhr tłumaczył, że w każdej grupie – wśród niegdysiejszych zniewolonych chłopów i wśród dzisiejszych inteligentów – są tacy, którzy domagają się najostrzejszej możliwej zemsty, żyją wręcz wizją odwetu za upokorzenia i niepowodzenia. „Znam ludzi bardzo inteligentnych, wykształconych, którzy mają kompleks odwetu (…) za to, że innym się szybciej udało, że są bardziej lubiani. Różne rzeczy na to wpływają", mówił.

Na wypowiedzi Stuhra natychmiast rzuciły się wszystkie „niepokorne" portale internetowe i media prawicy – w tym, trzeba je przecież wliczyć teraz w ten poczet, te do niedawna publiczne. „Stuhr powinien przeprosić", otwarcie wyrażała oczekiwania rządzących TVP Info. Tygodnik „Do Rzeczy" donosił o „szokującej rozmowie" Lisa ze Stuhrem. „Nie do wiary!", pisała Niezależna, „Co za pogarda!", krzyczało wPolityce.pl braci Karnowskich. Oburzenie było powszechne.

Uwagi te – podobnie jak liczne wypowiedzi i wywiady Agnieszki Holland, prof. Wojciecha Sadurskiego, Andrzeja Saramonowicza i innych „celebrytów III RP" – zostały zarówno na lewicy, jak i na prawicy uznane za przejaw elitarnej pogardy, ojkofobii, odklejenia i pychy. Jan Śpiewak, były kandydat ruchów miejskich na prezydenta Warszawy, napisał parę miesięcy temu, że elity III RP mają do ogromnej części społeczeństwa stosunek rasistowski. Duża część lewicy, szczególnie młodej, podziela dziś tę diagnozę, gdy czyta powyborcze komentarze Krystyny Jandy albo Dominiki Wielowieyskiej.

Publicysta Gazety.pl Michał Gostkiewicz pisał gorzko i wprost: „Tak, polskie elity przez lata pogardzały słabszymi, wyrzuconymi na margines transformacji. Tak, uznały wyborców PiS za gorszych, słabiej radzących sobie w świecie. I słusznie oberwały prawym sierpowym w wyborach". Prawica wykorzystała tę diagnozę.

Michał (z lewej) i Jacek Karnowscy.

Karnowscy, którzy lata przepracowali w koncernie Axel Springer czy polskiej sekcji BBC, nagle postanowili grać zbrzydzonych zachodnimi wzorcami zaściankowych patriotów.

eprasa.pl a9160c3526

Na portalu wPolityce.pl jest specjalna kolumna – pod znaczącym tytułem „Czyżby obłęd?" – w całości zapełniona cytatami z polityków opozycji, aktorek i liberalnych komentatorów, które mają obnażać ich odklejenie od rzeczywistości, pogardę i poczucie wyższości. „Mają Polaków za idiotów?!", „Pogarda mędrca opozycji?", „Dziennikarka przedstawia Polskę jako patologię" – to typowe tytuły. Część zebranych tam wypowiedzi jest prawdziwa (i prawdziwie kompromitująca), część to zwyczajne przejęzyczenia czy wyrwane z kontekstu słowa, które dopiero ubrane w szokujące i krzykliwe tytuły brzmią kontrowersyjnie.

Cezary Gmyz opublikował pod koniec października 2012 r. głośny tekst „Trotyl na wraku tupolewa".

Prawie wszyscy uważali siebie za mądrzejszych od ludzi, do których piszą i mówią – choć niektórzy z biegiem lat nauczyli się kamuflażu doskonałego.

Czy więc Stuhr naprawdę powiedział to, co jego krytycy myślą, że powiedział, jest tu bez znaczenia. A sam wywiad – skądinąd średnio udany – z wybitnym aktorem stanowi przecież wyłącznie pretekst. Rządzący potrzebują „odklejonych" i „pełnych pychy" elit – tak jak potrzebują rozhisteryzowanych i kipiących (często udawanym) oburzeniem nagłówków z cyklu „Jak on śmiał?!". Bo gdyby nie one, mogłoby się okazać, że w stosunku do „ciemnego ludu" medialna prawica nie jest wcale lepsza.

Jeśli bowiem ktoś myśli, że w Polsce monopol na „elitaryzm" mają środowiska wrogie PiS, poważnie się myli. Tym, co różni PiS i anty-PiS, jest nie stosunek do współobywateli, lecz skuteczność propagandy.

Z góry widać więcej

Dlaczego? Bo wyższościowy stosunek do wyborców PiS i czytelników prawicowej prasy jest absolutnie symetryczny po obu stronach. Żeby ująć to prościej: autorzy i wydawcy mediów tożsamościowych po prawej stronie myślą o swoich czytelnikach i odbiorcach tak samo źle jak „liberalne elity III RP", jeśli nie gorzej.

Mówiąc delikatnie, nie mają swoich odbiorców za ludzi pojętnych, lubiących niuanse, wyposażonych w narzędzia skomplikowanej analizy, wrażliwych, wykształconych, myślących samodzielnie. Patrzą na nich… no cóż, jak na ciemny lud. Oczywiście tak jak monolitem nie jest obóz liberalno-lewicowy, stuprocentowo zgodna nie jest w diagnozach i postawach prawica – są tam i prawdziwi elitaryści, ale są i tacy, którzy w swojej swojskości i „chłopomanii" są szczerzy. Jedni ani drudzy nie stronią jednak od wykorzystywania swojego „ludu" instrumentalnie.

Skąd to wiem i czy mam na to dowody? Owszem i sądzę, że całkiem poważne. Podczas pisania książki o prawicy, „Nowych barbarzyńców", nie tylko studiowałem stare numery prawicowych tygodników i oglądałem filmy dokumentalne o katastrofie smoleńskiej. Od kiedy Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory, a prawica przejęła stery w mediach, spotykałem się na wielogodzinne rozmowy z wieloma redaktorami, dziennikarzami i publicystami strony konserwatywnej. Z umiarkowanymi i prawdziwymi „pistoletami". Zarówno na taśmach, jak i *off the record* wyjaśniali mi swoją drogę zawodową, filozofię ich gazet i środowisk, opowiadali o podejściu do czytelników i mediów. Jednym z refrenów w tych rozmowach było twierdzenie, że oni przecież są cywilizowani, z każdym napiją się dobrej whisky, czytają też „Krytykę Polityczną" – ale to, co myślą i jak zachowują się prywatnie, i to, co „muszą" do swojego „ludu" pisać, to dwie zupełnie różne historie.

Wielu mówiło mi wprost – nawet jeśli nie zawsze do mikrofonu – że specjalnie upraszczają przekaz, posługują się językiem bardziej nasyconym nacjonalistycznie i ksenofobicznie, że uwalniają swojego „wewnętrznego kołtuna", piszą prosto i dosadnie, stosując wiele powtórzeń i zabiegów mnemotechnicznych. Bo tak widzieli swoich czytelników. Wyobrażali sobie, że gdyby zaczęli w publicystyce wyrażać poglądy zniuansowane i niejednoznaczne – czytelnicy nie pojęliby, o co chodzi, i się zniechęcili. Pluralizm na prawicy (który, wbrew pozorom, istnieje!) należy trzymać w ryzach, aby w kluczowych sprawach nie burzyć zwartego frontu i by w ostatecznym rozrachunku przekaz był maksymalnie jednolity.

Lista dziennikarzy „niepokornych" tygodników, którzy w przeszłości pracowali w mediach „polskojęzycznych", jest naprawdę długa.

Paweł Lisicki, twórca sukcesu pism „Uważam Rze" i później „Do Rzeczy", tłumaczył (także w wywiadach udzielonych Ewie Wanat czy Piotrowi Gursztynowi), że czytelnicy konserwatywnej prasy są jak „armia

eprasa.pl a9160c3526

zgromadzona pod sztandarem, który wyznacza [dla nich] prawdę i fałsz". Gdy mówi się do karnych oddziałów, należy unikać zbyt pogmatwanych komunikatów.

Część kluczowych postaci medialnej prawicy nie zgodziła się ze mną rozmawiać, fakt. Ale w wywiadach z okolic roku 2011, kiedy jeszcze nie wiedzieli, że za mniej niż pięć lat sami będą mainstreamem, otwarcie przyznawali, że ich czytelnicy nie są zbyt wyrafinowani. Prawie wszyscy uważali siebie za mądrzejszych od ludzi, do których piszą i mówią – choć niektórzy z biegiem lat nauczyli się kamuflażu doskonałego. Jak to się stało? Oto krótka historia z morałem.

Lemingom hańba

Gdy w 2011 r. wystartował tygodnik „Uważam Rze", jego premierę poprzedziły drobiazgowe badania rynku i wielka, ogólnopolska kampania reklamowa zrealizowana przez jedną z najbardziej prestiżowych światowych agencji – za co zapłaciła wtedy redakcja matka debiutującego tygodnika, czyli „Rzeczpospolita".

Twórcy pisma – przede wszystkim Paweł Lisicki, redaktor naczelny, z zespołem współpracowników – mieli ambicje stworzenia tygodnika elitarnego. To znaczy pisma od liderów opinii prawicy, jej najpopularniejszych dziennikarzy i publicystów, za wielkie, komercyjne pieniądze, dla elit lokalnych – najbardziej zaangażowanych i świadomych odbiorców konserwatywnego przekazu w Polsce, często w mniejszych ośrodkach.

To w „Uważam Rze" ukazał się przecież głośny tekst Roberta Mazurka o lemingach, w którym wyborców Platformy i liberalnych mieszczuchów „dekonspirowano" jako prostaków bez gustu, którzy nie wiedzą, jak wymówić nazwę pitego wina. Lemingi z tekstu Mazurka jeżdżą toyotą auris (w jej obronie „są gotowe wywołać powstanie"), mają rodziców w Parczewie i snobują się, pijąc „czianti" czy „macciato". Kumplują się też z „lesbijką albo żydem" – pisał dalej Mazurek – ale tylko po to, by ukryć wieśniackie zakompleksienie. Jeśli to nie był elitaryzm – to nie wiem, co nim jest. Co ciekawe, wtedy Krzysztof Kłopotowski, konserwatywny krytyk filmowy (dziś w TVP Kultura), przestrzegał swojego kolegę przed pychą i pogardą dla polskiego mieszczanina, niezależnie od jego gustów – wszak i to może potencjalny wyborca prawicy. Czas pokazał, kto miał w tamtym sporze rację.

Ówczesna retoryka prawicy, dodajmy, w ogóle chętnie sięgała do szlacheckich, wielkopańskich i snobistycznych odwołań. Wielu publicystów stylizowało się na wiernych kontynuatorów tradycji II RP, współczesnych endeków i arystokrację ducha. Przypomnijmy, że zanim ogólnopolską karierę zrobił kult „wyklętych", niezwykle popularne było na prawicy podłączanie się pod tradycje Armii Krajowej i jej dowódców – nie chłopców z lasu, jak „wyklęci", ale największych mężów stanu i bohaterów Rzeczypospolitej. Jeszcze inni odgrywali przed publicznością role wybitnych smakoszy (lub faktycznie nimi byli): wina i innych trunków, literatury, tradycyjnej polskiej kuchni. I pewnie tak by to wyglądało – nudnawe wywiady z politykami, eseje Horubały i Ziemkiewicza obok felietonów Pawła Lisickiego i Bronisława Wildsteina, debaty o Kościele i wierze... wszystko w równie patetycznym sosie. Byłoby, gdyby nie tekst o trotylu Cezarego Gmyza i ostateczny upadek rządów prawicy w dzienniku „Rzeczpospolita".

Cezary Gmyz – przypomnijmy – opublikował pod koniec października 2012 r. głośny tekst „Trotyl na wraku tupolewa", którego bezpośrednią konsekwencją były zwolnienia w gazecie, koniec tygodnika „Uważam Rze" i powstanie nowych, tzw. tożsamościowych, mediów prawicy. To wtedy, gdy teorie spiskowe na temat katastrofy smoleńskiej zaczęły rządzić wyobraźnią prawicy, a PiS ostatecznie ustawiło się jako partia „ludu smoleńskiego", także w prawicowych elitach przyszedł znaczący zwrot. Trzeba postawić na ludomanię. I tak się stało.

W ludowym kostiumie

Już chwilę potem Jacek Karnowski (brat Michała, z którym dziś prowadzi m.in. portal wPolityce.pl i tygodnik „Sieci") tłumaczył, że czytelnicy „nie czytali tych skomplikowanych esejów, tylko nosili [tygodniki] na zasadzie odznaki". Dowodził, że tygodnik „Uważam Rze" był dla odbiorcy prawicy za skomplikowany i za mądry – trzeba było, choć tego nie powiedział aż tak dosłownie, odwołać się do bardziej przyziemnych instynktów i aspiracji. Tak powstały media braci Karnowskich, którzy – w przeciwieństwie do reszty dawnych kolegów z „Rzeczpospolitej" – nie mieli zamiaru udawać żadnej elity, lecz, dokładnie odwrotnie, chłopców z ludu.

Nowe tytuły prawicy natychmiast sięgnęły do innych skojarzeń: nie elitarności, lecz biedy, nie aspiracji, ale wykluczenia. Gdy startował portal wPolityce.pl, jego naczelni mówili, że finansują go „ze sprzedaży kubków". Gdy faktycznie zdobywali pierwszy milion czytelników, opowiadali publicznie tym samym czytelnikom, że są na granicy przeżycia. Wyobrażony czytelnik tych nowych tytułów nie miał już szukać sobie miejsca pośród elit – on miał ich, jak i całej III RP, szczerze i z pasją nie znosić. Odbiorca miał chcieć zemsty za upokorzenia i pogardę. Zupełnie jak pisowiec z wypowiedzi Stuhra.

Gdy PiS ustawiło się jako partia „ludu smoleńskiego", w prawicowych elitach trzeba było postawić na ludomanię.

Bronisław Wildstein współprowadzi program „O co chodzi?" w TVP Info.

FOT. PIOTR GRZYBOWSKI/SE/EAST NEWS, ANDRZEJ STAWIŃSKI/REPORTER, MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl a9160c3526

Michał i Jacek Karnowscy, którzy lata przepracowali w koncernie Axel Springer („Newsweek", „Fakt" i „Dziennik") czy polskiej sekcji BBC, nagle postanowili grać zbrzydzonych zachodnimi wzorcami zaściankowych patriotów. W książkowej autobiografii i antologii tekstów przypominają tuziny razy, że pochodzą z prowincji i w gruncie rzeczy są prostymi chłopakami z tej „gorszej", dalekiej od metropolii Polski. Portal wPolityce.pl publikował teksty w rodzaju „Czy polskojęzyczne media naprawdę są polskie? Szokująca analiza rynku prasowego", atakujące… te same tytuły i wydawnictwa, w których doświadczenie i znajomości zdobywali tak patriotycznie wzmożeni autorzy owych ataków.

Joanna Lichocka, Stanisław Janecki, bracia Karnowscy, Piotr Zaremba… lista dziennikarzy „niepokornych" tygodników, którzy w przeszłości pracowali w mediach, jak sami teraz mówią, „polskojęzycznych", jest naprawdę długa. Dziennikarze tych tożsamościowych mediów latami karmili swoich czytelników teoriami zamachowymi i najbardziej obskuranckim antytuskizmem – prywatnie wciąż utrzymując relacje towarzyskie z „salonem III RP", liberalnymi dziennikarzami i publicystami, z którymi przecież chwilę wcześniej pracowali w redakcjach, chodzili na urodziny, posyłali dzieci do tych samych szkół.

Czy robili to z wyrachowania, czy z przekonania, ma mniejsze znaczenie. Opowiedzenie się przeciwko „salonowym" mediom – kojarzonym z Zachodem, przepychem i elitarnością – było krokiem politycznie zrozumiałym i koniecznym. Ale możliwym przy założeniu, że „nasz lud"

to kupi. I twórcy nowego typu medium zgodnie uważali, że „ich lud" zapomni i wybaczy im albo po prostu nie będzie krytycznie się przyglądał temu, co jego medialni bohaterowie robią. Poszli o zakład, że wyborca i czytelnik prawicy nie jest specjalnie dociekliwy ani krytyczny. Sądzili, że w swojej niechęci do III RP puści w niepamięć to, jak oni – publicystyczni wrogowie „salonu" – doskonale w tej rzeczywistości się urządzili. I ten zakład im się opłacił.

Teraz my!

W filmie „Polityka" Patryka Vegi premier Mateusz Morawiecki – to znaczy aktor odgrywający jego rolę – grzmi, że Polacy „mają zap… za miskę ryżu", a „ciemny lud to kupi". Emocjonalnie i głośno, z samozadowoleniem, w dobrym garniturze i nienagannie dobranych oprawkach okularów. Te słowa były oparte na cytatach z opisanych przez Onet „taśm Morawieckiego". W zamyśle reżysera scena z pewnością miała przebudzić i wyrwać z fotela ten sam „lud", o którym premier z pogardą – jeszcze jako prezes banku – się wypowiadał. Tyle że na owo przebudzenie i szok poznawczy było o wiele za późno.

To najlepszy dowód, jak głęboki jest dziś w Polsce podział i jak skutecznie zakorzeniło się przekonanie, że PiS naprawdę (nawet jeśli wszystko temu przeczy) reprezentuje polski lud, klasę pracującą, zwykłe rodziny czy, jak kochała powtarzać premier Beata Szydło, „Polki i Polaków". Przeciwnicy bowiem, jeśli kogoś reprezentują, to z pewnością nie-Polki i nie-Polaków.

Liderzy medialnej prawicy, gdzieś w latach 2010-2011, gdy jeszcze używali słów elity i instytucje w sposób inny niż pogardliwy, mówili, że trzeba je budować i przejmować dla prawicy. I to im się udało. Teraz sami dziennikarze „niepokorni" w roli elit (którymi za nic w świecie się nie nazwą) rozdają razy znienawidzonym lemingom i gorszym sortom. Przezornie dbając o jedno – o ludowo-patriotyczny kostium. I tłumaczą, że robią to nie z pychy, lecz wyłącznie dlatego, że tak chciał suweren. Byle się nie wydało, że w gruncie rzeczy oni mogą być równie odklejeni i pyszni jak mityczny salon.

Jak skutecznie zakorzeniło się przekonanie, że PiS naprawdę reprezentuje polski lud, klasę pracującą, zwykłe rodziny.

Czasami właśnie ci, którzy mają czytelników za najbardziej bezmyślne owieczki w owczarni, sami tak beczą, jak im się wydaje, że trzeba: nienawistnie, pogardliwie, z doskonale podrobionym przelęknieniem wszystkim, co obce.

Nie oceniam tu jednych ani drugich, nie wiem, nie mam prawa wiedzieć, co naprawdę myślą o swoich odbiorcach i o Polakach ludzie z jednej i drugiej strony – nie siedzę w ich głowach. W każdym obozie ludzie są różni. Wiem jednak po ostatnich czterech latach tyle: błędem jest kupienie tej wizji, autoidentyfikacja z „nienawidzącym Polaków salonem" i nieme oddanie ludomańskiej pałki cynikom i cwaniakom, którzy srogo wszystkich nią od niemal dekady leją.

Jak wszystkie polityczne mity i ten o nienawidzących Polaków elitach i przyjaciołach „zwykłego człowieka" z prawicy jest skuteczny, dopóki ludzie chcą w niego wierzyć i nikt nie podejmuje z nim dyskusji. Dlaczego więc dajemy się nabierać?

Jakub Dymek

Cytaty pochodzą z książki Jakuba Dymka *Nowi barbarzyńcy*, Wydawnictwo Arbitror, Warszawa 2018

eprasa.pl a9160c3526

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

Próżny odpływ PiS

PiS wygrało wybory. Kwestionowanie tego faktu wydaje mi się śmieszne i bezcelowe. Senat może ewentualnie spowolnić destrukcyjne poczynania Kaczyńskiego, ale nie ma szansy im zapobiec. Lewica weszła do Sejmu, z czego bardzo się cieszę, jest jednak skazana na jałową opozycję i sukcesem będzie, jeżeli ugruntuje swoją jedność, co przecież niełatwe. Czekają nas więc kolejne cztery lata rządów Nowogrodzkiej i reelekcja marionetkowego Dudy (chyba że, na co się nie zanosi, opozycja znajdzie i wspólnie poprze jakiegoś pozapartyjnego, charyzmatycznego kontrkandydata). A jednak na miejscu Kaczyńskiego nie spałbym spokojnie. Wiele znaków wskazuje bowiem, że PiS osiągnęło szczyty swoich możliwości, a ze szczytów droga prowadzi już tylko w dół.

Zanim zacznę tę tezę uzasadniać – jedno ważkie zastrzeżenie. Pisząc o Niemczech lat 30., nikogo z nikim nie porównuję i, broń Boże, nie równam. Chodzi mi tylko o ukazanie pewnych mechanizmów. W niemieckich wyborach z listopada 1932 r. postęp faszystów został zahamowany. Z lipcowych 37,3% do 33,1% głosów. Wydawało się, przekonany był o tym Franz von Papen, że rozpoczyna się odpływ brunatnej fali. Dlatego m.in. 30 stycznia 1933 r. Hitler mógł zostać kanclerzem. Papen sądził wciąż, że teraz będzie nim manipulował. Tymczasem tegoż samego dnia odnotowuje w „Dziennikach" Joseph Goebbels: „Teraz do pracy. Przygotować nową kampanię wyborczą. Ostatnią. Te wybory wygramy bezapelacyjnie". A 3 lutego 1933 r.: „Omawiam szczegółowo z Hitlerem rozpoczynającą się teraz kampanię wyborczą. Obecnie łatwo prowadzić taką kampanię, ponieważ możemy wykorzystać wszelkie środki państwowe. Do naszej dyspozycji stoi radio. (...) Radio sprawia mi trochę kłopotów. Wszystkie odpowiedzialne stanowiska zajmują ciągle jeszcze bonzowie starego systemu. Trzeba ich możliwie szybko usunąć, a mianowicie najpóźniej do 5 marca, aby nie można było zaszkodzić finałowi naszej walki wyborczej". Z kolei 20 lutego 1933 r.: „Zaraz alarmuję cały aparat propagandowy i już po godzinie turkocą maszyny rotacyjne. Pojedziemy teraz na najwyższych obrotach. Jeżeli nie przytrafi się jakaś niespodzianka, to już wygraliśmy na całej linii". I rzeczywiście 5 marca naziści powiększyli swój stan posiadania o 5,5 mln głosów.

Trudno nie zauważyć, że sytuacja PiS w Polsce jest niemalże odwrotna. W 2015 r. odniosło ono, wraz ze swoimi przystawkami, nadspodziewane zwycięstwo. Od tego czasu przeprowadziło brutalną czystkę w publicznych radiu i telewizji, czyniąc z nich posłuszne narzędzia najbardziej zakłamanej propagandy, umocniło poparcie z ambon, beztrosko zaczęło „wykorzystywać wszelkie środki państwowe", z finansowymi na czele. Doprawdy wydawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie wygraniu następnych wyborów już na całej linii. A jednak w chwili próby okazało się, że nie tylko nie poprawiło poprzedniego wyniku, ale nawet nieco go (Senat) pogorszyło.

Jak należałoby ten dziwny fakt interpretować? Oczywiście odwoływać się można do tego, że telewizyjny Kurski ze swoją dziwaczną muzą, nazwiskiem Ogórek, wydobytą z nicości przez Millera, cokolwiek przedobrzyli, że zaszkodziły kłamstwa Morawieckiego, glajchszaltowanie kultury przez Glińskiego, grubiaństwo i niekompetencja ministrów oświaty itp. Coś w tym na pewno jest, ale to ledwie ułamkowe tłumaczenia. Zasadniczy wydaje się fakt, że PiS doszło po prostu do swojego sufitu. Na dalsze zwiększenie elektoratu nie ma już co liczyć, obie strony okopały się bowiem w wojnie pozycyjnej wykluczającej właściwie jakąkolwiek owocną ofensywę. Kościoła już bardziej wyssać się nie da. Następnego rozdawnictwa pieniędzy budżet nie wytrzyma (wątpliwe, czy wystarczy na dotychczas złożone obietnice). Postępować będzie natomiast powolna korozja władzy. Jarosław Kaczyński zdaje sobie z tego sprawę i żeby uspokoić zwolenników, a w pewnej mierze także zaczarować rzeczywistość, wmawia publiczności, z jakim to potężnym koalicyjnym przeciwnikiem, niesłychanie trudnym do pokonania, musiał się zetrzeć. Jest to oczywista nieprawda, co zresztą nie dziwi w ustach naszego inteligenta z Żoliborza. Było znowu akurat odwrotnie. Jedyny Władysław Kosiniak-Kamysz miał jakiś sensowny pomysł na kampanię wyborczą swojej partii, bo na niej się skoncentrował. Poza nim „programy" były nie obiektywne, ale licytacyjne (wyborca dowiedział się np., że wszyscy chcą naprawić służbę zdrowia, ale, na miły Bóg, nie wymagajcie od niego, żeby zapamiętał i porównywał procenty!).

> Rdza będzie płatami się sypać z PiS, a PO i tego nie wykorzysta.

Rekordy nieudolności i braku wyobraźni pobiła w kampanii, jak zwykle, Platforma Obywatelska. To już chyba choroba dziedziczna. Pamiętamy, jak jej ojcowie, w chwili gdy wszyscy pragnęli dynamicznych przemian, reklamowali Mazowieckiego jako „siłę spokoju". Albo też wypisywali na sztandarach slogan „najważniejsza jest gospodarka", któremu aż prosiło się przeciwstawić humanitarny ogólnik, że „najważniejszy jest człowiek". Teraz jedyne, na co zdobył się Schetyna, to wysunięcie na pierwszy plan Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Jest ona od niego nieskończenie sympatyczniejsza, pewnie i bardziej inteligentna (może odróżniłaby Ukraińców od Frontu Ukraińskiego), ale mówi kubek w kubek to samo, czyli wdmuchuje Dudzie w miech. Gdzie są nowe twarze, nowe idee, nowe pomysły czy choćby tylko nowy język? Panie prezesie, nie musi pan nawet kłamać. Rdza będzie płatami się sypać z PiS, a oni i tego nie wykorzystają!

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a9160c3526

Małe błędy w wielkiej sprawie

Przeanalizowaliśmy wyniki wyborów. W kilku okręgach można było PiS ograć

Jakub Dymek,
Robert Walenciak

To wszyscy wiemy – PiS w nowym Sejmie będzie miało 235 posłów. Ale wcale tak nie musiało być. Opozycja mogła zdobyć kilka mandatów więcej, tak by PiS nie miało w tej Izbie większości. To nie było trudne.

Dlaczego więc ich nie zdobyła?

Warszawa – listy czyste jak kartka papieru

Kiedy się patrzy na wyborcze wyniki, w oczy rzuca się największy okręg, warszawski, numer 19, liczący aż 20 mandatów. Składały się nań głosy mieszkańców stolicy oraz głosujących za granicą. W sumie w tym okręgu padło ponad 1,6 mln głosów, z czego ponad 300 tys. za granicą.

Ostatecznie podział mandatów w Warszawie wyglądał tak: PO – dziewięć, PiS – sześć, Lewica – trzy, Konfederacja i PSL po jednym. Czy tak musiało być?

Oczywiście, że nie. Lewica zanotowała w Warszawie bardzo dobry rezultat, zebrała 251 434 głosy, czyli 18,19%. Tymczasem uzyskała tylko trzy mandaty, czyli 15%. Do czwartego mandatu zabrakło jej zaledwie 1820 głosów. Co więcej, ten mandat zabrałaby Prawu i Sprawiedliwości.

Pytanie zasadnicze: czy Lewica mogła zdobyć czwarty mandat w Warszawie? Odpowiedź jest oczywista – mogła i to bez większych starań. Wystarczyło tylko wpuścić na listę wyborczą jakąś popularną osobę, np. Monikę Jaruzelską albo Katarzynę Piekarską lub Danutę Waniek. Każda z nich cieszy się popularnością wśród wyborców SLD, każda miała (i ma) swój specyficzny elektorat.

Jednak, jak wiemy, przewodniczący SLD Włodzimierz Czarzasty podjął inną decyzję.

O jej kulisach opowiadała w PRZEGLĄDZIE Monika Jaruzelska. Szefowi SLD zależało na takim wyczyszczeniu listy warszawskiej, by niezagrożony był mandat startującej z drugiego miejsca rzeczniczki Sojuszu Anny Marii Żukowskiej. Co lepsi kandydaci byli więc z tej listy wymazywani.

Widząc, co się święci, Piekarska czmychnęła na listę Platformy (zdobyła tam z szóstego miejsca 8780 głosów), Waniek ostatecznie zrezygnowała ze startu, a Monika Jaruzelska… Tygodniami ją zwodzono, czy będzie na liście, czy nie. Ostatecznie dowiedziała się, że miejsca dla niej nie ma. Powalczyła więc o Senat jako niezależna kandydatka w Warszawie, w okręgu nr 43 i uzyskała 57 946 głosów, czyli 19,55%. To znakomity wynik. Kilka procent z tej sumy wystarczyłoby Lewicy na czwarty mandat w wyborach do Sejmu.

Agata Diduszko-Zyglewska, radna Warszawy, stała się ofiarą aparatczykowskiego myślenia Grzegorza Schetyny.

Tak oto partyjna prywata zwyciężyła. I PiS może się cieszyć z mandatu, na który nie zasługiwało.

Ale ten szósty mandat w Warszawie sprezentowała PiS również Platforma. Bo i tam doszło do skandalicznego układania list. A ofiarą prymitywnego, aparatczykowskiego myślenia, tym razem Grzegorza Schetyny, była Agata Diduszko-Zyglewska, radna m.st. Warszawy.

Diduszko była przekonana, że Koalicja Obywatelska znajdzie dla niej miejsce na listach do Sejmu, zresztą to jej obiecywano. Dostała się wszak do Rady Warszawy z nienajlepszego miejsca i z okręgu, w którym miała raczej „pod górkę" – startowała z Bemowa, a mieszka i związana jest na co dzień z Powiślem. Ostatecznie zdobyła na Bemowie nieco ponad 4 tys. głosów i mandat radnej, mimo że nie była członkinią PO. Szanse na start do Sejmu wydawały się tym większe, że Koalicja Obywatelska miała rozszerzać swoje listy o społeczników i osoby spoza ścisłego środowiska partyjnego – szczególnie gdy od PO odpadły i PSL, i SLD, współtworzące wcześniej Koalicję Europejską.

Pod koniec sierpnia, gdy ostatecznie zaklejano koperty z nazwiskami, okazało się, że w siedzibie Platformy przy ul. Wiejskiej z planowanych list PO-KO wykreślono Diduszko-Zyglewską. Decyzję miał podjąć sam Grzegorz Schetyna, uważający za ryzyko kandydatki zbyt niezależne i niezwiązane z PO. W tle zaś majaczyło widmo filmu Sekielskich i LGBT, które rzekomo pogrzebały kampanię Koalicji w eurowyborach. Diduszko-Zyglewska, która była współautorką (m.in. z posłanką Joanną Scheuring-Wielgus) „mapy kościelnej pedofilii", była – jak prawie każda osoba o nieco tylko bardziej wysuniętych na lewo poglądach – postrzegana jako „zbyt nieprzedwidywalna".

Zamiast niej na listach znalazła się… Klaudia Jachira. Miesz-

eprasa.pl a9160c3526

kająca we Wrocławiu absolwentka szkoły aktorskiej, satyryczka i kandydatka Nowoczesnej Ryszarda Petru w poprzednich wyborach, stała się błyskawicznie bohaterką ogólnopolskich mediów, które pasjami pokazywały urywki z jej skeczy z kukłą przedstawiającą Kaczyńskiego. „Insynuowała »dostarczanie młodych mężczyzn« Kaczyńskiemu i współpracę z SB, parodiowała modlitwy. Trafiła na listy KO", donosił portal TVP Info.

U Grzegorza Schetyny rozdzwoniły się telefony. Ludzie kultury, środowiska pozarządowe, filmowe i artystyczne były oburzone pominięciem Diduszko na listach. Na Facebooku powstała akcja #AgatadoSejmu, gdzie osoby sympatyzujące z jej kandydaturą wyrażały głosy poparcia. Wśród nich choćby Agnieszka Holland czy prof. Magdalena Środa. Szef Platformy pozostał nieugięty – listy zmienił, ale spychając konserwatywną Joannę Fabisiak na dalsze miejsce i nie oferując liberalnym wyborcom niczego w zamian.

Budząca sprzeczne emocje Jachira, która przez całą kampanię wyborczą była pokazywana w TVP i TVN jako największa hejterka i ofiara największego hejtu na zmianę, uzyskała najgorszy wynik spośród dziewięciorga kandydatów, którzy zdobyli w Warszawie mandaty. Przeskoczyła ją także kandydująca z ostatniego miejsca Urszula Zielińska z Zielonych. W całej Warszawie (nie licząc głosów oddanych za granicą) Jachira wzięła mniej głosów niż Diduszko rok wcześniej na Bemowie – 3919.

Tak więc zamiana Diduszko na Jachirę przyniosła Platformie więcej kłopotów niż pożytku. Nie tylko w Warszawie, ale także w całej Polsce, bo Jachira okazała się wdzięcznym pretekstem do ataków na PO i zarzucania jej, że jest partią mało poważną i wulgarną.

Włodzimierz Czarzasty (z lewej) nie wystawił na listach wyborczych Tadeusza Iwińskiego (z prawej), który nie kryje rozgoryczenia: „Rozumiem – przeskoczyłbym Kulaska" (w środku).

Monika Jaruzelska uzyskała 57 946 głosów, czyli 19,55%. To znakomity wynik.

Olsztyn – Tadeusz nie startuje

O tym, że w SLD partyjny interes jest ważniejszy od wyniku wyborczego, mogliśmy się przekonać w Olsztynie, gdzie nie wpuszczono na listę wyborczą Tadeusza Iwińskiego. Pierwsze miejsce na liście zajął lider wojewódzkich struktur Marcin Kulasek, a Iwińskiego wysłano na emeryturę. A to on przez lata liderował liście lewicy w Olsztynie, zawsze zdobywając najwięcej głosów. Jak byłoby tym razem?

W okręgu olsztyńskim nr 35 wybieranych jest 10 posłów. Tym razem Lewica, mimo że zdobyła 13,84% głosów, musiała się zadowolić tylko jednym mandatem. Tymczasem PiS, które zdobyło 38,82%, wzięło mandatów połowę, czyli pięć.

Czy Lewica mogła zawalczyć o drugi mandat, zabierając piąty mandat PiS? Czy gdyby na czele listy stał Iwiński, byłoby to możliwe? Z drugiej strony, na wynik listy ma wpływ również atmosfera wokół partii. A wyrzucenie Iwińskiego dobrej atmosfery nie budowało. Zwłaszcza że w październikowych wyborach Lewicę ciągnął w górę mit odzyskanej jedności, wspólnego działania. Taka awantura na pewno odstręczyła jakąś grupę wyborców, którzy woleli oddać głos na inne komitety, na KO lub PSL.

Sam Iwiński nie kryje rozgoryczenia. „To antydemokratyczna partia, która nie wpuszcza na listy wyborcze – mówi. – Nie wpuszczono mnie na listę olsztyńską. Rozumiem – przeskoczyłbym Kulaska. Poprosiłem więc, żeby wpisano mnie na listę elbląską. Też była odmowa. Gdy pytałem Czarzastego, dlaczego, to mi odpowiadał: wszystkim byłeś, a ja będę budował nową partię, z nowych ludzi, więc nie wezmę cię na listę".

Tak oto uzyskaliśmy potwierdzenie, że SLD już niebawem zniknie z mapy Polski, że będzie inny szyld. A ponadto, że dla kierownictwa tej partii polityczne rachuby były ważniejsze niż walka o najlepszy wynik.

Gdańsk – blamaż Neumanna

A jak określić sytuację Lewicy w okręgu gdańskim?

Osiągnęła tam całkiem niezły wynik, 71 236 głosów, czyli 13,47%. Ale co z tego, skoro otrzymała za to tylko jeden mandat!

Dla porównania: Konfederacja zebrała 38 153 głosy, czyli 7,21%, i też uzyskała za ten wynik jeden mandat. A Prawo i Sprawiedliwość – trochę ponaddwukrotnie więcej niż Lewica (169 753, czyli 32,10%) i cztery mandaty!

Można więc rzec, że nigdzie baron d'Hondt nie skrzywdził tak Lewicy jak w okręgu gdańskim. Zwłaszcza że drugi mandat był o włos! Zabrakło do niego 1592 głosów.

Czy można było jakoś je przyciągnąć? Na pewno tak, to powinno być przedmiotem analizy, bo zabrakło naprawdę niewiele. Dodajmy do tego jeszcze jedno – lista Lewicy miała dwie lokomotywy: Beatę Maciejewską z Wiosny i Jolantę Banach.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

eprasa.pl a9160c3526

Ostatecznie więcej głosów zebrała jedynka, Beata Maciejewska, ale tylko 834 głosy więcej niż Jolanta Banach. To jest zatem ten pech byłej posłanki, że tak niewiele zabrakło jej do drugiego dla Lewicy mandatu, a jeszcze mniej do przeskoczenia liderki listy.

Lewica w Gdańsku ma więc nad czym się zastanawiać. Ale to i tak nic w porównaniu z zamieszaniem w Platformie.

Okręg gdański numer 25 to przecież bastion PO, tak jak bastionem PiS jest Polska południowo-wschodnia. Tymczasem PO zdobyła w okręgu 41% poparcia i sześć mandatów, czyli połowę. Trudno to nazwać wielkim sukcesem.

Ale rzut oka na listę, na jej konstrukcję pozwala zrozumieć, dlaczego PO nie wykorzystała szansy na znokautowanie konkurencji. Otóż na pierwsze miejsce Koalicja wystawiła… Sławomira Neumanna, platformerskiego barona, przyjaciela miasta Tczewa… To nie mogło się udać. Neumann uzyskał 25 202 głosy. I jest to kompromitujący wynik jak na jedynkę i na listę, na którą oddało głos ponad 218 tys. osób. Przeskoczyły go aż trzy osoby z dalszych miejsc: Jarosław Wałęsa (61 805 głosów), Agnieszka Pomaska (39 103) i Piotr Adamowicz (41 795), brat zamordowanego prezydenta miasta.

Wynik Neumanna jest symboliczny. Pokazuje, jakiej Platformy zwolennicy tej partii nie chcą i jakiego sposobu prowadzenia polityki. Pytanie tylko, czy Platforma wyciągnie z tego wnioski.

Rzeszów – Platformie pstryczek w nos

Bo kolejnym przykładem, że aparatczykowskie kombinowanie źle się kończy, jest dla Platformy Rzeszowszczyzna. W okręgu rzeszowskim PO poniosła absolutną klęskę – zdobyła ledwie 14,39% poparcia i tylko dwa mandaty (na 15, a PiS wzięło ich 10, notując 62,38% poparcia).

Co doprowadziło do tej klęski?

Na pewno kombinacje Grzegorza Schetyny. Początkowo Platforma zamierzała wystawić na jedynce w Rzeszowie podebranego SLD Tadeusza Ferenca, 79-letniego prezydenta miasta. Ferenc wstępnie się zgodził, jednak ostatecznie na skutek próśb mieszkańców (autentycznych) z kandydowania się wycofał i zarekomendował Platformie swojego zastępcę, Marka Ustrobińskiego. Schetyna jednak to zlekceważył, owszem, umieścił Ustrobińskiego na liście, ale daleko, na ósmym miejscu. Na pierwsze dał przywiezionego w teczce byłego pisowca Pawła Poncyljusza, później rzecznika kampanii prezydenckiej Jarosława Kaczyńskiego w 2010 r. i współtwórcę partii Polska Jest Najważniejsza. W ten sposób chciał się podlizać prawicowym sympatiom mieszkańców okręgu wyborczego. I wszystko zrobił źle.

Po pierwsze, obraził Ferenca, lekceważąc podsuwanego przez niego kandydata. Gdyby Ustrobiński znalazł się na jedynce lub dwójce, Ferenc musiałby się zaangażować w jego kampanię. A tak, zwolniony z jakichkolwiek zobowiązań, poparł… Marcina Warchoła, wiceministra sprawiedliwości, kandydata PiS.

> Kaczyński grał o władzę w całej Polsce. Szefowie opozycji też grali o władzę, ale w swoich partiach. Takie są ich horyzonty.

Po drugie, Poncyljusz okazał się kandydatem dla nikogo. Zmobilizowani i zwarci w tym regionie wyborcy PiS mogli zagłosować na niego wyłącznie przez pomyłkę. Liberalni wyborcy PO ominęli go szerokim łukiem. Wiele stracił też z tego powodu, że przywieziono go w teczce – na Podkarpaciu atut swojskości jest istotny.

Co więcej, skrajnie prawicowa Konfederacja również potraktowała ten okręg jako kluczowy i z pierwszego miejsca kandydował szeroko rozpoznawany reżyser, bloger i chodzący baryton Grzegorz Braun.

W efekcie Poncyljusz został upokorzony nie tylko miażdżącą wygraną PiS, ale i osiągnięciem wyniku gorszego niż Braun, reprezentujący kanapową dotychczas Konfederację. Braun otrzymał ponad 30 tys. głosów, Poncyljusz 23 tys. Kandydat wytypowany przez Schetynę zanotował też gorszy wynik niż kandydująca tu pięć lat wcześniej z Platformy Krystyna Skowrońska, i to mimo że w obecnych wyborach była większa frekwencja, a na PO oddano ponad 20 tys. głosów więcej.

Co ciekawe, dokładnie odwrotną strategię zastosowała PO w również uchodzącym za konserwatywny okręgu bialsko-chełmskim, na ścianie wschodniej. Tam jedynką był pochodzący z Syrii lekarz Riad Haidar, którego PO podebrała Lewicy. Haidar w dużo mniej zurbanizowanym i o ćwierć miliona mniej ludnym okręgu zdobył prawie tyle samo głosów co Poncyljusz (21 tys.), procentowo uzyskując większe poparcie niż on – inaczej mówiąc, okazał się i bardziej „wybieralnym" kandydatem i mocniejszą jedynką listy.

•

Ten krótki i z konieczności fragmentaryczny obraz mapy wyborczych starć prowadzi do prostego wniosku – opozycja mogła wyrwać PiS przynajmniej kilka mandatów, tak że nie miałoby większości w Sejmie. Nie było to wielką sztuką, wystarczyło tylko przy układaniu list w większym stopniu kierować się rozumem niż interesem własnej koterii. W Warszawie wrogiem lewicy okazało się jej kierownictwo…

A o Platformie nie ma nawet co mówić. Grzegorz Schetyna dał punkty PiS, nie tylko prowadząc słabą kampanię, ale także osłabiając siłę list opozycji.

Przykłady Rzeszowa, Gdańska oraz Warszawy dowodzą jeszcze jednego. Mądra partia kształci swoich polityków i lokalnych liderów, rozwija ich. W okręgu rzeszowskim na liście PiS większość stanowili miejscowi samorządowcy. Nie ma więc co się dziwić, że ich kampania była skuteczna i przyniosła tak wiele mandatów. Wygranej PiS przecież by nie było, gdyby nie nokautujące wyniki w Polsce południowej i wschodniej.

Innymi słowy, przy lepiej ułożonych przez opozycję listach, nawet przy zachowaniu tych samych środków rzuconych na kampanię, PiS przegrałoby te wybory. Musiałoby teraz szukać koalicjanta, jego sytuacja byłaby bez porównania gorsza, niż jest.

Ale nie musi, ma władzę na następne cztery lata, bo w tych wyborach Kaczyński grał o władzę w całej Polsce. Szefowie opozycji też grali o władzę, ale w swoich partiach. Takie są ich horyzonty.

Jakub Dymek, Robert Walenciak

eprasa.pl a9160c3526

Z Galicji

Jan Widacki

Co ma zrobić lewica?

Lewica odniosła w ostatnich wyborach względny sukces. Po czterech latach niebytu wróciła do Sejmu. Nie tylko wróciła. Stała się trzecią siłą w parlamencie. Mało tego, pokazała, że w Polsce jest szersza możliwość wyboru, nie tylko PiS lub Platforma.

Co dalej? Po pierwsze, liderzy powinni powściągnąć indywidualne ambicje. Nie tylko jest to zgodne z ideami lewicy, ale też wymaga tego pragmatyzm chwili. Bez względu na to, jaki wynik osiągnął który lider i który segment, czy to Wiosna, Razem, czy SLD, wszyscy powinni się trzymać razem, stworzyć wspólny klub, a następnie partię. Trzeba pamiętać, że dobry wynik był także premią wyborców przyznaną za jedność.

Po drugie, lewica nie powinna się ścigać z PiS w populizmie. Ten, co kiedyś ukradł z bratem księżyc, teraz ukradł lewicy populizm i rozdawnictwo, a wraz z nimi elektorat. Trudno, trzeba z tym się pogodzić. Licytowanie się na populizm jest niemądre, niebezpieczne i, co więcej, nie do wygrania. Tu trzeba odpuścić. Lewica i bez tego może być atrakcyjna dla młodego pokolenia. Jako jej mocny punkt wskazać można już to, że nie jest stroną w niszczącym państwo konflikcie PO *versus* PiS. Ale lewica musi młodemu pokoleniu przedstawić jasny, a zarazem nowoczesny program. Raz, musi konkretnie się określić jako siła proeuropejska, akceptująca europejskie wartości i zmierzająca do tego, by Polska pod każdym względem starała się dorównać Europie. By Polakom w Polsce żyło się tak jak Niemcom w Niemczech, Francuzom we Francji czy Holendrom w Holandii. Dwa, lewica musi jasno zadeklarować przywiązanie do demokracji i państwa prawa. Trzy, musi się opowiedzieć za rozdziałem Kościoła od państwa. Za rozdziałem przyjaznym, ale wyraźnym. Musi się domagać przejrzystości finansów Kościoła, równego traktowania Kościoła i wszystkich innych instytucji społecznych w zakresie obowiązków podatkowych. Bo Kościół, będąc wedle teologii „mistycznym ciałem Chrystusa", działa w przestrzeni publicznej nie jako byt metafizyczny, ale jako organizacja społeczna, polityczna i gospodarcza i jako taka musi być traktowany. Szczególnie musi płacić podatki i mieć przejrzyste finanse. Lewica musi się domagać, by państwo zaprzestało finansowania Kościoła, wypłacając pensje katechetom i kapelanom rozmaitych instytucji nieskoszarowanych, których pracownicy, gdy mają na to ochotę, mogą swobodnie po pracy uczestniczyć w życiu religijnym swoich parafii.

Lewica musi bronić ludzi dyskryminowanych za lata pracy w PRL – na zasadzie nie gloryfikowania czy choćby rozgrzeszania PRL, ale ochrony praw człowieka i respektowania zasad państwa prawa. Na podstawie tych zasad musi się sprzeciwić wszelkim próbom tzw. dekomunizacji czy dezubekizacji i pozostawić ten problem, już przecież nie polityczny, historii i historykom, a po trosze biologii. Lewica powinna się domagać likwidacji IPN – swoistej policji historycznej, w dodatku zdominowanej przez jedną opcję polityczną. Domagać się, by zasoby archiwalne IPN trafiły do Archiwum Akt Nowych i były udostępniane na ogólnych zasadach. Środki na badania nad historią najnowszą powinny być rozdzielone w formie grantów między akademickie instytuty i katedry historii. Lewica musi jasno powiedzieć, że pełnoprawnymi obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej są wszyscy jej obywatele, bez względu na to, co robili w czasach PRL, jakie stanowiska zajmowali, jakie mieli bądź mają dziś poglądy i światopoglądy. Polska jest wspólna, a jej obywatele nie mogą być dzieleni i przypisywani do pierwszego bądź drugiego sortu. Wszyscy obywatele są tego samego sortu i mają te same prawa i obowiązki.

Polska jest wspólna, a jej obywatele nie mogą być dzieleni i przypisywani do pierwszego bądź drugiego sortu.

W kwestiach ustrojowych lewica powinna się domagać likwidacji Senatu lub przekształcenia go w izbę samorządową. Oczywiście chwilowo hasło to może nie być nośne, bo w obecnej sytuacji, na skutek wyników ostatnich wyborów, z Senatem właśnie wiązane są nadzieje na osłabienie dyktatu PiS. Ale to sytuacja nietypowa. Likwidacja Senatu lub przekształcenie go w izbę samorządową powinno być zadaniem długofalowym. Podniesienie tej kwestii właśnie teraz świadczyłoby tylko o uczciwej intencji, a nie o bieżącej grze interesów.

Od lat 90. XX w. lewica nie zajęła stanowiska w sprawie zwrotu nieruchomości i ruchomości, w tym o wartości muzealnej, prawnukom niegdysiejszych właścicieli i rozmaitym cwaniakom, którzy rzekomo nabyli prawa od dawnych właścicieli.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a9160c3526

Tu odwaga lewicy w III RP zawsze była mniejsza niż lewicy po roku 1918, kiedy zdecydowano się nie zwracać majątków skonfiskowanych przez władze zaborcze. Czas zdecydowanie się temu przeciwstawić.

W sytuacji gdy największy związek zawodowy Solidarność stał się związkiem prorządowym, jak CRZZ w czasach PRL, lewica powinna się upominać o prawa pracownicze, a także o prawa tych, którzy pozostają bez pracy.

Lewica musi głosić postulaty ochrony środowiska, wspierając przy tym rozmaite organizacje ekologiczne i ruch zielonych. Musi zbudować nowy, realny system ochrony zdrowia. Jego budowa wymaga szerokich konsultacji zarówno w środowisku lekarzy i personelu medycznego, jak i w środowiskach pacjentów.

Musi też śmiało głosić hasła tolerancji. Mieć jasne stanowisko w sprawach uchodźców i szeroko je kolportować. Przeciwstawić się nacjonalizmowi, ksenofobii i homofobii, wszelkimi dostępnymi w państwie prawa środkami. Musi mieć odwagę ująć się za najsłabszymi. A takimi są wszelkie mniejszości: narodowe, etniczne, seksualne.

Wreszcie musi zgłosić propozycje naprawy systemu edukacji, odpolitycznienia szkoły, słusznego wynagradzania nauczycieli.

Musi stanąć w obronie niezależności kultury, w obronie artystów, którym autorytarna władza chce narzucić jedynie słuszną i jedynie patriotyczną wizję kultury i sztuki. Inaczej mówiąc, lewica powinna jasno i głośno wypowiedzieć się za wolnością sztuki.

Krótko – lewica może mieć wiele do zaoferowania Polakom, szczególnie młodemu pokoleniu. Rzecz w tym, czy potrafi czytelnie przedstawić ofertę, czy raczej straci czas na jałowe spory wewnętrzne, kto ile wydał na kampanię, kto ile uzyskał głosów, kto jest ważniejszy, a kto mądrzejszy, czy tworzyć w Sejmie jeden klub, czy może klub i koło lub koła.

Jeśli nie utworzycie dziś jednego klubu, a jutro jednej partii, w Sejmie nie odegracie żadnej roli, a w następnych wyborach możecie znów do niego się nie załapać. Dziś lewica ma złoty róg. Co z nim zrobi?

Jan Widacki

Ustawy do kosza

Czego nie uchwalił Sejm

Anna Brzeska

Skończyła się kadencja Sejmu, więc przy Wiejskiej niszczarki projektów pracują pełną parą. Przypomnijmy, które z planowanych i nieuchwalonych ustaw pozostaną na kolejne miesiące lub lata w smutnej strefie dobrych chęci. To oczywiście tylko subiektywny przegląd, gdyż lista projektów z wyrokiem śmierci jest o wiele dłuższa.

Kobiety urodzone w 1953 r.

Ponad pół roku minęło od orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, na mocy którego kobiety urodzone w 1953 r. powinny otrzymywać emeryturę obliczaną na bazie wyższej podstawy. Obiecywana nowelizacja Ustawy o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych wciąż nie została jednak podpisana. Wprawdzie projekt trafił do Sejmu w połowie lipca, ale posłowie nie zdążyli nim się zająć przed wyborami. Według „Gazety Wyborczej" prace zablokował premier Mateusz Morawiecki. Kancelaria milczy w tej sprawie.

Przypomnijmy, o co chodzi. Kobiety urodzone w 1953 r. jako ostatni rocznik mogły przejść na wcześniejszą emeryturę. Jednak na mocy ustawy z 2013 r. o emeryturach i rentach zmieniono zasady obliczania podstawy świadczenia w taki sposób, że wcześniej wypłacane środki pomniejszały tę podstawę. Kobiety z rocznika 1953 właśnie w 2013 r. weszły w wiek emerytalny. Jednak w rezultacie zmiany obliczania podstawy świadczenia zostały „ukarane" za to, że skorzystały z możliwości przejścia na wcześniejszą emeryturę, choć przecież kilka lat wcześniej nie mogły wiedzieć, że zmienią się przepisy i ich emerytury będą niższe, niż się spodziewały.

W marcu br. Trybunał Konstytucyjny uznał, że zmiana przepisów w 2013 r. została dokonana z naruszeniem „zasady zaufania obywateli do państwa i stanowionego przez nie prawa". Za wyrokiem poszedł senacki projekt zmiany Ustawy o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczenia Społecznego, na mocy którego kobiety z rocznika 1953 miałyby możliwość ponownego przeliczenia przez ZUS ich emerytur. Eksperci wyliczyli, że podwyżki powinny wynieść średnio 250 zł. Zapewne dlatego po przeliczeniu ich kosztów (wraz z należnymi wyrównaniami) rząd nagle uznał, że oszukane przez państwo emerytki – według danych ZUS jest aż 44 tys. kobiet, które uzyskałyby podwyżkę świadczenia – nie zasłużyły na uwagę posłów. W efekcie, mimo że na wykonanie wyroku TK parlamentarzyści mieli pół roku, projekt utknął na etapie „czytania w Komisji Polityki Społecznej i Rodziny" i – zgodnie z sejmową zasadą dyskontynuacji – trafi do niszczarki.

Lichwiarze mogą spać spokojnie

„Działalność polegająca na udzielaniu pożyczek o charakterze lichwiarskim jest częstym zjawiskiem w realiach codziennego życia i nie traci na znaczeniu. Lichwiarskie pożyczki, żerujące na biedzie i ludzkich dramatach, a często też na łatwowierności osób starszych lub niedołężnych, pozostają bulwersującym problemem społecznym" – to początek uzasadnienia projektu ustawy antylichwiarskiej, poprawniej – ustawy o zmianie niektórych ustaw w celu przeciwdziałania lichwie, nad którą pracuje Ministerstwo Sprawiedliwości.

Projekt zawiera rozwiązania (w tym zmiany w Kodeksie karnym, Kodeksie cywilnym czy w Ustawie o kredycie konsumenckim), które mają zapobiec przede wszystkim nieskrępowanemu windowaniu przez podmioty udzielające pożyczek i kredytów tzw. kosztów pozaodsetkowych. Miałyby one wynosić maksymalnie 10% kredytu. Nowa ustawa wprowadzałaby też kary finansowe dla firm, które wciąż naliczają opłaty ponad ustawowe limity. Co więcej, autorzy projektu chcą wprowadzenia procentowego limitu dla komorniczych zajęć nie-

eprasa.pl a9160c3526

Kolejna zapomniana przez rząd i posłów grupa społeczna to samotni rodzice

ruchomości, czyli nie będzie można zlicytować nikomu mieszkania czy domu, jeśli dług będzie niższy niż 5% jego wartości.

Najwyraźniej jednak problemy konsumentów naciąganych na drogie pożyczki i ludzi wyrzucanych na bruk za kilka tysięcy złotych długu nie są na tyle bulwersujące, by rządzący uporali się z procesem legislacyjnym, zanim skończyła się kadencja Sejmu. Prace nad projektem trwały niemal trzy lata (formalnie od grudnia 2016 r. – wtedy projekt pojawił się na stronach Rządowego Centrum Legislacji). Ustawa trafiła do Sejmu dopiero w lipcu br. i w tym też miesiącu odbyło się jej pierwsze czytanie. To niestety za późno, by zdążyć przed niszczycielskim działaniem sejmowej zasady dekontynuacji. Konsumenci nadal będą oszukiwani przez parabanki.

Alimenty nie tak natychmiast

Kolejna zapomniana przez rząd i posłów grupa społeczna to samotni rodzice. Projekt nowelizacji Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego wpłynął do Sejmu jeszcze w lutym 2019 r. Zawierał rozwiązania, które miały przyśpieszyć uzyskiwanie przez dzieci alimentów od rodziców, czyli tzw. natychmiastowe świadczenia alimentacyjne orzekane w sposób uproszczony. To automatycznie zabezpieczałoby interes dzieci na długo przed wyrokiem w sprawie o alimenty. Zmiany w ustawie zawierały prosty i klarowny system naliczania kwot świadczenia natychmiastowego, co byłoby w interesie obojga rodziców, zarówno tego, przy którym pozostaje dziecko, jak i tego, który będzie płacił.

Projekt po pierwszym czytaniu w Sejmie w kwietniu skierowano do Komisji Nadzwyczajnej do spraw zmian w kodyfikacjach. Jak mówi Dorota Herman z Fundacji KiDs, mimo uzyskania pozytywnej opinii Sejm nie podjął dalszych prac nad nowelizacją, chociaż był to projekt rządowy. – Ministerstwo wciąż nie odpowiedziało na nasze pismo – zaznacza przedstawicielka fundacji. Nie udało się więc uzyskać informacji, dlaczego projekt porzucono.

„Dobry start", rządowy falstart

Nadal nie został też zabezpieczony interes rodziców, którzy zarabiają najniższą płacę krajową i obawiają się, że w związku z ustawową podwyżką wynagrodzenia minimalnego w 2020 r. stracą świadczenie z Funduszu Alimentacyjnego, przekraczając nieznacznie próg dochodowy. Zmiany, które wykluczyłyby ten problem, zawarte projekcie „Dobry start" przygotowanym przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, podwyższały próg dochodowy do FA do 900 zł.

Samodzielni rodzice to niejedyna grupa, która nie doczekała się uwagi posłów. „Dobry start" przede wszystkim wprowadzał bowiem do kalendarza świadczeń rodzinnych coroczną wyprawkę dla uczniów, czyli 300+. Obecnie świadczenie jest wypłacane na podstawie rozporządzenia. Mimo że jeszcze w kwietniu na rządowych stronach mogliśmy przeczytać o projekcie, że „To już pewne!", a w lutym premier osobiście chwalił się w mediach „Dobrym startem", ustawy wciąż nie ma. Nie trafi jednak do sejmowej niszczarki, ponieważ do Sejmu projekt nie dotarł. Utknął w ministerstwie. Czyżby rząd obawiał się, że przeszacował wyborcze obietnice i szukał sposobu, by sprytnie wycofać się z 300+?

Ulga na niepełnosprawne dziecko nie dla wszystkich

W tej chwili rodzice dziecka z orzeczeniem o niepełnosprawności mogą odliczyć od dochodu 92,67 zł miesięcznie. Niestety, ulga przewidziana jest tylko dla osób zarabiających poniżej średniej krajowej, ponieważ aby z niej skorzystać, nie można przekroczyć rocznego dochodu w wysokości 112 tys. zł (lub 56 tys. w przypadku samodzielnych rodziców).

Choć wydaje się, że to niemało, pamiętajmy, że chodzi o dzieci wymagające zwykle stałych środków na leczenie i rehabilitację. Rodzice żalą się, że większość tego rodzaju usług medycznych jest bowiem niedostępna w ramach NFZ, a terminy wizyt i terapii są często bardzo odległe.

– Ile wydajemy? Podam przykłady – mówi Magdalena, mama trzylatka z kilkoma wadami genetycznymi. Nadal nie ma ostatecznej diagnozy co do typu mutacji, choć wiele badań już zostało wykonanych. Teraz okazało się, że potrzebne jest m.in. badanie genetyczne WES. Koszt – 5,9 tys. zł. – Ale to tylko jeden z licznych naszych wydatków – wylicza mama. – Wcześniej wydaliśmy już 14 tys. zł na niezbędną operację przegrody nosowej, dzięki której u synka zniknął bezdech i zachowania autoagresywne, co więcej – zaczął mówić. NFZ wprawdzie fundowałby zabiegi, ale tylko wtedy, gdybyśmy robili to etapami, na raty, a więc wymagałoby to kilku pobytów w szpitalu i niepotrzebnego z medycznego punktu widzenia cierpienia – dodaje. Prócz tego wylicza jeszcze standardowe miesięczne koszty: intensywna i specjalistyczna terapia logopedyczna to ok. 800 zł

FOT. MARCIN BRUNIECKI/REPORTER

eprasa.pl a9160c3526

miesięcznie, godzina spotkania z rehabilitantem 180 zł, do tego inne wydatki: okulary ok. 500 zł czy wkładki do butów 300 zł. To tylko kilka przykładów z długiej listy.

Projekt zmian w ustawie o podatku dochodowym od osób fizycznych, który znosiłby próg dochodowy, zrównując prawa do ulgi wszystkich rodziców niepełnosprawnych dzieci, został złożony w Sejmie 12 września 2019 r. przez Komisję do spraw Petycji. Nie było już czasu, by znalazł się w porządku obrad ostatniego posiedzenia Sejmu, podczas którego udało się jednak przeczytać obywatelski projekt penalizujący edukację seksualną, mimo że ten – jako projekt obywatelski – i tak nie mógł trafić do niszczarki z końcem kadencji.

Część rodziców dzieci niepełnosprawnych nie będzie miała nawet ulgi podatkowej, której kwota i tak byłaby kroplą w morzu ich potrzeb.

Lobby futerkowe silniejsze niż miłość do zwierząt

Wbrew wcześniejszym medialnym przechwałkom i obietnicom, nie udało się w 2018 r. Parlamentarnemu Zespołowi Przyjaciół Zwierząt wywalczyć zakazu hodowli zwierząt futerkowych, uboju rytualnego czy trzymania psów na łańcuchach. Jesienią ub.r. PiS, zapewne w obawie przed reakcjami wiejskiego elektoratu, wycofało się z pomysłu przeciwdziałania cierpieniu zwierząt. Poseł Krzysztof Czabański nie ustawał jednak w wysiłkach i na początku stycznia 2019 r. złożył w Sejmie autopoprawkę projektu. Wprawdzie wymienionych postulatów już w nim nie było, jednak dopisano kilka innych zmian korzystnych z punktu widzenia obrońców zwierząt. Były to m.in. zakaz prowadzenia komercyjnych schronisk dla zwierząt (by przeciwdziałać patologiom, którymi obrosła działalność tego typu podmiotów), wprowadzenie obowiązku czipowania psów i kotów oraz zapisy, które miały pomóc w likwidacji tzw. pseudohodowli.

Niestety, poprawiony projekt z nieznanych przyczyn został porzucony na etapie opiniowania przez organizacje samorządowe. Co więcej, poseł Czabański, główny, choć nieskuteczny bojownik PiS o prawa zwierząt, nie uzyskał wystarczającej liczby głosów wyborców, by znaleźć miejsce w Sejmie nowej kadencji. Trudno powiedzieć, czy lepszy słaby bojownik niż żaden, ale wiadomo jedno – nie ma co liczyć na PiS w kwestii poprawy losu zwierząt.

E-hulajnogi nadal hulają

Mimo że lekarze i ratownicy z SOR-ów narzekają i alarmują, że wypadków z udziałem e-hulajnóg, czyli hulajnóg z silnikiem elektrycznym, jest coraz więcej, i są już notowane wypadki śmiertelne z ich udziałem, wciąż nie ma regulacji dotyczących zasad poruszania się tych pojazdów po drogach. W rezultacie e-hulajnogami, które – jeśli wierzyć zapewnieniom producentów – mogą rozpędzać się do 65 km/godz., jeździ się głównie po chodnikach.

Pilnie potrzebny rządowy projekt nowelizacji ustawy Prawo o ruchu drogowym zakłada, że prowadzący hulajnogi będą musieli przenieść się na ścieżki rowerowe lub jezdnie, a jazda po chodniku będzie możliwa tylko w przypadku, gdy ten jest szerszy niż 2 m i nie mamy na drodze żadnej alternatywy w postaci pasa dla rowerów czy jezdni z ograniczeniem prędkości do 30 km/godz. Innymi słowy, e-hulajnogi będą traktowane przez prawo podobnie jak rowery.

Brzmi to rozsądnie, kłopot polega na tym, że projekt wciąż nie trafił do Sejmu. Utknął w Ministerstwie Infrastruktury na etapie konsultacji publicznych. Znów niszczarka.

Suplementy wciąż jak leki

W 2017 r. ówczesny minister zdrowia Konstanty Radziwiłł miał już serdecznie dość reklam i ciągłego wciskania nieświadomym niczego pacjentom często niepotrzebnych suplementów diety, szczególnie tych udających leki. – Idea suplementacji diety jest w większości przypadków zbyteczna. Bardzo wielu z nas daje się po prostu nabrać tym, którzy zachęcają nas uśmiechniętymi buziami. Pracujemy nad tym, żeby nie było ta aż tak powszechne i tak sugestywne – powiedział na antenie TVP Info.

Resort zapowiedział więc walkę z suplementową wolnoamerykanką za pomocą nowelizacji Ustawy o bezpieczeństwie żywności i żywienia. Chciano w nim zrealizować trzy postulaty: po pierwsze, by przed wprowadzeniem produktu na rynek były przeprowadzane badania ich składu, po drugie, by produkty wyraźnie oznaczać (w projekcie pojawiały się nawet propozycje, jaki procent opakowania powinno zajmować ostrzeżenie, że mamy do czynienia z suplementem, a nie lekiem). I po trzecie, by zakazać producentom reklamowania suplementów tak jak leków, czyli np. za pomocą scenek z aktorami udającymi lekarzy czy farmaceutów.

Ponieważ jednak resort zdrowia porzucił projekt, zanim przesłano go do Sejmu, osoby o niewielkiej wiedzy na temat działania mechanizmów reklamy i marketingu, nadal będą nabijane w butelkę.

Nic dla kierowców

Nie zmieni się także Prawo o ruchu drogowym, ściślej – nie będzie oczekiwanych zmian dotyczących funkcjonowania stacji kontroli pojazdów.

Projekt został przygotowany wiosną 2018 r. w ramach wdrożenia dyrektywy UE w sprawie okresowych badań samochodów. Miał być też odpowiedzią na raport NIK dotyczący stacji kontroli pojazdów, który wykazał, że na wielu z nich stan aut jest sprawdzany powierzchownie. Co więcej, okazało się, że stacje same nie są wystarczająco często kontrolowane, a zatem w wielu przypadkach pozostają poza nadzorem starostów. Dlatego Ministerstwo Infrastruktury wymyśliło, że zdejmie z tych ostatnich obowiązek sprawowania pieczy nad stacjami i przekaże go centralnie zarządzanemu Transportowemu Dozorowi Technicznemu. Projekt noweli przewidywał wprowadzenie wyższych o 50% opłat za badanie przeprowadzane później niż 45 dni po terminie.

Ostatecznie w obawie, że stacje kontroli będą nadzorowane zbyt surowo, co też bardzo obciąży budżet państwa, projekt odrzucono. Co ciekawe, stało się to w trybie wycofania go z głosowania po trzecim już czytaniu w grudniu 2018 r. Decyzję podjął Jarosław Kaczyński, zapewne również pod naciskiem przedstawicieli stacji kontroli pojazdów. Niepisana zasada, którą można by zbiorczo opisać jako „panie Wieśku, wymienię te klocki po świętach" nadal więc obowiązuje.

Anna Brzeska

eprasa.pl a9160c3526

Lewomyślniej Roman Kurkiewicz

Policja czy polucja?

Poznańscy policjanci na wezwanie prywatnej, dobrze znanej policji osoby wkroczyli do sądu (gdzie na stałe służbę pełni policja sądowa) i na salę rozpraw, gdzie usiłowali wylegitymować sędzię prowadzącą właśnie sprawę (!!!).

Do Teatru Wybrzeże w Gdańsku wkroczyło dwóch dzielnicowych na wezwanie prywatnej osoby (mężczyzny związanego podobno z jakąś organizacją pozarządową z Warszawy), żeby legitymując widzów przed spektaklem, ustalić, czy nie ma wśród nich osób małoletnich, bo w spektaklu pojawia się „jakiś stopień nagości".

Poznańska policja najpierw nie podejmowała żadnych decyzji wobec mężczyzny podejrzanego o naruszenie miru domowego i nielegalną eksmisję kobiety z dwójką dzieci, a potem kilkanaście godzin, przez całą noc, w zasadzie bezczynnie przyglądała się, jak działacze ruchu lokatorskiego usiłują otworzyć drzwi, żeby zgodnie z prawem „przywrócić stan posiadania". Kazała tylko przerwać prace, argumentując to ciszą nocną, choć żaden lokator jej naruszenia nie zgłaszał. Zabarykadowany mężczyzna z dwójką kompanów nie reagował na żadne wezwania policji. Kiedy rano wreszcie udało się aktywistom otworzyć drzwi, policja wkroczyła na gotowe i zatrzymała przebywających w środku. Mieszkanie było zdemolowane, dobytek kobiety, która z dzieckiem i zwierzętami domowymi spędziła noc na klatce schodowej, został zniszczony.

A z drugiej strony: policja w ciągu kliku godzin znalazła i weszła do domu gdańszczanina, który zasłonił nowe, „zdekomunizowane" tablice z nazwą ulicy Lecha Kaczyńskiego i przywrócił dawną: Dąbrowszczaków. Nie sposób nie wspomnieć o wejściu o godz. 6 rano do mieszkania aktywistki Elżbiety Podleśnej, podejrzanej o obrazę uczuć religijnych (grozi za to do dwóch lat więzienia) za porozklejanie w Płocku plakatów z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej w tęczowej aureoli. Nie bardzo jest co przypominać udział ponad 30 tys. policjantów w tzw. zabezpieczaniu miesięcznic smoleńskich przez kilka lat od 2015 r. Nie sposób zapomnieć o śmierci Igora Stachowiaka, bitego i torturowanego (m.in. przy użyciu paralizatora) we wrocławskim komisariacie – żaden policjant zamieszany w tę zbrodnię nie poniósł takiej odpowiedzialności, jak oczekiwano.

System i reguły wymiaru sprawiedliwości oderwały się od jakichkolwiek realiów.

Wkroczenie policjantów na salę sądową jest z jednej strony czymś niewyobrażalnym, z drugiej zaś przełożeni sumitowali się jeszcze dziwniej: że to młodzi policjanci (trzy lata służby), że nieporozumienie, że wyciągną konsekwencje. Trzy lata służby oznaczają, że podjęli ją już za władzy PiS i zamiast odebrać lekcję prawa i reguł (immunitet sędziowski!!!), nasiąkali praktyką policyjną doby „dobrej zmiany". Nieuzasadniona przemoc wobec pokojowych manifestantów, nielegalne zatrzymania demonstrantów broniących sądów – to oglądali na własne oczy i takie słyszeli rozkazy. Gdzie więc mieli usłyszeć, że demolowany trójpodział władzy przekłada się wciąż na jasne, bezwyjątkowe zasady funkcjonowania i godności instytucji sędziów? Poza tym wysłał ich na tę interwencję oficer dyżurny, pomijając wyznaczoną do interweniowania na terenie sądu policję sądową.

Powiedzieć, że za taką chryję powinni polecieć ze stanowisk komendanci posterunku, komendant wojewódzki, szef policji i odpowiedzialny minister – to jakby nic nie powiedzieć. Ale kiedy równocześnie zamiata się pod dywan aferę hejterską wymierzoną w sędziów krytycznych wobec poczynań władz, a sterowaną bezpośrednio przez wiceministra sprawiedliwości, i udaje, że nic się nie stało, że zdemoralizowani i zdemaskowani sędziowie po prostu „wracają do orzekania", to widzimy, że system i reguły wymiaru sprawiedliwości oderwały się od jakichkolwiek realiów i szybują niekontrolowanym politycznym lotem poza zasadami, przepisami, przyzwoitością i obyczajem.

Z policją jest jeszcze groźniej, bo właściwie się ośmiesza, a to więcej niż błąd, niedopatrzenie, konformizm. Śmieszny, bezradny policjant to portret, jaki udało się PiS wymalować. I nie słyszeliśmy głosu policyjnego sprzeciwu. Oglądamy już nawet nie tyle spektakl operetkowych działań policyjnych, ile paroksyzmy polucyjne, niedojrzałe, niekontrolowane, nie na czas, nie w tym miejscu. I śmiesznо, i straszno.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a9160c3526

Białorusie, doceń naszą gościnność

Zastanawiająca niemoc podlaskich organów ścigania w sprawie wpisów znieważających mniejszość narodową

Arkadiusz Panasiuk

Kilka dni przed IV Marszem Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Hajnówce, który odbył się 23 lutego br., na Twitterze pojawiły się wpisy znieważające mniejszość białoruską w Polsce. Sprawę natychmiast zgłosiłem policji. Pod koniec września śledztwo jednak umorzono z powodu niewykrycia sprawcy. To zastanawiające, bo mnie po kilku godzinach udało się ustalić prawdopodobnego hejtera.

Klękać przed polskim panem

„Panasiuk to typowy białorus – wszystko w temacie. – Bury tępił tą komunistyczną swołocz w Hajnówce", napisał m.in. na Twitterze niejaki „Bob" [pisownia oryginalna – przyp. AP]. Odpowiedziałem mu zgodnie z ustaleniami IPN w Białymstoku z 2005 r. Posłużyłem się przy tym teologicznym wtrętem, zakładałem bowiem, że mam prawdopodobnie do czynienia z fanem ONR, dla którego kwestie religijne, przynajmniej deklaratywnie, mogą mieć znaczenie: „W Hajnówce »Bury« przestraszył się ludowego wojska, więc poszedł na okoliczne wioski bohatersko zabijać cywili. Za to prawdopodobnie smaży się w piekle. Dla niego i jemu podobnych pozostała już tylko apokatastaza... [pogląd w chrześcijaństwie zakładający ostateczne zbawienie dla największych grzeszników, a nawet dla samego szatana – przyp. AP]. Pozdrawiam serdecznie".

„Bob" nie podjął jednak polemiki na gruncie teologicznym. „Wyrzynał w pień białoruską swołocz kolaborującą z zarazą radziecką przeciwko Polakom. Należy mu się cześć i chwała bohaterom. A ty Białorusie zamilcz i klęknij przed polskim panem, dzięki któremu masz chleb. Za czasów radzieckich chodziłeś głodny, doceń naszą gościnność".

Po serii podobnych wypowiedzi uznałem, że „Bobem" powinna zainteresować się policja. Jako dziennikarz mam grubą skórę, ale miarka się przebrała. Wpisy szowinisty bez cienia wątpliwości znieważały grupę ludności z powodu jej przynależności narodowej, o czym mówi wyraźnie art. 257 Kodeksu karnego.

Poinformowałem go na Twitterze, że sprawę zgłaszam organom ścigania, i tak też zrobiłem. Był wściekły, choć robił dobrą minę do złej gry, odpowiadając buńczucznie, że policji się nie boi. Zarazem straszył mnie pozwem, gdybym nie zmienił opinii o kpt. Romualdzie Rajsie „Burym" jako zbrodniarzu, którego rozkazy na przełomie stycznia i lutego 1946 r. doprowadziły do śmierci kilkudziesięciu osób, w tym kobiet i dzieci, tylko dlatego, że nie były katolikami. „Bob" na zmianę opinii o „Burym" dał mi czas do południa 19 lutego. Nie doczekał się.

Prokuratura uwierzyła, policja nie była w stanie

Tego samego dnia zadzwonił znajomy dziennikarz z informacją, że rozmawiał z osobą, która się nie przedstawiła, ale biorąc go za mnie, słowo w słowo powtórzyła swoje ultimatum w sprawie pozwu przeciw Panasiukowi, jeśli ten nie uzna „Burego" za bohatera. Kolega kazał mu „spadać na drzewo", mnie zaś przekazał numer „Boba", który był tak nieostrożny, że go nie zastrzegł.

Za jakiś czas odezwała się do mnie funkcjonariuszka z komendy powiatowej policji w Hajnówce i zaprosiła na przesłuchanie. Przekazałem jej numer telefonu, z którego dzwonił i najprawdopodobniej twittował tajemniczy „Bob", oraz nazwisko kolegi dziennikarza, który do protokołu kilka tygodni później opowiedział raz jeszcze to, co usłyszał od anonimowego szowinisty, dorzucając śledczym screeny SMS-sów ponaglających „Panasiuka" do zmiany jego poglądów o „bohaterze".

Wydawałoby się, że sprawa jest prosta. Ustalić właściciela telefonu i go przesłuchać, aparat zabezpieczyć w celu zbadania go pod kątem usuniętych danych i ewentualnych logowań do mediów społecznościowych w okresie, w którym doszło do popełnienia przestępstwa. Ale spotkała mnie niemiła niespodzianka. W treści postanowienia o umorzeniu dochodzenia, jakie otrzymałem od Jadwigi Magdaleny Borowskiej,

eprasa.pl a9160c3526

IV Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Hajnówce, 23 lutego 2019 r.

asesora Prokuratury Rejonowej w Hajnówce, jest wyłącznie informacja o instytucji, która dysponuje tym konkretnym numerem telefonu.

„Postanowieniem z 11.04.2019 r. zażądano od operatora (tu dane adresowe operatora telefonii komórkowej – przyp. AP) udzielenia informacji dotyczących numeru telefonu [z którego dzwoniono do mojego kolegi – przyp. AP]. Okazało się jednak, że numer ten od 2015 r. do 11.04.2019 r. należał do Pol-lighting Związek Producentów Sprzętu Oświetleniowego, był ogólnie dostępny i mogło z niego korzystać ok. 30 osób. Od dnia 20 kwietnia 2019 r. (zatem około dwóch miesięcy po wykonanych połączeniach telefonicznych w niniejszym postępowaniu) użytkownikiem telefonu jest jedna osoba, która stwierdziła, że nie wie, kim jest Arkadiusz Panasiuk, i nic nie wie na temat wpisów na temat marszów w Hajnówce".

Ani słowa, dlaczego zaledwie dzień po piśmie do operatora telefonii komórkowej ten konkretny numer z dostępnego dla 30 osób stał się numerem przyporządkowanym jednej osobie. Czy prokuratura to weryfikowała, czy zażądała imiennej listy tych kilkudziesięciu osób w celu ewentualnego przesłuchania, czy po prostu uwierzyła na słowo osobie, z którą sobie niezobowiązująco porozmawiała?

Dodatkowo, pewnie żeby zręcznie zamknąć sprawę, w treści umorzenia przywołano informację otrzymaną z wydziału do walki z cyberprzestępczością Komendy Wojewódzkiej Policji w Białymstoku, że „w sprawie złożono na stronie Twittera za pomocą formularza internetowego zapytanie i mimo licznych zapytań e-mailowych nie otrzymano odpowiedzi, zatem nie są w stanie wykonać przesłanego im postanowienia [tejże prokuratury o żądaniu nadesłania danych i zwolnieniu z tajemnicy zawodowej firmy Twitter – przyp. AP].

Tak na marginesie, kilka godzin po zamordowaniu prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza zatrzymywano autorów wpisów na Twitterze grożących śmiercią prezydentom innych miast. Profesjonalizmem swoich podwładnych chwalił się wtedy ówczesny szef MSWiA Joachim Brudziński.

Będzie pan miał proces

Wobec indolencji prokuratury postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce. Na adres znajdujący się na stronie internetowej Związku Producentów Sprzętu Oświetleniowego „Pol-lighting" z siedzibą w Warszawie wysłałem mejl następującej treści, zostawiając jednocześnie kontakt do siebie: „W związku z przygotowywaną publikacją proszę o komentarz. Z numeru telefonu umieszczonego na Państwa stronie (stan na 1 października 2019 r.) 19 lutego br. do mojego kolegi dziennikarza (biorąc mnie pomyłkowo za niego) dzwoniła osoba, która między 17 a 19 lutego br. umieszczała na Twitterze wpisy, które prokuratura zakwalifikowała jako przestępstwo z art. 257 kk. Ta osoba zażądała wtedy ode »mnie« »przeproszenia« kpt. Romualda Rajsa »Burego«, którego oddział na przełomie stycznia i lutego 1946 r. spacyfikował kilka białoruskich wsi, w wyniku czego śmierć poniosło kilkadziesiąt niewinnych osób wyznania prawosławnego. Śledztwo w tej sprawie prowadził białostocki IPN i do tej pory żaden kompetentny historyk jego wyników nie zakwestionował. Jak Państwa firma ocenia ten skandaliczny przypadek? Czy ustalili Państwo w wyniku np. wewnętrznego postępowania, kto może być hejterem z Twittera (*nick* „Bob")? Jeśli tak, to czy wobec tej osoby zastosowano służbowe konsekwencje, zgłaszając przy okazji sprawę organom ścigania?".

Oczywiście zadzwoniłem też na numer telefonu kontaktowego Związku „Pol-lighting", ten sam, który miała prokuratura, prosząc osobę, która go odebrała, o odpowiedź na mojego mejla. Niedługo potem ta osoba, a był to sam dyrektor generalny Michał Waloch, próbowała mnie zmusić do porzucenia tematu, odmawiając jednocześnie odpowiedzi na zadane pytania.

– Jeśli umieści pan w artykule nazwę mojej instytucji, będzie pan miał wielki proces. Jestem radcą prawnym! – zagroził.

Ale odpowiedź po kilkunastu minutach nadeszła. Podpisał się pod nią sam dyrektor Waloch: „18 czerwca 2019 r. przesłałem e-maila w tej sprawie do Prokuratury Rejonowej w Hajnówce o treści: »Przedmiotowy numer w latach 2015-10.04.2019 był używany przez co najmniej 30 osób. Od 10 kwietnia 2019 r. po restrukturyzacji (nowe umowy z operatorem) używany jest przeze mnie«. O ile mi wiadomo śledztwo w tej sprawie zostało umorzone przez Prokuraturę Rejonową w Hajnówce. W pozostałym zakresie nie jest mi wiadomo, że jest prowadzone jakiekolwiek postępowanie przeciwko Związkowi, który prowadzę, dlatego informacje przekazane przez pana uznaję za bezzasadne i rzutujące w dobre imię Związku".

Potem dyrektor dzwonił jeszcze kilkakrotnie, próbując bagatelizować problem hejtera i chwaląc się umorzeniem śledztwa w tej sprawie, mimo że takiej informacji ode mnie nie otrzymał. Ktoś z policji lub prokuratury, łamiąc przepisy, udzielił mu jej, mimo że Waloch w śledztwie nie miał statusu ani osoby poszkodowanej, ani świadka.

– To moja prywatna opinia: „Bury" to bohater – dodał na koniec naszych krótkich telefonicznych rozmów.

I co na to szanowna prokuratura? Billingi czekają... ■

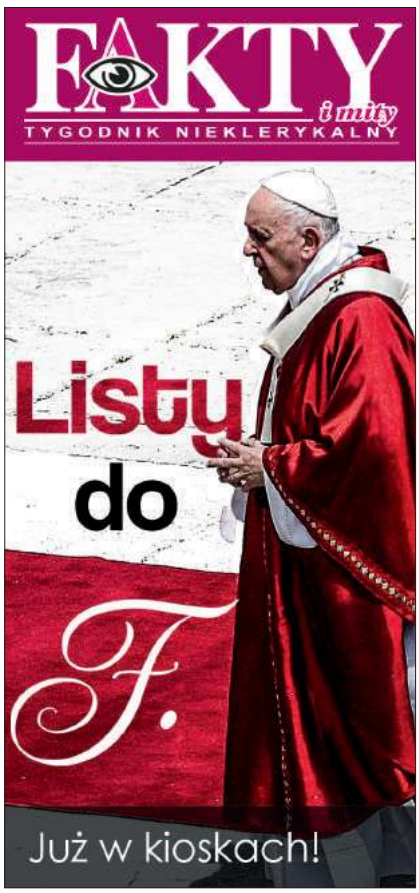

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl a9160c3526

Wiedeńskie walce nad Wisłą

Organizują bale i konferencje naukowe. Ponad 900 członków Towarzystwa Polsko-Austriackiego świętuje właśnie 60 lat jego istnienia

Beata Dżon-Ozimek

– Dlaczego akurat Austria? Zdziwi się pani: przez moją teściową. Opowiadała o Wiedniu, gdzie jej matka wyszła za mąż za Józefa Janikowskiego, działacza PPS, który współpracował z Tomaszem Arciszewskim i Józefem Piłsudskim. Skazany na zesłanie na Syberię zdołał w drodze zbiec do Wiednia. Tam poznał wiedenkę, pannę z rodziny von Marionów. Wzięli ślub, urodziły się im w Wiedniu dwie córki, jedną z nich była matka mojej żony – wspomina prof. Zbigniew Tomkowski, prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Polsko-Austriackiego (TPA), dyplomata, historyk, politolog. Jest jedynym już uczestnikiem spotkania założycielskiego Komitetu Organizacyjnego Towarzystwa Polsko-Austriackiego sprzed 60 lat.

28 grudnia 1959 r. w gabinecie rektora Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Stanisława Turskiego, spotkało się siedem osób. Zapisano trzy strony historycznego protokołu. W punkcie 4 czytam: „Uczestnicy zebrania wymienili poglądy (…), kładąc główny nacisk na kontakty naukowe, środowiska artystycznego, wystawy informacyjne i odczyty". Jako ostatni na protokole podpisał się Zbigniew Tomkowski.

Powołanie do życia nowego stowarzyszenia, zwłaszcza deklarującego przyjazne kontakty ze społeczeństwem państwa kapitalistycznego, nie było łatwe, prof. Turski długo nosił się z tym zamiarem. Dopiero w 1959 r. otrzymał zezwolenie władz na zintensyfikowanie starań.

– Byliśmy jednak w Polsce po 1956 r., Austria w 1955 r. uchwaliła konstytucyjną zasadę wieczystej neutralności, jej teren opuścił ostatni żołnierz wojsk okupacyjnych. Był jeszcze jeden czynnik – zapowiadała się pierwsza w Polsce wizyta Brunona Kreisky'ego, wówczas ministra spraw zagranicznych Austrii. Od 1946 r. w Wiedniu istniało dynamicznie działające Towarzystwo Austriacko-Polskie. Ponoć Kreisky zażyczył sobie spotkania w Polsce z podobnym stowarzyszeniem, tyle że takie jeszcze nie istniało – wspomina prezes. To nie są udokumentowane fakty, podkreśla, ale pokazują klimat czasów.

Prof. Turski zaprosił do Komitetu Organizacyjnego kilka osób, niektóre „z klucza", np. wiceministra handlu zagranicznego Franciszka Modrzewskiego. Obok katolickiego posła dr. Jana Frankowskiego, redaktora naczelnego „Za i Przeciw", i Ryszarda Fabiana Łazarskiego, wybitnego działacza oświatowego i PSL, który potem wniósł ogromny wkład w rozbudowę towarzystwa, obecny był rektor Szkoły Głównej Służby Zagranicznej prof. Tadeusz Cieślak.

– Dominowały dwie uczelnie, UW i Szkoła Główna Służby Zagranicznej. Notabene wtedy zostałem zarażony bakcylem dyplomatycznym. Powstał Komitet Organizacyjny ze Stanisławem Turskim jako przewodniczącym i Tadeuszem Cieślakiem jako sekretarzem. TPA stało się okienkiem na świat, na Europę Zachodnią. Choć do towarzystwa mogła wstąpić każda pełnoletnia osoba (a obecnie także niepełnoletnia), jego członkami zostawali przede wszystkim pracownicy naukowi, prawnicy, dziennikarze, twórcy, tzw. środowisko opiniotwórcze. Tak pozostało do dzisiaj. Ale są też studenci w kołach młodych – dodaje prof. Tomkowski.

Łącznik z Zachodem

Austria oferowała pośrednictwo między blokiem wschodnim a państwami Zachodu. – To ogromna zasługa Austrii, a ściślej Kreisky'ego, który jako dalekowzroczny polityk był promotorem idei dobrego sąsiedztwa. Wiedział, jaką rolę Polska może odgrywać na styku dwóch bloków i co może mieć wpływ na to, jaką politykę będzie prowadziła. Kreisky, kanclerz w latach 1970-1983, uważał, że poprzez współpracę, zaangażowanie polityczne, ekonomiczne, kulturalne Austria i państwa zachodnie mogą pośrednio wpływać na to, co się w Polsce dzieje. Pierwsze lata stosunków polsko-austriackich opierały się na współpracy ekonomicznej, ściślej – handlowej. Pierwsza umowa o współpracy kulturalnej została zawarta dopiero w 1972 r. – mówi prof. Tomkowski. W latach 90. został przyjęty i podpisany protokół do umowy międzypaństwowej, w którym znajduje się sformułowanie, że wysoko oceniane są inicjatywy Towarzystwa Polsko-Austriackiego i Towarzystwa Austriacko-Polskiego, Instytutu Polskiego w Wiedniu i Instytutu Austriackiego w Warszawie.

– Nam Austria była potrzebna jako łącznik z Zachodem, Austrii zaś Polska była potrzebna jako państwo, w którym po pamiętnym 1956 r. były zachowane pewne normy o charakterze demokratycznym – wspomina profesor.

Bez grosza dofinansowania

Obecnie w TPA jest ok. 900 osób, bezinteresownych ambasadorów Austrii. Spotykają się w 14 oddziałach terenowych od Gdańska po Zamość. Biuro to pokój w mieszkaniu państwa Tomkowskich. Utrapienie małżonki prezesa.

– Bywało nas 2 tys., np. w latach 70. Od 1989 r. pracujemy całkowicie społecznie, bez grosza dofinansowania. Wcześniej wszystkie towarzystwa miały przydzielane budżety, kilka etatów, to były spore kwoty – wyjaśnia prezes. Kiedy wrócił z placówki dyplomatycznej w Holandii w 1991 r., rozważano rozwiązanie towarzystwa, które nie radziło sobie w nowej rzeczywistości. Zadłużyło się, podobnie jak wiele tego rodzaju organizacji. Zbigniew Tomkowski został wówczas jego sekretarzem generalnym. Udało mu się ożywić działalność TPA – powstały oddziały w Toruniu, Gdańsku,

eprasa.pl a9160c3526

Spiritus movens Towarzystwa Polsko-Austriackiego: Janusz Gast, Stanisław Szumski, Zbigniew Tomkowski i Andrzej Karliński. W tle pomnik Ryszarda Łazarskiego – współzałożyciela towarzystwa.

Słupsku, Łowiczu, Radomiu i Skierniewicach. Towarzystwo organizowało płatne kursy języka niemieckiego, niewielkie wpływy przeznaczało na działalność programową, ale rynek jest nieubłagany, uczelnie, szkoły językowe, instytuty dysponują poważnymi środkami i oferują słuchaczom lepsze warunki.

– Te towarzystwa są bardzo cenne, ponieważ działają w nich ludzie mający specjalne relacje z Austrią czy z innymi krajami i szczególną wiedzę o tych krajach. Prof. Tomkowski długo pracował w Austrii, część osób ma tam dzieci i wnuki, często podróżują, czują więź emocjonalną z krajem – podkreśla Stella Avallone, w latach 2009-2014 radczyni-minister ambasady Austrii w Polsce, od 2018 r. ambasadorka na Łotwie. – Są wolontariuszami i inwestują dużo czasu w tę aktywność, bez nich austriacka ambasada wielu rzeczy nie mogłaby się podjąć. Organizowane przez nich bale wiedeńskie, Dni Austrii, konferencje – to wszystko pomaga ambasadzie. Towarzystwa wykonują główną pracę, a my wspieramy je naszymi kontaktami, materiałami informacyjnymi. Na wydarzenia przyjeżdżają goście ze sfery gospodarki, kultury, nauki, co umożliwia szerokie kontakty – mówi Stella Avallone.

Buziak z Kirchschlägerem

W maju 1975 r. w Collegium Maius w Krakowie odbyła się poważna konferencja naukowa organizowana wspólnie przez Towarzystwo Polsko-Austriackie, Uniwersytet Jagielloński i Towarzystwo Polonia. Części konferencji przewodniczył Zbigniew Tomkowski. Gościem specjalnym był prezydent Republiki Austrii Rudolf Kirchschläger. – Jaki ja byłem zdenerwowany! Podobno przejawiło się to tym, że zachowywałem się bardzo swobodnie. Koledzy śmiali się, że za chwilę Tomkowski z Kirchschlägerem dadzą sobie buziaka – wspomina dzisiejszy prezes TPA.

Ważny w działalności towarzystwa był rok 1983 – 300. rocznica odsieczy wiedeńskiej. Ówczesny prezes prof. Turski wszedł w skład austriackiego komitetu obchodów, TPA zaś miało wkład w przygotowanie materiałów, konferencje naukowe i wydarzenia w obydwu krajach.

Od powstania towarzystwo cieszy się szacunkiem w kręgach dyplomatycznych i naukowych Austrii. Ambasadorzy przyjmowali zaproszenia do wygłaszania referatów na konferencjach naukowych TPA, jak np. dr Richard Wotava podczas jednej z pierwszych, poświęconej neutralności Austrii. – W prawie każdym naszym zebraniu w latach 60. uczestniczyli chargé d'affaires a.i. Helmut Liedermann, a następnie ambasador Kurt Enderle. W dobrej pamięci mam też ambasadorów: dr. Richarda Wotavę, dr. Gerharda Wagnera, Norberta Prambergera. Fantastyczny był ambasador dr Alfred Längle. Cała jego rodzina ukończyła kursy języka polskiego. Zresztą to on wręczał mi order zasługi dla Austrii – wylicza prezes. W pamięci działaczy TPA pozostaje Stella Avallone, dziś znakomicie układa się współpraca z ambasadorem dr. Wernerem Almhoferem.

Prezes Tomkowski regularnie w Austrii brał udział w światowych spotkaniach podobnych organizacji czy siostrzanego Towarzystwa Austriacko-Polskiego. TPA utrzymuje dobre kontakty z Austriackim Forum Kultury oraz Biurem Radcy Handlowego, z zasłużonymi dla relacji austriacko-polskich organizacjami austriackimi takimi jak Internationale Chopin-Gesellschaft pod wodzą prof. Theodora Kanitzera czy ze Związkiem Polaków w Austrii Strzecha, który w tym roku obchodzi 125-lecie.

> To nie jest zajęcie dla osób, które chcą mało z siebie dawać.

– Przez pewien czas wydawałem kwartalnik „Wiadomości", gdzie zamieszczane były artykuły poświęcone Austrii i współpracy polsko-austriackiej oraz odnotowywane najważniejsze przedsięwzięcia TPA. Obecnie mamy stronę internetową, prowadzi ją Janusz Gast, mój zastępca. Niestety, materiały historyczne towarzystwa są szczątkowe, rozproszone, wiele

eprasa.pl a9160c3526

zaginęło podczas przeprowadzek – dodaje prezes Tomkowski.

9 miliardów i Piotr Beczała

– Jednym z pierwszych moich pytań po przyjeździe do Warszawy w 2009 r. było, czy istnieje Towarzystwo Polsko-Austriackie. Spotkałam się z prof. Zbigniewem Tomkowskim, mieliśmy pierwszą wymianę opinii, potem raz na miesiąc spotykaliśmy się z członkami towarzystwa. Za każdym razem pojawiały się nowe idee, przedsięwzięcia, organizowaliśmy w różnych miastach Dni Austrii – wylicza Stella Avallone.

W 2017 r. TPA podjęło nową inicjatywę. – Wiele województw, miast i powiatów, w których znajdują się jego oddziały, współpracuje z Austrią. Współdziałają samorządy różnych szczebli w Polsce i w Austrii, ale nikt nie wie, jaki jest tego zasięg. Uznaliśmy, że warto coś z tym zrobić. Andrzej Karliński, sekretarz ZG TPA, stworzył koncepcję Polsko-Austriackiego Forum Samorządowego, razem z kolegami z TPA docierał do polskich i austriackich samorządów – wyjaśnia Zbigniew Tomkowski.

Bardzo dobre kontakty mamy też w kulturze. Wystarczy wspomnieć Piotra Beczałę, gwiazdę Wiedeńskiej Opery Narodowej i Festiwalu w Salzburgu, który zaczynał karierę w Linzu. Teraz czekamy na „Halkę" w Wiedniu z okazji jubileuszu Stanisława Moniuszki.

Społecznictwo wymaga czasu i środków

Społecznictwo wymaga czasu i środków z własnego konta. Siłą rzeczy działacze wciągają do aktywności swoich najbliższych czy znajomych. Dzięki nim odbywają się prelekcje, odczyty, spotkania, projekcje filmowe itd. Wrocławski oddział z prezesem Lubomirem Wędzichą, jednocześnie wiceprezesem ZG, znany jest z interesujących wycieczek.

– Udało nam się nawiązać kontakt z Ogólnopolskim Stowarzyszeniem Nauczycieli Języka Niemieckiego. To bardzo cenne, bo realizujemy z nimi konkursy wiedzy o Austrii dla młodzieży szkolnej, organizowane przez oddział radomski czy w Olkuszu. Pragniemy pozyskać ich dla towarzystwa, tym samym dla

Austria to ósmy inwestor i eksporter w Polsce, a nasz kraj jest dziewiątym importerem do Austrii.

Pierwsze forum odbyło się w Rzeszowie w kwietniu 2018 r. Zostało zorganizowane przez TPA i urząd miasta. Wzięło w nim udział 105 osób z Polski i Austrii, w tym oficjalne delegacje, konsulowie honorowi Austrii, przedstawiciele samorządów różnych szczebli. – Forum okazało się sukcesem. Jeden z członków zarządu województwa powiedział publicznie: „Jak to się stało, że my tu pracujemy od wielu lat, ale nikt nie wpadł na pomysł, żeby się spotkać, i trzeba było do tego dopiero Towarzystwa Polsko-Austriackiego" – zauważa Karliński. TPA już przygotowuje kolejną edycję wydarzenia.

Stella Avallone podkreśla, że bardzo dobre są polsko-austriackie kontakty gospodarcze. Ich wartość wynosi 9 mld euro. Austria to ósmy inwestor i eksporter w Polsce, a nasz kraj jest dziewiątym eksporterem do Austrii: – To więcej niż wymiana z innymi krajami. Ponad 550 austriackich firm ma przedstawicielstwa w Polsce. Austrii. I zaczyna nam się udawać. Od ok. 20 lat organizujemy Dni Austrii, kompleksowe imprezy kulturalne, do których włączają się samorządy, np. w Łowiczu, Lublinie, Toruniu, Częstochowie, Cieszynie – wylicza sekretarz generalny Stanisław Szumski.

– Wiele naszych oddziałów jest wciąż bardzo ściśle związanych z uczelniami. Na przykład we Wrocławiu, gdzie wielu pracowników uniwersytetu jest członkami TPA, a dyrektor Instytutu Historii, prof. Rościsław Żerelik, wiceprezes oddziału, bardzo dużo wnosi do jego działalności – mówi prof. Tomkowski. W Lublinie działa niedawno odtworzone TPA przy Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, prezeską jest dr Elżbieta Muciek. Oddział w Łodzi prowadzi dr Agnieszka Kisztelińska-Węgrzyńska. Można by długo tak wymieniać.

Troską prezesa Tomkowskiego są ludzie. Niedawno zmarł red. Czesław Skonka, prezes zarządu oddziału w Gdańsku, przez ponad 20 lat animator jego działalności. – Niepokoimy się, bo to nie jest zajęcie dla osób, które chcą mało z siebie dawać. Trzeba utrzymywać kontakty z ludźmi, spotykać się; jest kilka takich osób, prowadzę z nimi negocjacje. To był bardzo aktywny oddział. Organizował konferencje popularnonaukowe w Polsce i w Austrii, miał dobre kontakty ze Strzechą, z duszpasterstwem polonijnym. Zajmował się cmentarzami austriackimi na Pomorzu, podobnie jak swego czasu w Przemyślu, teraz w Zamościu, gdzie prezesem został mec. Roman Podświadek. W Przemyślu zmarł prezes, architekt, który dbał także o renowację zabytkowych fortów. W Krakowie i w Białej Podlaskiej nie ma już oddziałów – martwi się Zbigniew Tomkowski. Cieszy się za to z pełnych energii oddziałów w Częstochowie z prezeską dr Bogumiłą Kmieć oraz w Radomiu, także z kobietą na czele, Ireną Szcześniak.

Prof. Tomkowski planuje odejść za dwa, trzy lata ze stanowiska szefa Towarzystwa Polsko-Austriackiego. Na razie nie czas o tym myśleć, bo trwają przygotowania do gali jubileuszu 60-lecia. – Przed nami wyjątkowe spotkanie działaczy TPA z wielu miast Polski z zaproszonymi gośćmi z Austrii, przedstawicielami władz oraz zaprzyjaźnionych organizacji i instytucji – mówi Janusz Gast, wiceprezes ZG TPA. Dzięki życzliwości rektora Uniwersytetu Warszawskiego prof. Marcina Pałysa spotkają się 16 listopada w murach uczelni, tam gdzie TPA się narodziło.

Ambasadorka Stella Avallone życzy towarzystwu kolejnych 60 lat i więcej. – Żeby rozwijali dużo nowych idei, które mogą pomóc kontaktom między naszymi krajami. Życzę dużo ciekawych wydarzeń. Ważna jest też dokumentacja wszystkich aktywności towarzystwa. Muszę jednak powiedzieć, że mamy w Austrii zadanie domowe do odrobienia – w Polsce ludzie wiedzą więcej o Austrii, niż Austriacy wiedzą o Polsce. Musimy coś z tym zrobić.

A Zbigniewa Tomkowskiego zawsze wzrusza, kiedy od Austriaków słyszy o sobie: „Austriak z serca".

Beata Dżon-Ozimek

Autorka dziękuje za pomoc Kazimierzowi Fordonowi, sekretarzowi ZG TPA

eprasa.pl a9160c3526

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Austriak w Warszawie

Polska dla Austriaków jest krajem wciąż do odkrycia

DR WERNER ALMHOFER
– od 2017 r. ambasador Republiki Austrii w Polsce

Austria jest popularna w Polsce, Polska w Austrii mniej.

– Do Austrii, m.in. dzięki działalności organizacji promujących turystykę, bez wątpienia trafia więcej polskich turystów niż Austriaków do Polski. Te proporcje jednak się zmieniają. Zainteresowanie Polską bardzo wzrosło, także dzięki możliwościom komunikacyjnym, bezpośrednim połączeniom kolejowym i lotniczym do Warszawy, Krakowa czy Gdańska. Trudno znaleźć porównywalny kraj, z którym stosunki gospodarcze tak się rozwijają. Pozostaje pytanie o związki emocjonalne, krystalizowanie się określonych tematów. Kwestie historyczne nie są już tak istotne i chociaż każdy w Wiedniu zna Sobieskiego, to np. tematyka związana z Galicją nie jest powszechnie obecna, zwłaszcza wśród młodych ludzi. Zastanawiamy się, jak wzmocnić zainteresowanie Polską. Pomagają zarówno kontakty osobiste, jak i te między instytucjami. Uważam również, że bardzo ważne są wymiana młodzieży w ramach programu Erasmus oraz fakt, że oba nasze kraje są członkami Unii Europejskiej.

Jest pan jednym z honorowych patronów obchodów 60-lecia Towarzystwa Polsko-Austriackiego. Mówi się, że to „Austriacy z serca".

– Bardzo cenne z punktu widzenia każdego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i każdej ambasady jest to, że istnieją ludzie, którzy interesują się kulturą, sprawami innego kraju, a jeszcze lepiej, jeśli się organizują, jak w przypadku Towarzystwa Polsko-Austriackiego. Widzę wielką aktywność tego stowarzyszenia, przedsięwzięcia kulturalne, konferencje, wydawnictwa, które pozwalają Austrii się zaprezentować, być obecną w społeczeństwie polskim. To szczególne w działalności TPA, że dociera do społeczeństwa, które nie jest powszechnie niemieckojęzyczne.

Otwarte granice, internet, szybka komunikacja. Po co w XXI w. takie organizacje jak TPA?

– Właśnie jubileusz jest dobrą okazją, by z takim pytaniem się zmierzyć, zobaczyć, jak taka organizacja się zmienia w obliczu nowych wyzwań. Z drugiej strony to platforma podejmowania pewnych tematów. Tworzą się grupy przyjaciół, którzy np. razem wybierają się na operę, są zainteresowani architekturą i – co ważne – nie pozostają jedynie przy tematyce zawodowej, ale sięgają po inne aspekty, pogłębiają wiedzę. To jest dla mnie piękne w tej działalności. Mamy też publikacje z bardzo konkretnie stawianymi problemami, rozpatrywanymi przez naukowców o odmiennych spojrzeniach – książki te można wziąć do domu. Zawsze aktualne jest pytanie, dokąd zmierza organizacja, z jakimi wyzwaniami się mierzy, jak przyciąga młodych ludzi. Jaka tematyka powinna być podejmowana, by utrzymać zainteresowanie, ku jakim tematom bardziej trzeba się zwrócić, jak zwiększyć różnorodność? Może elektronika czy sztuka współczesna, może kulinaria?

Wspomniał pan o języku. Bardzo wielu Polaków uczy się niemieckiego, ale to angielski częściej pośredniczy w kontaktach z Austriakami, Austrią.

– To także intrygujące pytanie: czy potrzebuję do zajmowania się Austrią lub Polską znajomości języka tego kraju, czy też przyjmujemy obecność trzeciego i na nim się opieramy, by się porozumiewać? Sam uczę się polskiego, co nie jest łatwe, ale pięknie byłoby móc się porozumiewać tutaj w tym języku. Wielu Polaków wydaje się wręcz dumnych, że polski jest taki trudny – choć i niemieckiego wcale nie tak łatwo się nauczyć. Pozostaje więc pytanie, czy rozmowa, wymiana będzie lepsza w słabym niemieckim i polskim, czy w dobrym angielskim.

A jak z tym językiem polskim, panie ambasadorze? Jaki jest pana ulubiony „językowy łamacz"?

– Nie mam rankingu trudnych słów (śmiech), za każdym razem to coś nowego. Trudne są pisane wyobrażenia dźwięków, te różne ż, rz i sz, cz. Nie mam też jeszcze polskiego „reprezentacyjnego" zdania. Próbujemy z kolegami powiedzieć czasami publicznie coś po polsku i te próby spotykają się zawsze ze świetnym przyjęciem, bez względu na to, jak dobrze czy jak źle to zrobimy. Godna uznania jest tolerancja uszu polskich słuchaczy na nieudolne próby zagranicznych gości.

Proszę przyjąć najlepsze życzenia z okazji Święta Narodowego Austrii, które przypadało 26 października. Dziękuję za rozmowę.

– Dziękuję bardzo. Ja także życzę wszystkiego dobrego (po polsku). ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a9160c3526

Rewolucja w komunikacji

Publiczne samochody elektryczne i autostrady dla hulajnóg – tak będzie wyglądał transport przyszłości

Mateusz Mazzini

Perugia na pierwszy rzut oka wygląda na stereotypowe wręcz, jak z wakacyjnej pocztówki, miasto na Półwyspie Apenińskim. Nie za duże, nie za małe, porozrzucane między wzgórzami i dolinami, z przewagą starych, kamiennych budynków pokrytych rudą dachówką i szafranowym bądź ceglanym tynkiem. To jednak tutaj rozpoczęto poszukiwania sposobu na zmianę zasad dominujących w miejskim transporcie. W Perugii bowiem niezwykle trudno zharmonizować komunikację publiczną i prywatną. Przy 167 tys. mieszkańców jest dopiero 23. największym miastem w całych Włoszech, ale historyczna, często niska zabudowa i ukształtowanie terenu powodują, że pod względem powierzchni zajmuje już 11. miejsce. Na takim terenie planowanie transportu publicznego okazuje się szczególnie skomplikowane, bo odległości są na tyle duże, by władze lokalne umożliwiały mieszkańcom poruszanie się komunikacją miejską, a jednocześnie potencjalnych jej użytkowników jest tak mało, że utrzymywanie połączeń bywa nieopłacalne. Zwłaszcza że nie za wielka społeczność miasta przekłada się na mniejsze dochody z podatków, a więc i mniej pieniędzy w samorządowym budżecie.

Rowerem po Perugii

Dlatego zdecydowano się zoptymalizować trasy miejskich autobusów. Do tej pory wytyczano je za pomocą tradycyjnych metod, opartych na liczbie mieszkańców danego osiedla czy dzielnicy, lokalizacjach najważniejszych atrakcji turystycznych i budynków użyteczności publicznej, takich jak szkoły czy szpitale. Nie do końca spełniało to swoje zadanie, bo autobusy często jeździły puste albo stawały w korkach na krętych uliczkach centrum. Władze lokalne, wykorzystując środki unijne z programu CIVITAS, postanowiły więc raz jeszcze usiąść nad komunikacyjną mapą miasta.

Przede wszystkim część starówki stała się strefą dostępną tylko dla pieszych, rowerów i komunikacji miejskiej. Pozwoliło to znacznie skrócić czas przejazdu autobusów, które nie musiały już stać w korkach ani manewrować pomiędzy dziesiątkami często nielegalnie zaparkowanych aut. Dodano też nowe przystanki, co skłoniło do częstszego korzystania z miejskich autobusów chociażby turystów i studentów uniwersytetu. Wytyczono również więcej tras dla autobusów ekspresowych, przecinających miasto z północy na południe czy ze wschodu na zachód.

Dodatkowo, jak piszą autorzy raportu z wdrażania programu CIVITAS, miasto bardzo zaangażowało się w popularyzację roweru jako środka transportu. Perugia ma własną sieć rowerów miejskich, w tym rowerów elektrycznych. Roczny abonament na korzystanie z nich kosztuje zaledwie 30 euro, a stacje zlokalizowane są najczęściej przy przystankach autobusowych, by połączyć obie formy komunikacji. Dla tych, którzy wolą się poruszać własnymi rowerami, miasto zbudowało kilka publicznych rowerowni, które przykryte zostały panelami fotowoltaicznymi i czerpią energię ze źródeł odnawialnych.

Z przerysowania tras i inwestycji w rowery Perugia odniosła jeszcze jedną korzyść. Analiza miejskiej sieci

eprasa.pl a9160c3526

Flota elektrycznych taksówek w chińskim mieście Xi'an.

dróg pokazała, że są one w fatalnym stanie, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Uchybienia dotyczyły szczególnie znaków drogowych, wytyczonych pasów jezdni, przejść dla pieszych i słabo oznakowanych ścieżek rowerowych. Dlatego równolegle z przerysowaniem siatki połączeń Perugia przemalowała swoje drogi, co przełożyło się na spadek liczby ofiar wypadków w mieście i jego okolicach o ponad 40%.

California zielonym prymusem

Nowe trasy autobusów miejskich, zmiana klasyfikacji ulic i publiczne rowery to jednak rozwiązanie tyleż popularne, co już niewystarczające, by zrewolucjonizować transport publiczny, zwłaszcza w ogromnych aglomeracjach. W dobie katastrofy klimatycznej i coraz większej świadomości szkód, jakie środowisku naturalnemu wyrządzają samochody, władze lokalne na całym świecie starają się zmusić mieszkańców do wyboru innych środków transportu. Żeby ta misja zakończyła się sukcesem, muszą im zapewnić dobrą alternatywę.

Problemy z samochodami w miastach najlepiej ilustruje przykład Stanów Zjednoczonych. Według danych think tanku Brookings Institution aż 150 mln mieszkańców tego kraju (ok. 45%) codziennie przynajmniej raz korzysta z samochodu. Z tego aż 76% jeździ swoim prywatnym autem bez innych pasażerów. To liczba szokująca, bo przekłada się na minimum 115 mln przejazdów z jedną osobą w samochodzie. Tylko w ciągu jednego dnia. Dlatego amerykańskie miasta chcą jak najszybciej wymienić auta o napędzie spalinowym na samochody elektryczne. Przodują w tym przede wszystkim aglomeracje kalifornijskie – Los Angeles, San Francisco i San Jose. Jak wynika z raportu ICCT, Międzynarodowej Rady Czystego Transportu, te trzy miasta chcą w ciągu najbliższych trzech lat doprowadzić do sytuacji, w której co drugi samochód poruszający się na ich terenie będzie napędzany prądem.

Ekologiczne taksówki

To ambitne założenia, problem jednak polega na tym, że samochody elektryczne są wciąż bardzo drogie. Ponadto ich ładowanie zajmuje sporo czasu, co w połączeniu z kosztami zakupu sprawia, że pod względem finansowym i logistycznym są bardziej kaprysem niż realnym rozwiązaniem dla mas. Doskonale odzwierciedlają to inne dane przytoczone dwa lata temu przez ICCT. Jak wynika z badań dostępności i wyników sprzedaży samochodów elektrycznych, aż 45% wszystkich tego typu samochodów porusza się po drogach zaledwie 25 aglomeracji miejskich na świecie, głównie w Kalifornii, Londynie, Skandynawii i Chinach. To statystyka o tyle ciekawa, że te same obszary odpowiadają jedynie za 12% sprzedaży wszystkich samochodów.

Dlatego coraz częściej mówi się o wprowadzaniu w dużych miastach publicznych samochodów elektrycznych. Na razie stworzenie ekologicznych miejskich flot jest operacją zbyt kosztowną dla jakiejkolwiek administracji lokalnej, przodują więc w tym zakresie partnerstwa prywatno-publiczne. Jeden z najbardziej znanych tego przykładów to VELOZ, który łączy w sobie cechy organizacji pozarządowej i start-upu. Zrzesza przedstawicieli zarządów firm motoryzacyjnych, urzędników i naukowców, którzy od 2010 r. pracują nad przygotowaniem Kalifornii do stworzenia floty 5 mln zeroemisyjnych samochodów do 2030 r. VELOZ zajmuje się wszystkimi płaszczyznami „elektrycznej rewolucji samochodowej" – od organizowania konferencji, przez nagrywanie filmów promocyjnych z Arnoldem Schwarzeneggerem, po zbieranie pieniędzy na publiczne stacje ładowania aut. I choć wiele firm wspierających tę organizację finansowo, takich jak Uber, Lyft, Audi, Chrysler czy Amazon, robi to wyłącznie z powodów wizerunkowych, twórcy VELOZ szacują, że zebrane przez nich pieniądze już teraz mogłyby pozwolić na wymianę kilkunastu tysięcy miejskich taksówek na samochody elektryczne.

Właśnie w sektorze taksówkarskim szansę na ekologiczną zmianę widzą też władze Pekinu, które chcą, by wszystkie takie pojazdy do 2025 r. były elektryczne. A jest co wymieniać, bo taksówek w stolicy Chin jest 69 tys. Tym samym tropem, choć z różnymi horyzontami czasowymi, chcą podążać inne chińskie metropolie: Hangzhou, Tianjin, Shenzhen, Qingdao i Xi'an. W Europie pełną wymianę taksówek na elektryczne w najbliższych latach planują Amsterdam i Londyn, a ma ona objąć nie tylko licencjonowanych przewoźników, ale również platformy tzw. car sharingu, np. Ubera czy Lyft.

Plusy i minusy hulajnogi

Są jednak miejsca na świecie, które oprócz rewolucjonizowania tradycyjnych środków transportu zajmują się tymi zupełnie nowymi – chociażby wszechobecnymi już elektrycznymi hulajnogami. Korzyści dla komunikacji publicznej są, wydawałoby się, oczywiste. Brak emisji, niski koszt produkcji, możliwość swobodnego docierania niemal wszędzie, niewielkie wymagania infrastrukturalne.

Elektryczne hulajnogi stały się tak wygodne i popularne, że władze niektórych miast, m.in. Waszyngtonu, Londynu i indyjskiego Bangaluru myślą o wprowadzeniu specjalnych autostrad czy ścieżek tylko dla nich. Problem z tymi pojazdami pojawia się na poziomie mikro, czyli w konsekwencjach dla pojedynczego obywatela. Nasilenie się ich użycia wyraźnie przekłada się na spadek korzystania z miejskich rowerów, co w szerszej perspektywie może, przez brak ruchu, mocno odbić się na zdrowiu mieszkańców. Ponadto firmy obsługujące elektryczne hulajnogi lobbują, by nie były one klasyfikowane jako pojazdy, którymi można jeździć tylko w kaskach, bo znacznie zwiększyłoby to koszty utrzymania całej platformy.

Jak zatem widać, przyszłość transportu publicznego zależeć będzie od umiejętnych przeróbek tego, co już mamy, z rozsądnym aplikowaniem nowości. I raczej nie będzie to autostrada do sukcesu, ale kręta droga pełna przeszkód. ■

Władze Pekinu chcą, by do 2025 r. wszystkie taksówki były autami elektrycznymi.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl a9160c3526

Eugeniusz Guz

List biskupów polskich czy polsko-niemieckich?

Dopiero po 30-40 latach od przekazania Niemcom listu wyszło na jaw, że abp Kominek wielokrotnie konsultował jego projekt z biskupami niemieckimi

W zderzaniu się państwa i Kościoła przez prawie półwiecze PRL żadne wydarzenie nie wywołało tak gigantycznego rozgłosu jak list polskich biskupów do biskupów niemieckich, przekazany im 18 listopada 1965 r. w Rzymie podczas Soboru Watykańskiego II. Stanowisko biskupów ostro krytykowali zarówno I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR Władysław Gomułka, jak i ówczesny premier Józef Cyrankiewicz.

Kościół nie pozostawał dłużny. Obszernym komunikatem zareagowała Konferencja Episkopatu Polski, która obradowała 15 i 16 grudnia 1965 r., kard. Stefan Wyszyński w kilku kazaniach wygłoszonych w grudniu 1965 r. oraz w styczniu 1966 r. odpierał ataki władz. W kazaniach polemizowali również inni biskupi. Wielokrotnie w kraju i za granicą wypowiadał się w obronie listu jego autor, biskup wrocławski Bolesław Kominek. Prasowych tekstów katolickich także było co niemiara. Kampania medialna trwała do połowy 1966 r.

Obie strony dyskusji przez dziesięciolecia pozostawały nieświadome jednego bardzo ważnego faktu. Dopiero po 30-40 latach od przekazania Niemcom listu wyszło na jaw, że abp Kominek, główny, właściwie wyłączny autor listu, wielokrotnie konsultował jego projekt z biskupami niemieckimi. Udostępniał poza tym tekst niemieckim osobom świeckim.

Powszechnym zwyczajem jest konsultowanie tekstu wspólnego. Przykładem może być konsultowany przez dyplomatów Polski i RFN przeszło rok tekst układu o uznaniu granicy na Odrze i Nysie, podpisanego w Warszawie 7 grudnia 1970 r. przez kanclerza RFN Willy'ego Brandta i premiera Józefa Cyrankiewicza.

Było rzeczą naturalną, że abp Kominek, przygotowując trudne orędzie, sondował w rozmowach z adresatami listu ich opinie na kwestie polsko-niemieckie, które chciał przedstawić. Natomiast przekazywanie, i to kilkakrotne, niemieckim biskupom do oceny samego projektu listu jest całkowicie wbrew obowiązującemu zwyczajowi. Dziwi, że mimo upływu przeszło półwiecza nikt, ani w przebogatej polskiej literaturze publicystycznej, ani w książkach, takich zastrzeżeń nie zgłaszał. Co gorsza, tam, gdzie o konsultacjach wspominano, odnotowano je jako rzecz normalną, niebudzącą zastrzeżeń.

Dyskrecja hierarchów

Przez dziesięciolecia fakt konsultowania listu z Niemcami był u nas zupełnie nieznany. Sam abp Kominek w przemówieniu w katedrze wrocławskiej 6 lutego 1966 r., w którym bronił, zresztą celnie, swoich racji przed licznymi krytykami, ani słowem nie wspomniał o tych konsultacjach, chociaż wygłosił najobszerniejszy tekst, jaki w ogóle zdarzyło się biskupom wygłaszać wówczas z ambony („Więź" 1984, nr 7).

Dyskrecję zachowywaną przez hierarchów po obu stronach przełamali dopiero pod koniec XX w. niemieccy dziennikarze. Wieść o konsultacjach zaczęła stopniowo przenikać do polskich publikacji naukowych, nielicznych zresztą i przeważnie niskonakładowych. Czyli w odbiorze społecznym temat ten pozostaje nieznany.

Z dziennikarzy niemieckich, którzy wpadli na trop konsultacji, najdokładniej udokumentowała je warszawska korespondentka prasy niemieckiej Edith Heller w książce „Kościół politykuje" wydanej w 1992 r. Do polskiego wydania tej książki nie doszło. Prawdopodobnie ujawniała za dużo zakulisowych sytuacji.

Jak pisze Edith Heller, zanim abp Kominek podzielił się wstępnym projektem listu z polskimi hierarchami w Rzymie, pierwszą jego wersję przedstawił 4 października 1965 r. kilku biskupom niemieckim. Początkowo nawet prymas nie wiedział o tej inicjatywie. Zaledwie po kilkunastu dniach nastąpił kolejny kontakt. „Kilku przedstawicieli episkopatu Niemiec zapoznało się już pod koniec października z pełną treścią listu, a ekspertyza tekstu, zamówiona przez nich u znanego historyka Huberta Jedina nosi nawet datę 16 października" („Res Publica" 1990, nr 4, także Heller, s. 61). Ostateczny tekst listu biskupi niemieccy, zdaniem Edith Heller, otrzymali już 27 października.

Bliskie i częste kontakty abp. Kominka z adresatami listu potwierdzają również inni badacze. „Treść listu biskupów polskich do niemieckich była konsultowana ze stroną niemiecką" – to ks. Jerzy Myszor. Piotr Madajczyk przypomina: „4 października 1965 r. biskupi polscy spotkali się w Rzymie z kilkoma biskupami niemieckimi, mianowicie z Franzem Hengsbachem, Ottonem Spülbeckiem i Josephem Schröfferem. »Przyjęto nas bardzo serdecznie – wspominał bp Franz Hengsbach – i z polską gościnnością. W czasie wieczoru i w tym Gremium Caritas snuto rozważania, które niewątpliwie zaliczyć trzeba do przesłanek duchowych znanych już dziś listów«". Według Hansajakoba Stehlego podczas spotkania oceniono fragmenty przygotowywanego orędzia.

Ostateczną wersję polskiego listu najpierw poznali 27 października biskupi niemieccy. Prymas otrzymał tekst do podpisu 13 listopada.

Również Jan Żaryn zwraca uwagę, że „orędzie było konsultowane z niektórymi hierarchami niemieckimi, a także z publicystami chrześcijańskimi związanymi z Konradem Adenauerem". Jedno lakoniczne zdanie w 650-stronicowej książce to trochę skromnie.

eprasa.pl a9160c3526

Abp Bolesław Kominek, abp John Krol z Filadelfii, prymas kard. Stefan Wyszyński i abp. Arturo Tabera Araoz z Pampeluny we Wrocławiu, podczas uroczystości tysiąclecia chrztu Polski, październik 1966 r.

Basil Kerski zauważa: „Orędzie nie było dla niemieckich biskupów niespodzianką. Od wielu tygodni nie tylko byli poinformowani o zamiarze polskiego episkopatu, ale także znali treść orędzia. 27 października Kominek przekazał projekt listu swojemu rozmówcy w niemieckim episkopacie z prośbą o propozycje poprawek".

W publikacji „Chrześcijańskie przebaczenie" abp Kominek wspomina, że w orędziu uwzględniono „trudności i obolałe pretensje oraz urazy wysuwane przez stronę niemiecką". Te obolałe pretensje znalazły się w następstwie niemieckich oczekiwań – to fragmenty orędzia mówiące o niemieckim wkładzie w rozwój polskiej religijności, kultury i gospodarki czy wspomnienie o cierpieniach Niemców wypędzonych ze stron ojczystych. Szczególnie „wypędzenie" doprowadziło do szewskiej pasji rządzących PRL, bo jeżeli już użyć tego określenia, to wypędzili Niemców sygnatariusze układu poczdamskiego, a nie Polacy. Ile zastrzeżeń i wniosków do polskiego tekstu zgłosili niemieccy konsultanci i które zostały uwzględnione, dokładnie nie wiadomo, bo informacje są ukryte w niedostępnych niemieckich archiwach kościelnych. Być może częściowo także w kościelnych archiwach polskich.

Nie odrzucajcie tej obopólnej szansy

Na wymowny szczegół kontaktów Kominka z niemieckimi biskupami zwraca uwagę publikacja Basila Kerskiego i Roberta Żurka: „Chodzi o notatkę, jaką Kominek jesienią 1965 r., a więc w czasie gdy powstawało orędzie, przekazał niemieckiemu księdzu Alfredowi Sabischowi, oraz o komentarz tego drugiego. Sabisch pracował w latach 1945-1960 w diecezji wrocławskiej, stąd znał Kominka osobiście. W roku 1965, pięć lat po wyjeździe do Niemiec Zachodnich, postanowił skorzystać z faktu, że polski hierarcha przebywa w Rzymie, i odwiedzić go. Nie jest jasne, w jakim celu Kominek przekazał swą notatkę Sabischowi, wiadomo, że ten, wraz z komentarzem, poufnie przesłał ją dwóm duchownym z kręgów katolickich wypędzonych. Dokumenty te odnalazł i opublikował niedawno prof. dr Joachim Köhler".

Według książki Joachima Köhlera bp Sabisch pisze o „bardzo pojednawczym tonie", w jakim Kominek zwraca się do biskupów niemieckich.

Włodzimierz Borodziej, historyk ceniony po obu stronach Odry, w wydanej w 2005 r. przez Fundację im. Friedricha Eberta publikacji „40 Jahre Deutsch-Polnische Verständigung", zaznacza, że „biskupi niemieccy współuczestniczyli w procesie powstawania orędzia".

Ostateczną wersję polskiego listu najpierw poznali 27 października biskupi niemieccy. Prymas otrzymał tekst do podpisu 13 listopada, a po nim składali podpisy pozostali. Abp Kominek zwlekał z przekazaniem dokumentu naszym biskupom do podpisu, bo a nuż Niemcy zgłoszą jeszcze jakieś zastrzeżenia i ostateczny tekst trzeba będzie korygować.

Pełen obaw, jak zareagują Niemcy, abp Kominek załączył do przekazanego 27 października listu jeszcze krótki liścik. Z własnej inicjatywy czy w uzgodnieniu z innymi polskimi biskupami, tego ustalić nie sposób. Oto tekst:

„Wasza Ekscelencjo!

Fecimus, quod potuimus. Nie napisaliśmy tego tylko dla narodu niemieckiego – ale i dla naszego. Nie ma w tym doprawdy żadnych tanich fałszów historycznych, Wydaje się nam, że zaistniała duża szansa – szansa dokonania zwrotu w dotychczasowej sytuacji. Przykładamy do tego orędzia o wiele więcej wagi aniżeli do listów skierowanych do innych episkopatów. Prosimy, nie odrzucajcie tej obopólnej szansy. Niechaj Bóg Wam wynagrodzi! Prosimy nanieść poprawki na marginesie lub w samym tekście. – O ile możliwe do jutra – czwartku".

Basil Kerski komentuje: „To niezwykłe, że Kominek niemal błagalnie prosił o pozytywne przyjęcie gestu, za który, patrząc z dzisiejszej perspektywy, niemieccy biskupi powinni mu być tylko wdzięczni. To zachowanie jest zrozumiałe tylko wówczas, gdy założymy, że strona niemiecka miała poważne wątpliwości". Trudno nie zauważyć, że zarówno z dzisiejszej, jak i wczorajszej oraz przedwczorajszej perspektywy o przebaczenie powinni prosić przede wszystkim Niemcy.

Skoro abp Kominek kilkakrotnie zapraszał niemieckich biskupów do konsultacji tekstu, to przyznawał im, logicznie rzecz biorąc, prawo wprowadzania zmian do polskiego listu.

eprasa.pl a9160c3526

Czynił ich wręcz współtwórcami adresowanego do nich tekstu.

Ilu autorów miał list

Podczas gdy obraz konsultacji abp. Kominka z hierarchami niemieckimi jest przejrzysty i udokumentowany, nie można już tego powiedzieć o kontaktach hierarchy z polskimi biskupami. Relacje zachowały się mętne i sprzeczne. Według ks. Jerzego Myszora „głównym autorem listu polskiego episkopatu był abp Bolesław Kominek. W pracach redakcyjnych brali również udział kard. Stefan Wyszyński, abp Karol Wojtyła, bp Kazimierz Kowalski. Mówi się też coraz częściej o znaczącym wpływie na jego treść bp. Jerzego Stroby. Niektórzy historycy kwestionują bezpośrednie zaangażowanie kard. Wyszyńskiego w redagowanie tekstu orędzia".

Jan Żaryn pisze, że tworząc dokument, abp Kominek „wspierany był radą przez bp. Jerzego Strobę oraz bp. Kazimierza Kowalskiego". Z kolei zdaniem Kerskiego „rola prymasa Wyszyńskiego w powstaniu listu nie jest do końca jasna. Z całą pewnością nie współpracował przy formułowaniu orędzia. Pierwotny tekst napisał abp Kominek, a następnie konsultował go z kilkoma polskimi biskupami, z niemieckim publicystą katolickim Walterem Dirksem i z kilkoma biskupami niemieckimi. Nie ma żadnych przesłanek wskazujących na zaangażowanie prymasa w kształtowanie treści listu. Niektórzy autorzy wskazują również na fakt, że kard. Wyszyński traktował inicjatywę abp. Kominka ze sceptycyzmem, ponieważ nie żywił zbyt wielkiej sympatii do Niemców i wyrażał odnośnie do orędzia wątpliwości natury politycznej. Ostatecznie abp Kominek miał z największym trudem i wbrew prymasowi przeforsować swoje zdanie. Przypuszczenia te trudno zweryfikować, jednak można żywić uzasadnione wątpliwości".

Kard. Wyszyński traktował inicjatywę abp. Kominka ze sceptycyzmem.

Kerski cytuje też fragment rozmowy z Hansemjakobem Stehlem, którego zdaniem „wielu polskich biskupów, wśród nich prymas Wyszyński, długo ze sceptycznym dystansem obserwowało kontakty Kominka z biskupami niemieckimi".

Ks. Józef Swastek pisze, że „ewentualny wpływ prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego na treść orędzia nie jest możliwy do ustalenia. Choć prymas (…) i niektórzy polscy biskupi traktowali kontakty abp. B. Kominka z niemieckimi hierarchami z pewnym dystansem, obawą, a nawet nieufnością, to jednak zgodzili się, aby samodzielnie zredagował on orędzie do niemieckich biskupów".

„Rola Wyszyńskiego w powstawaniu orędzia nie została zresztą w pełni wyjaśniona. Wieloletni dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań Aleksander Merker twierdzi, że Wyszyński nie znał dobrze niemieckiego i tylko podpisał list będący dziełem Kominka", pisze Piotr Madajczyk.

Moim zdaniem konsultacje abp. Kominka z polskimi biskupami należy wziąć w duży cudzysłów. Jakże mogli oni odnieść się do trudnego, mającego

eprasa.pl a9160c3526

Układ między PRL a RFN o uznaniu granicy na Odrze i Nysie podpisano 7 grudnia 1970 r. Nz. od lewej: minister spraw zagranicznych RFN Walter Scheel, sekretarz stanu Egon Bahr, kanclerz Willy Brandt, I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, premier Józef Cyrankiewicz, polski minister spraw zagranicznych Stefan Jędrychowski.

3 tys. słów tekstu, skoro tylko bardzo nieliczni znali trochę język niemiecki? Jedynie biskup chełmiński z Pomorza Kazimierz Kowalski był tu dla Kominka partnerem. Biskupi obecni na soborze podpisywali więc list w ciemno.

Więcej powściągliwości

Hierarchowie niemieccy przygotowali swoją odpowiedź w języku niemieckim, dodając polskie tłumaczenie. Nie poszli śladem abp. Kominka i nie prosili go, by wniósł ewentualne poprawki. Skonsultowali swój tekst z bońskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych i przekazali go Polakom 5 grudnia 1965 r. Prymas Wyszyński natomiast, składając wówczas wizytę ambasadorowi PRL w Rzymie, nie wspomniał nawet słowem, że istnieje opracowane dla Niemców orędzie polskich biskupów.

Skoro tak rzeczy się miały, nasuwa się końcowa refleksja, czy bardziej trafny niż list biskupów polskich byłby tytuł: list biskupów polsko-niemieckich. Deprecjonuję w ten sposób wagę tego dokumentu? Bynajmniej, daleki jestem od takiego zamiaru. Przy bardzo napiętych w latach 60. stosunkach między PRL a RFN, na płaszczyźnie zarówno państwowej, jak i kościelnej oraz międzyludzkiej, inicjatywa polskiego Kościoła była wydarzeniem doniosłym.

Wolałbym tylko nieco więcej powściągliwości w windowaniu listu na historyczne szczyty, czego ilustrację mieliśmy w reakcjach na 50. rocznicę wysłania listu. Broszura wrocławskiego Ośrodka Pamięć i Przyszłość, przygotowana w czterech językach i „przeznaczona dla wszystkich europarlamentarzystów i elit na Zachodzie", przedstawia „List tysiąclecia jako jeden z najważniejszych dokumentów, które leżą u podstaw kształtu dzisiejszej Europy; który wpłynął nie tylko na wzajemne relacje społeczeństwa polskiego i niemieckiego, lecz także na losy całej Europy".

W katolickim „Głosie Niedzielnym" z 15 listopada 2015 r. czytamy: „Bez tego dokumentu nie byłoby współczesnej Europy". W tygodniku „Niedziela" wstępniak naczelnej ma tytuł: „List z Polski wpłynął na kształt dzisiejszej Europy". „wSieci Historii" nr 11/2015: „Ponadczasowe orędzie". Spotkanie z prasą podczas konferencji naukowej na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego anonsowane było tak: „List, który odmienił oblicze Europy". Również tygodnik „Wprost" pisał w tytule: „List, który odmienił oblicze Europy".

Oblicze Europy autentycznie odmienił układ o uznaniu granicy na Odrze i Nysie z 1970 r., który otworzył drogę do nawiązania stosunków dyplomatycznych z RFN.

Eugeniusz Guz

Bibliografia

Antoni Dudek, Ryszard Gryz, *Komuniści i Kościół w Polsce (1945-1989)*, Znak, Kraków 2004.

Edith Heller, *Dokument świętej naiwności*, „Res Publica" 1990, nr 4.

Edith Heller, *Macht Kirche Politik: der Briefwechsel zwischen den polnischen und deutschen Bischöfen im Jahre 1965*, Ost-West Verlag 1992.

Basil Kerski, Tomasz Kycia, Robert Żurek, *„Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Orędzie biskupów polskich i odpowiedź niemieckiego episkopatu z 1965 roku: geneza, kontekst, spuścizna*, Borussia, Olsztyn 2007.

Bolesław Kominek, *Chrześcijańskie przebaczenie*, „Więź" 1984, nr 7.

Piotr Madajczyk, *Na drodze do pojednania: wokół orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 roku*, PWN, Warszawa 1994.

Jerzy Myszor, *Orędzie biskupów polskich do niemieckich*, fragment w: *Materiały z konferencji naukowej w Krakowie 19 maja 2008.*

Peter Raina, *Kardynał Wyszyński. Orędzie biskupów a reakcja władz*, Wydawnictwo von Borowiecky, Warszawa 1995.

Hansjakob Stehle, *Seit 1960: der mühsame katholische Dialog über die Grenze*, w: Werner Plum (red.), *Ungewöhnliche Normalisierung. Beziehungen der Bundesrepublik Deutschland zu Polen*, Bonn 1984.

Józef Swastek, *Kościół katolicki na Dolnym Śląsku w powojennym 50-leciu*, Dolnośląskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Wrocław 1996.

Jan Żaryn, *Dzieje Kościoła katolickiego w Polsce (1944-1989)*, Neriton, Warszawa 2003.

FOT. ANDRZEJ KOSSOBUDZKI/PAP, EAST NEWS

eprasa.pl a9160c3526

Pielgrzymka środowisk nacjonalistycznych na Jasną Górę w marcu 2019 r.

Socjaldemokracja w odwrocie

Partie lewicowe przegrywały z nacjonalistami przez ponad sto lat, zwłaszcza wśród biednych wyborców z klasy robotniczej

Francis Fukuyama

Jedną z rzucających się w oczy cech polityki światowej w drugiej dekadzie XXI w. jest to, że nadające jej kształt dynamiczne nowe siły są partiami i politykami nacjonalistycznymi lub religijnymi, dwiema twarzami polityki tożsamościowej, a nie opartymi na klasach partiami lewicowymi, które były tak znaczące w polityce XX w.

Nacjonalizm mogły zapoczątkować industrializacja i modernizacja, ale pod żadnym względem nie zniknął ze świata, także w krajach rozwiniętych przemysłowo od wielu pokoleń. Pojawiły się zastępy nowych przywódców, którzy uzyskali demokratyczną legitymację dzięki wyborom i w interesie „narodu" podkreślali znaczenie narodowej suwerenności i narodowych tradycji. Ci przywódcy to m.in. Putin z Rosji, Erdoğan z Turcji, Orbán z Węgier, Kaczyński z Polski i na koniec Trump ze Stanów Zjednoczonych, którego hasłami wyborczymi były „Make America Great Again" oraz „America First". Zwolennicy brexitu w Zjednoczonym Królestwie nie mają jednego oczywistego lidera, ale tutaj też podstawowym odruchem jest dążenie do umocnienia suwerenności narodowej. Partie populistyczne czekają w pogotowiu we Francji, w Holandii i całej Skandynawii. Nacjonalistyczna retoryka nie ogranicza się jednak tylko do wypowiedzi wymienionych już przywódców: z celami nacjonalistycznymi utożsamiani są premierzy Narendra Modi z Indii i Shinzō Abe z Japonii, a także Xi Jinping z Chin, który stwierdził, że socjalizm ma wyraźnie chińskie cechy.

W tym samym czasie rosło znaczenie religii jako zjawiska politycznego. Jest to najbardziej oczywistą prawdą na Bliskim Wschodzie, gdzie arabską wiosnę roku 2011 wykoleiły takie grupy islamistyczne jak Bractwo Muzułmańskie i jeszcze radykalniejsze organizacje terrorystyczne, np. Państwo Islamskie. Podczas gdy to drugie zostało niemal zupełnie pokonane militarnie w Syrii i Iraku, islamistyczne ruchy rozprzestrzeniają się nadal w takich krajach jak Bangladesz, Tajlandia i Filipiny. W Indonezji popularny chrześcijański gubernator Dżakarty Basuki Tjahaja Purnama („Ahok") został zaatakowany za rzekome bluźnierstwo przez coraz bardziej pewne siebie islamistyczne grupy i trafił do więzienia po przegraniu ponownych wyborów na gubernatora. Islam nie jest jednak jedyną formą upolitycznionej religii. Indyjska Partia Ludowa (Bharatija Dżanata Parti – BJP), czyli partia premiera Modiego, jest jednoznacznie oparta

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl a9160c3526

na hinduistycznym rozumieniu indyjskiej tożsamości narodowej.

Agresywna forma politycznego buddyzmu rozprzestrzenia się w takich krajach południowej i południowo-wschodniej Azji jak Sri Lanka i Mjanma, gdzie ściera się z grupami muzułmańskimi i hinduistycznymi. Religijne grupy tworzą także części konserwatywnych koalicji w takich demokratycznych krajach jak Japonia, Polska i Stany Zjednoczone. W Izraelu ład polityczny, który przez kilkadziesiąt lat po uzyskaniu niepodległości był zdominowany przez dwie partie ideologiczne w stylu europejskim, czyli Partię Pracy i Likud, zmienia się, gdyż coraz większa liczba głosów jest oddawana na partie religijne, jak Szas czy Agudat Jisrael.

Natomiast stara, klasowa lewica od dłuższego czasu traci na znaczeniu na całym świecie. Komunizm upadł w latach 1989-1991, chociaż jego wersje wciąż mocno się trzymają w Korei Północnej i na Kubie. Socjaldemokracja, jedna z dominujących sił, które kształtowały politykę europejską przez kilkadziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej, jest w odwrocie. Niemieccy socjaldemokraci, którzy w 1998 roku otrzymali ponad 40% głosów, w roku 2016 spadli poniżej 20%, a w roku 2017 prawie zniknęła francuska Partia Socjalistyczna. Ogólnie rzecz biorąc, odsetek wyborców partii centrolewicowych zmalał między rokiem 1993 a 2017 z 30% do 24% w Europie Północnej, z 36% do 21% w Europie Południowej i z 25% do 18% w Europie Środkowej. Wciąż są ważnymi graczami, ale trend jest wyraźny.

Stara, klasowa lewica od dłuższego czasu traci na znaczeniu na całym świecie.

W latach 90. XX w. partie lewicowe w całej Europie przesunęły się w ku centrum, akceptując logikę gospodarki rynkowej, i wiele z nich trudno było odróżnić od ich koalicyjnych partnerów z centroprawicy. Podczas zimnej wojny na Bliskim Wschodzie zawsze były jakieś grupy komunistyczne lub inne lewicowe; samozwańczy komunistyczny reżim doszedł nawet do władzy w Jemenie Południowym. Jednakże od tamtej pory siły te zostały całkowicie zmarginalizowane i odstawione na boczny tor przez partie islamistyczne. Lewicowy populizm dał pokaz siły głównie w różnych częściach Ameryki Łacińskiej w latach 90. XX w. i pierwszej dekadzie następnego stulecia, wraz z dojściem do władzy Hugona Cháveza w Wenezueli, Luiza Inácia Luli da Silvy w Brazylii i Kirchnerów w Argentynie. Ale ta fala już się cofnęła, wraz z samounicestwieniem Wenezueli pod rządami następcy Cháveza, Nicolása Maduro. Dobre notowania Jeremy'ego Corbyna w Zjednoczonym Królestwie i Berniego Sandersa w Stanach Zjednoczonych mogą być zwiastunami odrodzenia, ale partie lewicowe nie są nigdzie siłą dominującą, jak pod koniec XX w.

Partie populistyczne czekają w pogotowiu we Francji, w Holandii i całej Skandynawii.

Słabość lewicy na całym świecie jest pod wieloma względami zaskakująca, zważywszy na globalny wzrost nierówności dochodów w ostatnich trzech dziesięcioleciach. Pisząc o światowych nierównościach, mam na myśli wzrost nierówności w poszczególnych krajach, a nie między krajami. Przepaść między bogatymi i biednymi krajami się zmniejszyła, ponieważ wysokie poziomy wzrostu wystąpiły nie tylko w Azji Wschodniej, ale także w Ameryce Łacińskiej i Afryce Subsaharyjskiej. Ale jak wykazał ekonomista Thomas Piketty, nierówności w obrębie poszczególnych krajów na całym świecie poważnie wzrosły od roku 1980; wbrew od dawna akceptowanej teorii innego ekonomisty, Simona Kuznetsa, dysproporcje dochodowe w bogatych krajach rosły, zamiast maleć. Trudno jest wskazać taki region świata, w którym nie wyrosłaby nowa klasa oligarchów – miliarderów, którzy wykorzystują swoje bogactwo politycznie, żeby chronić rodzinne interesy

Ekonomista Branko Milanović opracował szeroko cytowany „wykres słoniowy", który ukazuje relatywne przyrosty dochodu *per capita* dla różnych segmentów światowego rozkładu dochodu. W okresie od roku 1988 do 2008 dzięki wzrostowi produktywności i globalizacji świat znacznie się wzbogacił, ale te zyski nie zostały równo rozdzielone. Ludzie z przedziału od 20. do 70. percentyla światowego rozkładu dochodów odczuli ich poważny wzrost, a jeszcze większy osoby znajdujące się powyżej 95. percentyla.

Ale część światowej populacji z okolicy 80. percentyla doświadczyła albo stagnacji, albo tylko marginalnego wzrostu dochodów. Ta grupa w dużej mierze odpowiada klasie robotniczej w krajach rozwiniętych – czyli grupie ludzi ze średnim lub niższym wykształceniem. Chociaż zachowali o wiele wyższy poziom życia od tych, którzy są poniżej nich, stracili bardzo dużo w stosunku do osób z górnych 10% rozkładu. Innymi słowy, ich względny status gwałtownie się obniżył.

W obrębie świata rozwiniętego nierówności najbardziej się uwidoczniły w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych, dwóch krajach, które stały na czele „neoliberalnej" prowolnorynkowej rewolucji lat 80. XX w. przeprowadzonej przez Margaret Thatcher i Ronalda Reagana. W Stanach Zjednoczonych owoce dużego wzrostu gospodarczego lat 80. i 90. XX w. nie zostały równo rozdzielone, lecz w przeważającej mierze trafiły w ręce osób dobrze wykształconych. Stara amerykańska klasa robotnicza, która uważała się za trzon klasy średniej, systematycznie traciła grunt. Według opracowania Międzynarodowego Funduszu Monetarnego poświęconego zanikaniu klasy średniej odsetek osób zarabiających od 50% do 150% mediany dochodów zmalał od roku 2000 do 2014 z 58% do 47% populacji.

Tylko 0,25% tych ludzi zrobiło to, przenosząc się do wyższej grupy dochodowej; aż 3,25% przesunęło się w dół drabiny dochodów. Ta nierówność jeszcze się powiększyła na skutek kryzysu finansowego roku 2008, kiedy to wskutek machinacji oraz wyborów politycznych sektora finansowego powstała bańka na rynku aktywów, której pęknięcie pozbawiło pracy i oszczędności

eprasa.pl a9160c3526

miliony zwykłych Amerykanów, jak również niezliczone rzesze ludzi na całym świecie.

W tych okolicznościach można by się spodziewać wielkiego odrodzenia populistycznej lewicy w krajach o największych nierównościach. Od czasu rewolucji francuskiej lewica określała się jako partia równości ekonomicznej, gotowa wykorzystywać siłę państwa do redystrybucji bogactwa przez odbieranie go bogatym i przekazywanie biednym. A jednak w następstwie światowego kryzysu finansowego stało się coś przeciwnego, a mianowicie w wielu częściach świata rozwiniętego wyłoniły się siły populistycznej prawicy. Nigdzie nie było to lepiej widoczne niż w USA i Wielkiej Brytanii, gdzie deindustrializacja wyniszczyła starą klasę robotniczą. W Stanach Zjednoczonych kryzys finansowy spowodował powstanie lewicowego ruchu Okupuj Wall Street oraz prawicowej Partii Herbacianej. Lewicowy ruch organizował marsze i demonstracje, aż w końcu się wypalił, a prawicowa partia zdołała przejąć zarówno Partię Republikańską, jak i dużą część Kongresu. W roku 2016 głosujący nie poparli większości populistycznych kandydatów lewicy, wybierając zamiast nich polityków nacjonalistycznych.

Jak tłumaczymy niepowodzenie prób lewicy wykorzystania dla własnych celów nierówności majątkowych na świecie i wzrost znaczenia nacjonalistycznej prawicy? To nie jest nowe zjawisko: partie lewicowe przegrywały z nacjonalistami przez ponad sto lat, zwłaszcza pośród tych biednych wyborców z klasy robotniczej, którzy powinni stanowić ich najbardziej solidną bazę społeczną. W roku 1914, kiedy wybuchła I wojna światowa, europejska klasa robotnicza nie ustawiła się pod sztandarami Międzynarodówki Socjalistycznej, ale stanęła murem za swoimi rządami narodowymi. Ta porażka przez lata wprawiała marksistów w zakłopotanie – cytując Ernesta Gellnera, powiedzieli sobie oni: „Szyici twierdzą, że archanioł Gabriel przez pomyłkę zwrócił się do Mahometa z Posłaniem przeznaczonym dla Alego. Podobnej gafy dopuścił się duch dziejów: rozbudzające świadomość orędzie przeznaczone było dla k l a s, niestety, wskutek jakiejś straszliwej pomyłki na poczcie, dostało się w ręce n a r o d ó w".

Podobnie na współczesnym Bliskim Wschodzie list zaadresowany do klas został przez pomyłkę dostarczony wyznawcom różnych religii.

Ów błąd na poczcie nastąpił z powodu sposobu, w jaki w ludzkim zachowaniu motywacje ekonomiczne splatają się z kwestiami tożsamościowymi. Być biednym to jak być niewidzialnym dla innych, a wstyd z powodu niewidzialności jest często gorszy od braku pieniędzy.

Fragmenty książki Francisa Fukuyamy *Tożsamość. Współczesna polityka tożsamościowa i walka o uznanie*, przekład Jan Pyka, Rebis, Poznań 2019

W bieżącym numerze także:

Renaud Lambert
Do kogo należy Amazonia?

Romain Mielcarek
Między cynizmem a niemocą

Akram Belkaïd
Nierówne dziedziczenie

Éloi Valat
Kobiety Komuny Paryskiej

Alain Bihr
Geneza kapitalizmu

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl a9160c3526

OPZZ ma receptę na zdrowie

Pierwsze wyzwanie dla nowego ministra: łączyć, a nie dzielić

Renata Górna

Problematyka ochrony zdrowia zajmowała czołowe miejsce w kampanii wyborczej. Jedni chcą uzdrawiać systemowo, drudzy naprawiać po kawałku. Zdrowie jest także ważną częścią działań i dokumentów programowych OPZZ – jako głos pracowników i pacjentów.

Chcąc dobitniej ten głos usłyszeć, zorganizowaliśmy debatę ekspercką pod hasłem „Każdy ma prawo do ochrony zdrowia – fikcja czy rzeczywistość?". Nasza dyskusja miała odpowiedzieć na pytania, jak w praktyce wygląda realizacja konstytucyjnej zasady równego dostępu wszystkich obywateli do ochrony zdrowia, jaki jest pomysł na odpowiednią liczebność kadry i zapewnienie pracownikom godziwych wynagrodzeń, wreszcie – jaka jest recepta na uzdrowienie systemu ochrony zdrowia. Pytaliśmy samych siebie, ale też samorządowców, związkowców, pracodawców, stronę rządową i płatnika. Proponowano wiele ciekawych rozwiązań, oto niektóre.

Ważne jest, by dalej nie dopuszczać do tzw. segmentacji świadczeń zdrowotnych oraz ich reglamentowania, zwłaszcza w przypadku pacjentów z najcięższymi schorzeniami. Finanse zawsze budzą emocje – wskazywano, że choć wydatki na zdrowie znacząco rosną, należy je usystematyzować pod kątem wyzwań związanych z chorobami cywilizacyjnymi i nowotworowymi. Zdrowie jest obszarem szczególnej wrażliwości społecznej, ale jego finansowanie nie może się odbywać wyłącznie kosztem pracujących – to postulat OPZZ przypominany od lat, podobnie jak ten, że poziom finansowania powinien systematycznie wzrastać do co najmniej 7% PKB w 2022 r. Zadawaliśmy sobie także niepopularne pytania o tzw. koszyk świadczeń zdrowotnych: czy publiczna ochrona zdrowia powinna obejmować wszystkie czy tylko wybrane świadczenia zdrowotne? I które ewentualnie powinny być wyłączone z koszyka świadczeń refundowanych, co oznacza współpłacenie ze strony pacjenta?

W dyskusji pojawiały się głosy, że dla pacjenta największym problemem są uwarunkowane regionalnie i osobistą sytuacją materialną nierówności w dostępie do świadczeń medycznych. Zniesienie tych nierówności to jedno z największych wyzwań dla rządzących. Jeśli nie nastąpi odczuwalna dla pacjentów poprawa, odpowiedź na pytanie naszej związkowej debaty będzie pesymistyczna: każdy ma prawo do ochrony zdrowia, ale w praktyce to fikcja.

Naszą rzeczywistością jest deficyt pracowników ochrony zdrowia niemal wszystkich specjalności. OPZZ od lat apeluje o opracowanie i przyjęcie przez rząd, w dialogu z partnerami społecznymi, „Strategii na rzecz polityki kadrowej w ochronie zdrowia", a także o systemowe uregulowanie wynagrodzeń dla wszystkich pracujących. Według danych Komisji Europejskiej w 2020 r. będzie brakowało w Europie ok. 2 mln pracowników ochrony zdrowia. Społeczeństwo Europy starzeje się, a to powoduje zwiększone zapotrzebowanie na pracowników specjalizujących się w opiece nad osobami starszymi – dlatego domagamy się inwestycji w infrastrukturę opiekuńczą i w edukację personelu opiekuńczego.

Zgodziliśmy się też ze stwierdzeniem, że medycyna pracy stoi przed wyzwaniami związanymi nie tylko z nowymi zagrożeniami środowiska pracy, ale również z wieloletnimi zaniedbaniami. Zdrowie pracujących powinno być inwestycją dla pracodawców.

Zdaniem OPZZ to pacjent i pracownik powinni być filarami i podmiotami systemu ochrony zdrowia. „Najpierw pacjent – potem zysk!", głosiło hasło tegorocznego Kongresu OPZZ. Recepta OPZZ to uzdrowienie każdego obszaru: organizacji, finansowania, praw pacjentów, dostępu do świadczeń opieki zdrowotnej, godziwych warunków pracy dla pracowników.

Pierwsze wyzwanie dla nowego ministra zdrowia to łączyć, a nie dzielić. Wystawiliśmy mu „Receptę OPZZ na zdrowie". Wskazaliśmy, że właśnie zdrowie powinno być obszarem największej troski społecznej, zwłaszcza że po wielu eksperymentach reformatorskich to sektor szczególnie zaniedbany finansowo, kadrowo i organizacyjnie. Porozumienie ponad podziałami politycznymi jest potrzebne jak nigdy przedtem, dlatego wyzwaniami dla ministra zdrowia powinny być:

- wzmocnienie rangi ochrony zdrowia jako priorytetu politycznego państwa i ustanowienie długookresowej strategii polityki zdrowotnej realizowanej ponad podziałami politycznymi,
- zwiększenie odpowiedzialności państwa za zdrowie obywateli,
- systematyczne zwiększanie finansowania ochrony zdrowia ze środków publicznych do co najmniej 7% PKB do 2022 r.; określenie planu wzrostu nakładów i priorytetów ich wydatkowania; zwiększenie udziału budżetu państwa w nakładach na zdrowie, a nie tylko bazowanie na składce zdrowotnej płaconej przez pracowników, emerytów i rencistów,
- zniesienie nierówności terytorialnych i finansowych w dostępie wszystkich obywateli do opieki zdrowotnej,
- określenie przejrzystych relacji pomiędzy publicznym a prywatnym sektorem ochrony zdrowia,
- równe traktowanie podmiotów leczniczych w realizacji świadczeń zdrowotnych,
- opracowanie i przyjęcie przez rząd, w dialogu z partnerami społecznymi, „Strategii na rzecz polityki kadrowej w ochronie zdrowia" jako odpowiedzi na dramatyczne braki kadrowe w wielu zawodach i specjalnościach,
- systemowe uregulowanie wynagrodzeń wszystkich zatrudnionych w ochronie zdrowia,
- wzmocnienie koordynacji opieki nad pacjentem i poprawa jej jakości,
- systemowe rozwiązania w opiece nad osobami starszymi,
- przyjazna dla kieszeni pacjenta polityka lekowa i systematyczne zmniejszanie współpłacenia za leki i wyroby medyczne,
- reforma medycyny pracy, m.in. w kierunku rozszerzenia zakresu profilaktycznej opieki medycznej nad pracownikami z uwzględnieniem diagnostyki chorób cywilizacyjnych, a także zasad współfinansowania tych badań ze środków publicznych,
- podjęcie walki z chorobami cywilizacyjnymi i wzmocnienie mechanizmów systemowych promujących profilaktykę zdrowotną.

Będziemy przypominać ministrowi zdrowia, że tylko systemowe podejście do problemów ma sens i przyczyni się do poprawy funkcjonowania ochrony zdrowia oraz wzmocnienia praw pacjentów i stworzenia godziwych warunków pracy.

Recepta gotowa – czas na leczenie.

Renata Górna jest radcą w Zespole ds. Zdrowia, Warunków Pracy i Osób Niepełnosprawnych OPZZ

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a9160c3526

Tęcza nad Kościołem

Episkopat coraz bardziej atakuje społeczność LGBT+, tymczasem na peryferiach Kościoła rozwijają się wspólnoty nieheteroseksualnych wiernych

Antoni Grześczyk

– Kościół w Polsce zachowuje się, jakby temat nie istniał. Nie mówimy tu nawet o akceptacji. Nie ma choćby jednego oficjalnego duszpasterstwa LGBT+. Także takiego, które pomagałoby żyć, zgodnie z oficjalnym nauczaniem, w czystości – mówi Michał, katolik i gej, inżynier mieszkający w Rzeszowie.

Michał jest od pięciu lat animatorem rzeszowskiej grupy chrześcijan LGBT, działającej w ramach ogólnopolskiej wspólnoty Wiara i Tęcza. Organizacja istnieje od roku 2010. Zrzesza chrześcijańskich gejów, lesbijki, osoby biseksualne, transpłciowe i inne nieodnajdujące się w dominujących kategoriach płciowych. Wiara i Tęcza, od niedawna zarejestrowana jako fundacja, uczestniczy w dwóch międzynarodowych organizacjach parasolowych chrześcijan LGBT: Europejskim Forum Chrześcijańskich Grup LGBT oraz Światowej Sieci Tęczowych Katolików. Spotkania odbywają się regularnie w większości miast wojewódzkich, czasem i w mniejszych. Do Wiary i Tęczy przychodzą osoby z różnymi doświadczeniami: odrzucone i zaakceptowane przez rodzinę, z liberalnych wielkomiejskich środowisk i z małomiasteczkowych parafii. Na spotkaniach w Warszawie bywa ok. 30 osób, w mniejszym Rzeszowie – zazwyczaj pięć do dziesięciu. Część zostaje przy katolicyzmie, widząc w Kościele, mimo jego nauczania, wspólnotę i dom. Część skłania się ku bardziej liberalnym wyznaniom protestanckim – zwłaszcza luteranizmowi i Kościołowi reformowanemu (kalwińskiemu). Kościoły te nierzadko, głównie w Europie Zachodniej czy w USA, dokonują błogosławieństw par nieheteroseksualnych.

– To jedyna znana mi wspólnota LGBT z dużym udziałem osób po czterdziestce, a także starszych. To ważne, bo stereotypowo LGBT+ jest kulturą ludzi młodych. A u nas odnajdują się osoby w każdym wieku – mówi Anna, 20-letnia studentka informatyki, która oprócz działania w Wierze i Tęczy jest opiekunką młodzieży z Ruchu Światło-Życie w jednej z warszawskich parafii.

Na medialnym froncie

W ostatnich latach zainteresowanie mediów wzbudziły akcje zwracające uwagę na kwestię osób nieheteroseksualnych w Kościele i, szerzej, w społeczeństwie. Pierwsza, kampania „Przekażmy sobie znak pokoju", wyszła ze strony środowisk LGBT. Następnie zaangażowały się w nią również środowiska katolickie, związane z tzw. Kościołem otwartym: „Więź", „Znak", „Tygodnik Powszechny" oraz wydawany przez warszawski Klub Inteligencji Katolickiej magazyn „Kontakt". Inicjatywa opierała się przede wszystkim na rozpowszechnianiu plakatów z dłońmi w uścisku: jednej z różańcem, drugiej zaś z tęczową opaską. Pozornie niegroźna symbolika pojednania zawarta w geście podania dłoni wzbudziła kontrowersje. Sprzeciw wyrażali nie tylko komentatorzy z kościelnej prawicy, ale i episkopat. Według biskupów „katolicy nie powinni brać udziału w kampanii, gdyż rozmywa ona jednoznaczne wymagania Ewangelii". Jak mówi Michał z rzeszowskiej WiT: – Z perspektywy trzech lat kampania nie przyniosła widocznych skutków. Część z nas zawdzięcza jej przełamanie tabu w rozmowach z rodziną czy znajomymi, ale trudno mówić o szerszym wpływie na społeczeństwo.

Kolejna inicjatywa, która odbiła się echem w mediach, to umieszczenie w przestrzeni miejskiej Płocka wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej z tęczową aureolą. Połączenie katolickiej ikony z symbolem ruchu LGBT+ okazało się dla niektórych profanacją. Odpowiedzialną za to działanie psycholożkę i aktywistkę Elżbietę Podleśną aresztowano pod zarzutem obrazy uczuć religijnych. I choć minister Brudziński zapewniał, że nie chodziło tu o symbolikę LGBT+, ale o umieszczenie Matki Boskiej na śmietnikach czy miejskich szaletach, aktywistka zaprzecza, że coś podobnego miało miejsce, przypisując Brudzińskiemu manipulację. Była to próba artystycznej polemiki z przesłaniem jednego z płockich grobów pańskich, gdzie LGBT umieszczono na liście grzechów, tuż obok nienawiści czy pychy. Podleśna w wywiadzie dla Oko.press zwraca uwagę, że równoległy element jej akcji – umieszczenie w przestrzeni miejskiej listy nazwisk księży odpowiedzialnych za tuszowanie pedofilii – został przemilczany przez jej przeciwników, którzy skupili się na tęczowej aureoli. Klimat w Polsce jest w ocenie aktywistki taki, że tego rodzaju akcji potrzeba jak nigdy wcześniej, ale z tego klimatu wynika też to, że ludzie po prostu się boją. – Ja jestem w komfortowej sytuacji dużego miasta, ale są osoby w mniejszych ośrodkach, dla których ujawnienie się z orientacją niosłoby realne konsekwencje, łącznie z fizycznym zagrożeniem – mówi.

> Dla mnie bycie w Kościele jest na tyle ważne, że go nie porzucę tylko dlatego, że oficjalne nauczanie nie akceptuje mojej orientacji.

Być może nie tak głośnym, ale równie ciekawym przedsięwzięciem są działania Daniela Rycharskiego, którego wystawę mogliśmy oglądać w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Artysta pochodzi z Kurówka, mazowieckiej wsi, jest chrześcijaninem i gejem, a w swoje projekty włącza lokalną społeczność. W instalacjach wykorzystuje motywy religijne wsi, takie jak ikony, kapliczki, łącząc je z nienormatywną seksualnością. Jedną z prac był krzyż wy-

eprasa.pl a9160c3526

Wiara i Tęcza na Paradzie Równości.

konany z gałęzi drzewa, na którym powiesiła się homoseksualna para. Rycharski umieścił też obok warszawskiego kościoła Dominikanów tablicę z cytatem z Katechizmu Kościoła Katolickiego, zakazującym dyskryminacji osób LGBT+. Ojcowie kazali ją zdjąć, mimo że była jedynie cytatem z oficjalnego kościelnego dokumentu, bez żadnego komentarza.

– To coś, wobec czego na prawica jest bezradna. Widać było to po reakcjach prawicowych dziennikarzy i krytyków kultury, których wystawa zabolała. To już nie jest wykorzystanie religijnej symboliki w celach prowokacyjnego happeningu, ale autentyczna religijność osoby homoseksualnej, którą trudno zredukować do „ideologii". Artysty, który w dodatku potrafi się dobrze komunikować ze swoją społecznością, mimo że ta wydaje się bardzo konserwatywna – podkreśla socjolog dr Adam Ostolski.

We wspólnocie Kościoła

Dla polskich chrześcijan LGBT odwilżowy wiatr wieje z Rzymu. Papież Franciszek wielokrotnie wypowiadał się pozytywnie o osobach homoseksualnych. Nie towarzyszył temu jednak przełom w oficjalnym nauczaniu. – Część osób wiąże z tym pewne nadzieje, natomiast w naszym środowisku jest równie wielu takich, którzy zupełnie mu nie wierzą. Na pewno dużym krokiem jest zmiana języka na nieraniący, ale dokumenty kościelne nadal mówią o unikaniu „niesłusznej dyskryminacji", tak jakby istniała i jakaś słuszna – zauważa Michał.

Jednak zmiana atmosfery – z oceniającej na bardziej rozumiejącą – nawet jeśli nauczanie dotyczące samych aktów seksualnych się nie zmienia, ma znaczenie. Boją się jej polscy hierarchowie, którzy dbają o to, by włoskie *orientamento sessuale* w polskich tłumaczeniach papieskich dokumentów przekładać nie jako orientację, lecz skłonność. Wszystko po to, by utrzymać postrzeganie orientacji innych niż heteroseksualna jako doraźnej przypadłości, którą da się w jakiś sposób „naprawić" i oddalić widmo włączenia homoseksualistów do Kościoła na zasadzie pełni praw. Adam Ostolski komentuje: – W Polsce widoczna jest od kilkunastu lat trwała tendencja do większej akceptacji osób i związków homoseksualnych. Na pewno trafna wydaje się hipoteza kontaktu, według której ludzie znający osobiście jakąś osobę nieheteroseksualną nabierają bardziej pozytywnego stosunku do całej społeczności niż wtedy, kiedy wydaje im się ona abstrakcją. Czy prawicowa nagonka doprowadzi do odwrócenia tej tendencji? Trudno powiedzieć. Wszystko zależy od tego, czy trafi tylko do własnych kręgów, czy uda się jej przekonać też osoby neutralne, niezdecydowane.

Jedną z najbardziej problematycznych kwestii dla katolików LGBT+ żyjących w związkach jest uczestnictwo w życiu sakramentalnym, przede wszystkim możliwość przystępowania do komunii. Według nauczania Kościoła osoby homoseksualne mogą uczestniczyć w pełni kościelnego życia tylko w wypadku podjęcia się zachowania całkowitej czystości. Istnieje jednak także doktryna o prymacie sumienia wiernych nad odgórnymi rozstrzygnięciami kościelnych urzędów nauczycielskich. Jest ona stosunkowo mało znana, zwłaszcza w Polsce, gdzie – również ze względu na niemal państwowy charakter Kościoła katolickiego – dominuje prawnicze, sformalizowane podejście do nakazów etycznych.

– Jeżeli ktoś żyje z drugą osobą i robi to w zgodzie z własnym sumieniem, nie ma obowiązku

Spotkania grup Wiary i Tęczy odbywają się regularnie, ich miejsca i terminy dostępne są na stronie **www.wiaraitecza.pl**. W niektórych miastach informację o miejscu spotkania można uzyskać mejlowo, pisząc na adres grupy lokalnej. Adresy dostępne są na stronie w zakładce „kontakt". Adres ogólnopolski: **fundacja@wiaraitecza.pl**.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl a9160c3526

wspominania o tym spowiednikowi. Jako Wiara i Tęcza podkreślamy prymat sumienia, kwestii dla nas kluczowej. Trudno do tego dojrzeć, trzeba to samemu rzetelnie rozpoznać – podkreśla Michał.

Doktryna prymatu sumienia nie oznacza jednak moralnego relatywizmu czy usprawiedliwienia każdej zachcianki. W takim tonie wypowiada się Anna: – To nie jest tak, że uznam, że będę robić, co chcę. Dla mnie to jest rzeczywiste rozeznanie. Bycie w Kościele jest dla mnie na tyle ważne, że go nie porzucę tylko dlatego, że oficjalne nauczanie nie akceptuje mojej orientacji. Istnieje możliwość wypierania, nieuznawania swojej orientacji, ale to nie jest dobre rozwiązanie.

– Gdy sumienie nie zgadza się z literą kościelnego prawa, ludzie przyjmują różne postawy – dodaje Michał. – Niektórzy decydują się na udział w życiu sakramentalnym, inni nie. Na nikogo nie naciskamy, by podjął taką czy inną decyzję, to bardzo delikatna, indywidualna kwestia.

Anna zwraca uwagę na problemy etyki seksualnej w szerszym kontekście chrześcijańskiego światopoglądu. – Jeśli chodzi o bycie chrześcijaninem, to, że jesteś gejem czy lesbijką, nie jest najważniejsze. Można się identyfikować przez dużo innych sfer. Także u nas, w Wierze i Tęczy, są ludzie, którzy nie lubią mówić o sobie w kategoriach takiej identyfikacji. Ważniejsze jest dla nich to, kim są w życiu czy jaki wykonują zawód. Nie ujawniam się specjalnie jako osoba LGBT+, bo działając w Kościele bez tego kontekstu, mogę zrobić więcej dobrego. Gdy ktoś najpierw mnie zna i wie, jaka jestem, a potem dowiaduje się, że jestem lesbijką, często reaguje: „Ojej, a taka normalna osoba" i pozbywa się uprzedzeń, przynajmniej częściowo. Wielu chrześcijan LGBT+ zupełnie nie skupia się na tej cesze swojej osobowości, ale po prostu działa, np. w Caritasie.

Sama widoczność chrześcijan LGBT w Kościele jest jednym z największych osiągnięć całego ruchu w ostatnich latach.

Ten Nobel Oldze Tokarczuk po prostu się nie należał. **Szczegóły w najnowszym numerze tygodnika „NIE".**

Wzorce z zagranicy

Sytuacja osób LGBT+ w Kościołach chrześcijańskich, także katolickim, bywa lepsza za granicą. W USA z zaangażowania w sprawę szczególnie znany jest o. James Martin, redaktor naczelny magazynu „America". Co znamienne, choć jego wcześniejsze książki przekładane były na język polski, tej najnowszej, poświęconej zagadnieniu osób nieheteroseksualnych w Kościele, nie przetłumaczono. W kazaniu na mszy poprzedzającej nowojorski marsz równości o. Martin mówił: – Zakorzeniaj się w chrzcie, domagaj się swojego miejsca w Kościele, oczekuj uczestnictwa we wszystkich jego posługach.

Za oceanem duszpasterstwo osób LGBT+ prowadzi m.in. s. Jeannine Gramick, urodzona w Filadelfii, w rodzinie polskich emigrantów, która regularnie bywa na otwartych spotkaniach w Polsce. Anna: – W Ameryce istnieje wzorzec siostry zaangażowanej, która niczego się nie boi, lobbuje w Kongresie, chodzi na protesty. Ostatnio poruszyły mnie zdjęcia zakonnic aresztowanych przez policję na demonstracji w obronie meksykańskich imigrantów. Dla mnie to jest właśnie Ewangelia. W Polsce nie ma takiej kultury bycia zakonnicą.

Wśród zagranicznych wzorców wskazywana bywa także Wielka Brytania, gdzie katolicyzm ma mniejszościowy charakter. – W naszej grupie często występowała kwestia katolickiego duszpasterstwa LGBT+ w Londynie, tzw. mszy z Soho (dzielnica Londynu – przyp. red.) – mówi Michał. – To daje nadzieję, że można, i pokazuje, że najlepsze rzeczy w Kościele dzieją się w małych wspólnotach. Na Zachodzie sprzyja temu też mniejszościowy charakter Kościoła. W Polsce na mszy jesteś jednym z tysiąca i to nie ułatwia tworzenia więzi z Kościołem, nie tylko osobom LGBT+.

– W chrześcijaństwie nie można się koncentrować wyłącznie na grzechu. Chodzi o to, by uczestniczyć w dziele zbawienia. Grzech nam w tym przeszkadza, ale nie jest głównym tematem, na którym osoby wierzące powinny się skupiać – dorzuca Anna.

Czy będzie dla nich miejsce?

W polskich mediach na temat społeczności LGBT+ głos zabierali głównie uznawani za relatywnie otwarty zakon dominikanie, m.in. Paweł Gużyński i Ludwik Wiśniewski. – U nas jednak nawet wśród tych przychylniejszych wypowiedzi dominuje wezwanie do „braku nienawiści", a nie do szerszej akceptacji – ocenia Anna. – Być może prymas Polak czy bp Ryś byliby w stanie zabrać głos przychylnie, ale wydaje się, że brakuje im odwagi. W episkopacie panuje dziwna jednomyślność, która skutkuje tym, że słyszalne są głosy takich biskupów jak Gądecki czy Jędraszewski.

Jednak sama widoczność chrześcijan LGBT w Kościele jest, zdaniem Adama Ostolskiego, jednym z największych osiągnięć ruchu. – Już wyjście na powierzchnię społeczności chrześcijan LGBT należy do najbardziej optymistycznych sygnałów dla ruchu, zaraz obok rozpowszechniania się marszów równości w coraz mniejszych miastach – mówi socjolog. – Osoby te samą swoją obecnością, tym, że są dla innych, heteroseksualnych katolików braćmi i siostrami, zaprzeczają prostemu podziałowi, temu, że jest jakaś „ideologia", która próbuje zniszczyć społeczeństwo. Obecność takich osób w Kościele pokazuje, że schematy związane z wizją konfliktu dwóch światów są przede wszystkim w naszych głowach.

Adam Grześczyk

eprasa.pl a9160c3526

Oko w oko

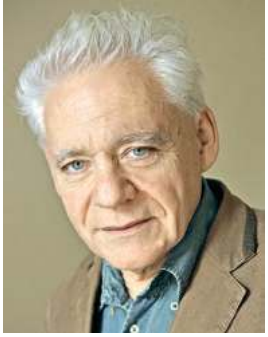

Tomasz Jastrun

Przyjaciel lasu

Skacząc po programach radiowych, przypadkiem, jak na kogoś dawno niewidzianego, wpadam na ojca dyrektora. Co za spotkanie. Słucham, jak mówi. Ileż uwodzicielskiej słodyczy w tym głosie hipnotyzującym lud radiomaryjny. Przypomina, że mamy już nowy Sejm i Senat, będą więc szły modlitwy wiernych za posłów i senatorów, rzecz jasna tylko tych propolskich. Nazwiska będą losowane, by sprawiedliwie i po równo obdarzać modlitwą polityków PiS. (Za Konfederację, jak rozumiem, też pójdą modlitwy). Słuchacze drogą telefoniczną mogą dowiadywać się, kogo wylosowali. Te modlitwy mają wzmóc w posłach i w senatorach pierwiastek narodowy, polski.

•

Jadę autobusem, koło stadionu Legii do środka ładuje się grupa kibiców. Drą się, czasami wyją, ale nikogo nie zaczepiają, nie biją, łaskawi. Są elektoratem jeśli nie PiS, to Konfederacji. Podobnie zachowują się prezes i jego politycy, nic ich nie obchodzi, że polskim autobusem jadą także miliony ludzi innych niż oni.

•

Nasza okolica obstawiona jest przez policję, płoną koguty radiowozów i motocykli. Co się dzieje? Kaszubka ze sklepu rybnego, która nie znosi PiS, mówi z obrzydzeniem: „Duda przyjechał na pogrzeb Szyszki". Najwidoczniej msza w naszym kościele. Ten szkodnik pewnie gdzieś tu mieszkał. W mediach publicznych urasta do rangi męża stanu. Słyszę, że zmarł wielki przyjaciel lasu. Ktoś, kto słucha i ogląda ciurkiem media publiczne i prywatne, a wiem, że wielu ludzi tak robi, musi mieć mózg z kamienia, by nie popaść w rozdwojenie jaźni.

•

Znowu w Bielsku-Białej. Literacki konkurs dla dzieci i młodzieży szkolnej. Już 37. raz. Chyba rekord Polski w nieprzerwanym trwaniu (wielka zasługa Reny Edelman, szefowej domu kultury Best). Setka dzieci dostaje równorzędne nagrody, ich wiersze i proza są drukowane w książce. I zawsze ten sam hotel. Lustro w łazience. Gdy w nie patrzę, moje czarne włosy stopniowo siwieją, a twarz się kurczy jak polana ukropem. Na uroczystości koncert Czesława Mozila – zabawny jak zwykle, robi aluzje polityczne. Ja, kiedy występuję, otwierając uroczystość wręczenia nagród, też je robię. Dożyliśmy czasów, gdy wraca aluzja polityczna. Warsztaty literackie, trzy grupy. Dzieci przemieszane, jest siedmiolatek, ale wygląda na lat pięć, i są 18-latki. Pytam, kto pisze dziennik. Milczenie, tylko chłopczyk podnosi rękę.

•

Coraz lepszym kandydatem na prezydenta, który ma szanse wygrać z Dudą, wydaje mi się Władysław Kosiniak-Kamysz (jeśli Tusk nie wystartuje). Dobrze mówi, emanuje rzetelnością, ludowi nie kojarzy się z elitą. Małgorzata Kidawa-Błońska jest miła i kulturalna, ale nie nadaje się na ważnego polityka, nie przykuwa uwagi. Dobry mówca zmusza formą i treścią, by go słuchać. Inna sprawa, że dla mnie najlepszym prezydentem byłby Marek Borowski. Ale w Polsce nie ma szans, jego ojciec był Żydem. W jakimś wywiadzie mówił, że był ochrzczony. Tym gorzej, kamufluje się. Nie do wiary, żyjemy w kraju, w którym choćby ojciec czy matka „złego" pochodzenia dyskwalifikują kandydata na prezydenta. Może się mylę, ale chyba nie. Dziadek może by nie zaszkodził albo tylko trochę. Przecież kolejni ministrowie spraw zagranicznych mieli żydowskie pochodzenie. Ale to było w porządku, wiadomo, że się dogadywali z lobby żydowskim, które rządzi światem. Na Ukrainie Wołodymyr Zełenski nie ukrywa, że ma takie pochodzenie, jednak bez trudu został wybrany na prezydenta. Nasi narodowcy i paranoicy rwą włosy z głowy, wróg czai się na granicy. A tam to nie przeszkadza. Chyba jesteśmy jednak narodem ze skazą.

Chyba jednak jesteśmy narodem ze skazą.

•

W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza na Rynku Starego Miasta. Pięknie na tym rynku, chociaż gęsto od kawiarni i restauracji. Niedługo wszystkie skurczą się na mrozie i schowają w kamienicach wzniesionej z ruin Starówki. Ona stara-nowa, niemal mi rówieśna. Odbudowa staje się zabytkiem, jak i ja. Tak czas z nami igra. Na tyłach kamienicy, gdzie mieści się muzeum, budynki oficyny, mały dziedziniec, bardzo tam ładnie, widok na Wisłę, na praski brzeg. Tu mieści się archiwum fotografii. Proszę o szufladę ze zdjęciami ojca. Wielka niespodzianka. Siostrzeniec pierwszej żony mojego ojca, Krystyny, przekazał kilkadziesiąt zdjęć jej i mojego ojca. Zwykle to jest rok 1931. Tłem są Tatry i Zakopane. Wielkie wzruszenie, mogę chodzić z ojcem Krupówkami i górskimi szlakami, on taki młody, a ja taki niemłody. Tak się porobiło.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a9160c3526

Ewa Smolińska-Borecka

Jak pies z kotem

Ostatnim filmem Janusz Kondratiuk opowiedział historię odchodzącego brata, który kiedyś opowiedział historię odchodzącego ojca. Kto opowie jego historię?

– Myślałam, że i tym razem wymknie się rokowaniom – mówi aktorka Bożena Stachura i posępnieje. Jeszcze półtora dnia przed odejściem Janusza Kondratiuka, w sobotę, była w jego wiejskiej posiadłości w podwarszawskim Łosiu. Przywiozła ze sobą ks. Andrzeja Lutra, którego Janusz Kondratiuk uważał za przyjaciela. Reżyser żartował, jak to zwykle on. Ostatnie zdanie, które powiedział do księdza, było „dowcipne w jego stylu". Ale ksiądz go nie wyjawi. Bożenie Stachurze, która za dziewięć dni miała lecieć do dalekiego rosyjskiego Orenburga na Festiwal Filmów Polskich „Wisła", gdzie pokazany miał być ostatni film reżysera, „Jak pies z kotem", pan Janusz radził, żeby poszukała tam sobie bogatego oligarchy.

7 października Janusz Kondratiuk odszedł – niecały miesiąc po 76. urodzinach. I Bożena Stachura, i ks. Andrzej Luter od razu zamieścili na swoich profilach wspomnienia o reżyserze przyjacielu. A tydzień później, podobnie jak wiele osób, które go kochały, podziwiały, ceniły, odprowadzili go na miejsce spoczynku. Jego urnę pochowano w grobie rodzinnym w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie, gdzie trzy lata wcześniej spoczął jego starszy brat Andrzej Kondratiuk. Brat obok brata. A choć, jak uważał sam reżyser, żyli ze sobą jak pies z kotem, odchodzenie starszego brata na powrót ich związało. Teraz na wieki.

Co jest czyje?

Widzowie często ich mylili i filmy wyreżyserowane przez Janusza przypisywali Andrzejowi. Albo uważali, że bracia zrobili je razem. Tymczasem Janusz współpracował jako reżyser tylko przy jednym filmie Andrzeja – „Wniebowziętych". Miał w dorobku 31 filmów, w tym etiudy szkolne, i spektakle telewizyjne. Jego najbardziej cenione filmy powstały w latach 60., 70. i 80. „Jak zdobyć pieniądze, kobietę i sławę", „Dziewczyny do wzięcia", „Niedziela Barabasza", „Klakier". Największe uznanie z filmów powstałych w PRL przyniosły mu „Niedziela Barabasza" (dwie nagrody na Międzynarodowych Dniach Filmu Sportowego w Oberhausen – główna i Ekumenicznego Ośrodka Filmowego oraz Złoty Ekran przyznawany przez pismo „Ekran") i „Dziewczyny do wzięcia" (kolejny Złoty Ekran oraz nagroda za film telewizyjny na Koszalińskim Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film"). Musiał czekać wiele lat, by stworzyć film, który będzie absolutnym ukoronowaniem jego kariery reżyserskiej, honorowany przez krytyków i podziwiany przez widzów – „Jak pies z kotem".

Janusz Kondratiuk był o siedem lat młodszy od Andrzeja. Urodził się w Kazachstanie w miejscowości Ak-Bułak, bo rodzice i brat zostali w czasie wojny zesłani przez Rosjan na wschód. Kiedy miał trzy lata, ojciec wrócił z frontu, by całą rodzinę zabrać do Polski. Zamieszkali w Łodzi, która była wówczas ośrodkiem władzy i kultury. Obaj bracia wykazywali talenty artystyczne. Janusz ukończył liceum plastyczne, a potem, podobnie jak Andrzej, łódzką Filmówkę. I tak szli jakby gęsiego drogą zawodową, młodszy za starszym, a może czasem młodszy przodem.

Żyli trochę osobno. Młodszy miał przekonanie, że starszy mu nie pomaga. Za to on, owszem, pomagał starszemu – w czasie studiów często pracował przy filmach brata i wspierał go np. przy robieniu rekwizytów. Nie mieli czasu, a może uważali to za niezbyt męskie, by okazywać sobie miłość i przywiązanie.

Po wprowadzeniu stanu wojennego Janusz Kondratiuk dusił się w kraju. Jego byli studenci ze szkoły filmowej zaprosili go na wykłady do Niemiec. Potem zaś w Linzu w Austrii zaproponowano mu stworzenie na państwowej uczelni wydziału audiowizualnego. Skorzystał z propozycji. Został dziekanem wydziału, ożenił się, urodzili się jego córka Vera i syn Jan. Co jakiś czas pojawiał się w kraju, by tworzyć filmy i spektakle telewizyjne. Po 20 latach, w 2005 r., wrócił do Polski na stałe. W tym samym roku starszy brat miał udar.

W Gzowie i Łosiu

Andrzeja Kondratiuka i jego żonę Igę Cembrzyńską poznałam w 2004 r. Mieszkali w Gzowie. Byłam zauroczona tą parą. Pamiętam niezwykłą atmosferę ich domu i zadziwiającą otwartość obojga. Od razu podbili moje serce. Wiele razy dzwoniłam do Igi z pytaniem, co u nich słychać, lub będąc w podróży, wpadałam do Gzowa, opustoszałego i trochę podupadającego, by przypomnieć sobie tę wyjątkową atmosferę sprzed lat.

Z kolei 13 lat po poznaniu Andrzeja i Igi, rok po śmierci Andrzeja, wywiad z Igą sprowadził mnie do posiadłości Janusza w Łosiu. Poznałam reżysera, bo przyszedł do nas, kiedy z Igą siedziałyśmy na tarasie. Chciał porozmawiać. Wszyscy, którzy go znali, potwierdzają, że był ciekaw ludzi. I podobnie jak wtedy w Gzowie, gdy poznałam Andrzeja, poczułam się akceptowana i lubiana. Widocznie mimo że bracia pozornie byli tak różni, w jednym byli tacy sami – kochali ludzi. Tak jak przed laty byłam goszczona w domu w Gzowie przez Andrzeja i Igę, tym razem zostałam zaproszona przez pana Janusza i jego żonę Beatę na obiad. To było wspaniałe popołudnie, aż żal było opuszczać ten dom.

Pan Janusz opowiadał m.in. o problemach rodzinnych Igi, które potem zobrazował w „Jak pies z kotem". Był czerwiec 2017 r. i zdjęcia do filmu miały się ku końcowi. Reżyser mówił, że potrzebuje jeszcze ujęcia pola z dyniami i że ma już takie na oku w Polsce, które zagra pole w Kazachstanie. Ale jeszcze musi poczekać, aż dynie dojrzeją. Obiecywałam sobie, że kiedy przyjdzie czas na te dynie, postaram się razem z ekipą filmową pojechać na zdjęcia i porozmawiać o powstającym filmie, który miał

eprasa.pl a9160c3526

Mimo że bracia pozornie byli tak różni, w jednym byli tacy sami – kochali ludzi.

Kadry z filmu „Jak pies z kotem".

Wszyscy, którzy znali Janusza Kondratiuka, potwierdzają, że był ciekaw ludzi.

być opowieścią o miłości braterskiej i o odchodzeniu. Jednak przegapiłam moment dojrzewania dyń. Już więcej się nie spotkaliśmy.

Choroba

Pod koniec 2017 r. pan Janusz skończył montaż filmu, ale ten moment przesłonił smutek. W pierwszy dzień 2018 r. dał o sobie znać rak trzustki. Reżyser trafił do szpitala i był tam trzy tygodnie. W niedzielę, 21 stycznia, w Łosiu odbyło się powitanie pana Janusza po wyjściu ze szpitala. Były żona Beata Madalińska-Kondratiuk oraz Iga Cembrzyńska, która po śmierci Andrzeja zamieszkała w domu pana Janusza, byli ks. Andrzej Luter i Bożena Stachura, która w „Jak pies z kotem" zagrała żonę Janusza Kondratiuka Beatę. Ksiądz wspomina, że ten wieczór był cudowny. Pan Janusz nie tracił humoru, choć widać było, że słabo wygląda. – Czułem, że to może być ostatnie spotkanie – stwierdza ks. Luter.

Pan Janusz na YouTubie znalazł pieśń „Tiomnaja nocz", która przypominała mu klimat z dzieciństwa w Kazachstanie, i chciał, by wszyscy wspólnie jej wysłuchali. Pochwalił się też drugą wyszperaną w internecie pieśnią po rosyjsku, „My pajdiom s koniom", o tym, jak cudnie przemierzać step na koniu, i o miłości do ojczyzny. Rozmawiali i śpiewali do późna w nocy. Bożena Stachura na odchodnym sfotografowała od strony ogrodu wielkie okno w domu pana Janusza. Siedział na łóżku, tyłem do okna, pochylony. Widać było zmęczenie. Ale wola życia była silniejsza.

•

Wiele czasu spędzał w szpitalu ze względu na leczenie. Zwykle więc właśnie tam spotykał się z ks. Lutrem. We wrześniu 2018 r. film „Jak pies z kotem" został zaprezentowany na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Przyjechała cała główna obsada, czyli Bożena Stachura grająca Beatę, Aleksandra Konieczna – Iga, Robert Więckiewicz – Janusz i Olgierd Łukaszewicz – Andrzej. Poza tym oczywiście postacie oryginalne: Iga Cembrzyńska, Beata Madalińska-Kondratiuk i Janusz Kondratiuk. Oklaski po projekcji trwały 10 minut. Pan Janusz nie dostał nagrody jako reżyser, ale za najlepsze role drugoplanowe nagrodzeni zostali Aleksandra Konieczna i Olgierd Łukaszewicz.

18 października 2018 r. w kinie Muranów w Warszawie odbyła się premiera. Janusz był obecny. Ale na wyjazd do Kanady i Stanów Zjednoczonych, gdzie w wielu miastach film był prezentowany, już się nie zdecydował ze względu na stan zdrowia. W jego imieniu za ocean poleciała Bożena Stachura.

– Tak oto filmowa żona stała się posłanką Janusza – mówi aktorka. – Mieliśmy zwyczaj, że Janusz nagrywał mi na dyktafon kilka słów od siebie dla widzów i ja te przemowy odtwarzałam podczas festiwalowych spotkań do mikrofonu. Ludzie byli wzruszeni, słysząc piękny, niski głos Janusza. Rozlegały się oklaski. Janusz nie znosił patosu. Nie chciał być podziwiany za to, że wziął do domu chorego brata, nie uważał tego za bohaterstwo. „To nasz obowiązek – powtarzał. – Kto ma się zająć naszymi najbliższymi, jak nie my?". Przed laty Andrzej i Janusz też sprowadzili bardzo już schorowanego ojca do Gzowa i tam otoczyli go opieką. Powstał o tym przepiękny film „Cztery pory roku". Wystąpiła w nim cała rodzina, która mocno doświadczona losami wojennymi, zesłaniem na Syberię i do Kazachstanu, zawsze trzymała się razem. Takie przesłanie ma też nasz film „Jak pies z kotem". Janusz bał się, że nie dotrze nim do młodych ludzi. Nie miał racji. Kiedyś na festiwalu Camerimage w Bydgoszczy podszedł do mnie młody reżyser z Indii i ze łzami w oczach opowiadał o opiece nad ukochaną babcią. Nasz film bardzo go wzruszył. Mnóstwo takich historii od ludzi młodych wysłuchałam. Powiedziałam Januszowi: „Masz to, co chciałeś. Ten film jest uniwersalny i dotyczy każdego, bez względu na wiek". Ludzie pokochali go za ciepło, optymizm, poczucie humoru, mimo że dotyka spraw ostatecznych. Janusz nagrał mi kiedyś takie zdanie: „Życzę państwu, żebyście wyszli z tego filmu ciut lepsi, niż na niego przyszliście...".

eprasa.pl a9160c3526

Spotkania mimo wszystko

Posypały się nagrody, a do Janusza Kondratiuka trafiały zaproszenia do udziału w kolejnych festiwalach i spotkaniach. W listopadzie 2018 r., po zakończeniu podróży filmu po kontynencie amerykańskim, był on prezentowany na Camerimage w Bydgoszczy i nominowany do nagrody. W tym roku w styczniu reżyser spotkał się z publicznością w Klubie Filmowym Elektronowa 10 w Warszawie. Był także na spotkaniu z widzami w stołecznym Iluzjonie, gdzie jego film prezentowano jako kandydata do Polskich Nagród Filmowych Orły 2019 za reżyserię. Aleksandra Konieczna zdobyła na tym festiwalu Orła za drugoplanową rolę żeńską.

Na początku maja na 16. Festiwalu Filmów-Spotkań Niezwykłych w Sandomierzu reżyser otrzymał nagrodę – kwadratową Koronę Sandomierską. Żartował: „Całe życie martwiłem się, że mam kwadratowy łeb, teraz okazuje się, dlaczego". Bożena Stachura wygłosiła wówczas wzruszającą laudację. Roiło się w niej od cytatów z kultowych filmów Janusza Kondratiuka, np. reżyser – „Bardzo fajna praca, cicha, spokojna, umysłowa". Padło również motto życiowe pana Janusza, które Bożena Stachura podczas pisania laudacji podstępem wyciągnęła od niego przez telefon: „Pić, pi…lić, nie żałować, bida musi pofolgować. Trąbka, pompka, wieś się pali, kładziem warkocz, jedziem dalij".

Iga Cembrzyńska i Janusz Kondriatiuk. W tle pomnik Krystyny Kondratiuk, matki braci, która stworzyła Muzeum Włókiennictwa w Białej Fabryce przy ul. Piotrkowskiej w Łodzi.

W maju pan Janusz z córką pojechał do Moskwy na Festiwal Filmów Polskich „Wisła". „Jak pies z kotem" zdobył tam drugą nagrodę. W czerwcu na 33. edycji Tarnowskiej Nagrody Filmowej otrzymał zaś nagrodę specjalną, ale reżyser do odebrania wysłał żony: prawdziwą i filmową. Na początku sierpnia w Kostrzynie nad Odrą w ramach Akademii Sztuk Przepięknych spotkał się za to z młodymi ludźmi, którzy przyjechali na Pol'and'Rock Festival. We wrześniu Popkulturowa Akademia Wszystkiego nominowała „Jak pies z kotem" w trzech kategoriach, m.in. w kategorii Wzruszyło, „za kino będące sposobem na przepracowanie osobistej straty i traumy (…)".

Tiomnaja nocz

Sobota, 5 października. Reżyser poprosił Bożenę Stachurę, żeby poszukała w internecie żołnierskich pieśni radzieckich. Wzruszały go do łez, choć, jak przyznał, nie znał rosyjskiego. – „To moje wczesne dzieciństwo", powiedział i kazał mi się nauczyć swojej ukochanej pieśni „Tiomnaja nocz" – wspomina aktorka. – Janusz tym razem nie nagrał żadnej przemowy dla widzów. Powiedział, że jadę do ludzi, którzy odbiorą ten film całym sercem, każdym porem skóry, nie będzie im mówił, co mają czuć. Kiedy zacytowałam widowni w Orenburgu te słowa, ludzie ze łzami w oczach zaczęli klaskać.

Aktorka wyjechała na festiwal tuż po pogrzebie. Razem z rosyjską publicznością uczciła pamięć zmarłego reżysera minutą ciszy. Puszczono także na ekranie pieśń „Tiomnaja nocz" z filmu „Dwaj żołnierze" (1943), w wykonaniu Marka Bernesa. A potem długo trwały rozmowy z widzami, o filmie i o reżyserze, który już niczego nie nakręci. Ostatnim filmem opowiedział historię odchodzącego brata, który kiedyś opowiedział historię odchodzącego ojca. Kto opowie jego historię?

Ewa Smolińska-Borecka

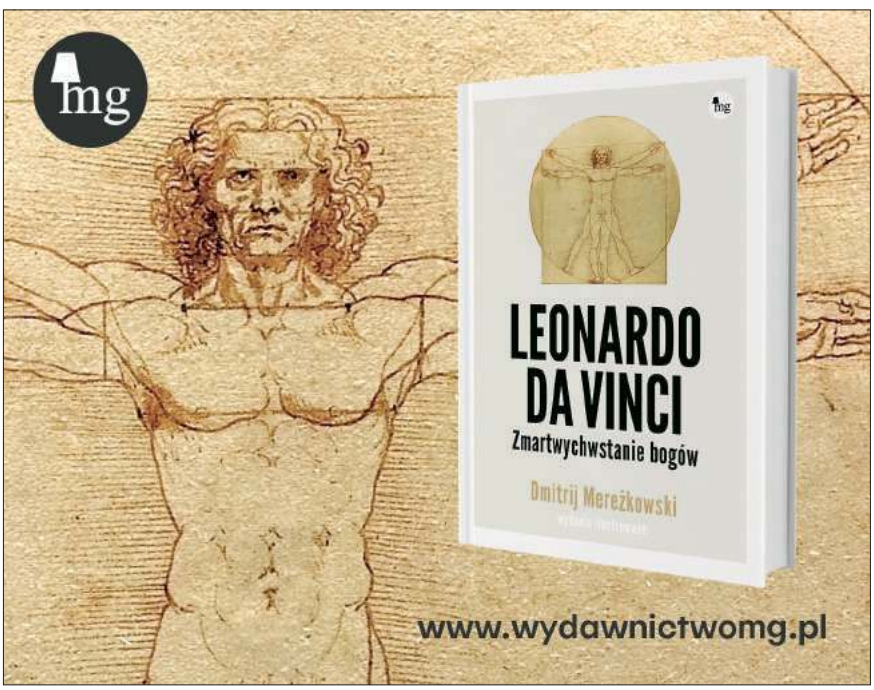

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2), PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl a9160c3526

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Brecht przez łzy

„Nieznośnie jest żyć w kraju, w którym nie ma poczucia humoru, ale jeszcze nieznośniej jest tam, gdzie poczucie humoru jest do życia niezbędne", powiadał Bertolt Brecht. Ha, nie słyszał dowcipu Andrzeja Dudy. Najnieznośniej jest tam, gdzie poczucie humoru odbiera chęć do życia. Kaczyści nigdy nie są bardziej zabawni niż wtedy, gdy robią srogie minki i z psychopatriotyczną powagą plotą tromtadrackie banialuki. Ale kiedy usiłują żartować, robi się przeraźliwie smutno. Ja mam wtedy ataki śmiechu jokerowskiego – spazmatyczny, bolesny chichot z rozpaczy. Nic tak nie obnaża intelektualnej miernoty obecnej władzy jak jej próby satyryczne. „Studio YaYo" i „W tyle wizji" to suchariada *level master*. Gdyby to puszczano w Guantanamo, wszyscy osadzeni dawno wsypaliby całą siatkę wspólników i świat byłby wolny od terroryzmu. *Cringe* jest przecież wyrafinowaną torturą, rodzajem straszliwej ambiwalencji, gdy jednocześnie brzydzisz się i litujesz.

Kiedy z dowcipu, który cię nie śmieszy, śmiejesz się głośno tylko dlatego, że opowiedział go wódz, może to być objawem oportunizmu, lojalności albo empatii wobec opowiadającego. Dopiero gdy nieśmieszny dowcip zaczyna ci się zdawać zabawny, to już kult jednostki. Andrzej Duda jest zaledwie pomazańcem kaczym, a i samemu prezesowi, niewątpliwie objętemu „kultowym" immunitetem, wciąż daleko do poziomu papieskiego uwielbienia (jakkolwiek mam podejrzenia graniczące z pewnością, że dopóki zamiast „Jarosław, Polskę zbaw!", nie usłyszy na wiecach „Ko-cha-my Cie-bie!", a jego sobowtór wciąż będzie miał w Polsce mniej pomników niż JP2, prezes nie uzna swojej misji za spełnioną). Po prawej stronie barykady nastał zatem niejaki popłoch nie z powodu pyrrusowego zwycięstwa w wyborach (o korektę wyników senackich już dba stosowny sztab), ale wskutek swawolnego wystąpienia jedynego kandydata prawicy w przyszłorocznych wyborach prezydenckich.

Memokracja nie wybacza kiepskiej błazenady. Raz usłyszysz martwą ciszę po stand-upie i już po tobie. Żadne orędzie już ci nie pomoże ani napinka podbródka *à la* Mussolini, ani nawet tabuny medialnych macherów. Żebyż Duda opowiedział dowcip li tylko rasistowski, suweren zarechotałby familiarnie, nie na poprawności politycznej buduje się teraz mir w narodzie. Pech chciał, że to był kawał tyleż niepoprawny, co nieśmieszny, dla statystycznego wyborcy kompletnie hermetyczny, by nie rzec elitarystyczny, środowiskowo zaś żenujący, by nie rzec dziaderski. Tym samym w dowcipie o ludożercach dokonał się akt częściowego autokanibalizmu – Duda zaczął zjadać własny ogon. Żeby wygrać wybory prezydenckie w plemiennej Polsce, nie wystarczy rychło wskazać i wspierać najlepszego z możliwych kandydatów opozycji; potrzebne jest jeszcze samopożarcie się urzędującego prezydenta. Należy więc ze wszystkich sił prowokować go do opowiadania kawałów; widać, że Duda posiadł tu wysoce autodestrukcyjny talent. Panie Prezydencie, chcemy więcej. PiS może pokonać tylko choroba autoimmunologiczna. Pozostaje nam wiara w to, że prezydent Duda nie spocznie w swoich krotochwilach.

„Oni nie mają poczucia humoru" – za tę przytomną uwagę nie tak dawno wojewoda śląski postanowił zwolnić dyrektorkę chorzowskiego Teatru Rozrywki. Kaczyści nadzwyczaj łatwo czują się obrażani, dość spojrzeć na nagłówki prorządowych portali, w których najważniejsze wiadomości z kraju i ze świata zaczynają się od tego, kto i gdzie obraził (znieważył, haniebnie pomówił, obrzydliwie zelżył itd.) polityków rządu = Polaków = Polskę = Boga, bo przecież Chrystus i Maryja nam królują. Polska wszędzie jest nieustannym obiektem szkalowania, Polacy dawno już od tak wielkiej skali obrażeń powinni wyzionąć ducha. I pewnie tak by się stało, gdyby nie fakt, że jest to poniekąd duch święty.

Jak się przedobrzy w mieszaniu ludziom we łbach, samemu na pomieszanie zmysłów narazić się łacno.

Pomyślałem sobie: ta teoria powszechnej zniewagi nieuchronnie musi doprowadzić do tego, że oni zaczną się obrażać na samych siebie. Nie jeden na drugiego, ale na siebie samych. Przeczytamy, że poseł X poczuł się urażony własnymi słowami i zapowiedział w tej sprawie pozew o zniesławienie, a poseł Y domaga się od siebie przeprosin i wpłaty na Caritas. Jak się przedobrzy w mieszaniu ludziom we łbach, samemu na pomieszanie zmysłów narazić się łacno.

Wojciech Kuczok jest prozaikiem, poetą, krytykiem filmowym i scenarzystą. Laureat Paszportu „Polityki" w dziedzinie literatury za rok 2003 i literackiej Nagrody Nike 2004 za powieść „Gnój".

Poprzedni felieton na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a9160c3526

Kaczyński, Morawiecki i Trump wiersze piszą

Poezja jest moralnym zwycięzcą w starciu z polityką. Podobnie jak satyra unieszkodliwia totalitarne zapędy polityków

Rafał Pikuła

Poezja leży na antypodach polityki. O ile ta pierwsza jest ucieczką od rzeczywistości, pięknym trudem, świętem wycyzelowanych słów, o tyle ta druga jest brutalną powszedniością, zlepkiem deklaracji, obietnicą bez pokrycia i ślubem bez wesela. Poezja uczy wrażliwości, polityka barbarzyństwa. Zarazem jednak poezja jest moralnym zwycięzcą w starciu z polityką. Podobnie jak satyra unieszkodliwia totalitarne zapędy polityków.

Tak jak robi to choćby anonimowy bard z Facebooka, admin fanpage'ów „Wiersze Jarosława Kaczyńskiego pisane nocą" i „Wiersze Mateusza Morawieckiego pisane w Excelu". Pierwszy profil istnieje od 2015 r., drugi powstał dwa lata później (wraz z awansem Morawieckiego na premiera). Oba obserwuje łącznie ponad 64 tys. fanów. Jeżeli ktoś myśli, że rzeczone wiersze są propagandowymi rymowankami, bardzo się zawiedzie. Nie o kabaretowe wypociny tu chodzi. Autor fanpage'ów zaznacza, że chce być Rusinkiem Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego. To sekretarzowanie, które bawi i uczy. Może też przerażać.

„Twórczość premierów" jest efektem tytanicznej pracy. Polega ona przede wszystkim na słuchaniu oraz czytaniu wypowiedzi Kaczyńskiego i Morawieckiego. Z dnia na dzień pęcznieje archiwum myśli obu polityków. Ich postrzeganie rzeczywistości i forma opowiadania o świecie różnią się. Kaczyński wierzy, że jest kolejnym Piłsudskim, ma do odegrania ważną rolę w historii i buduje państwo dobrobytu. To widać w jego opowieściach. Morawieckiemu też nie brakuje wyobraźni. Może chciałby być zapamiętany jako drugi Grabski, ale jego sposób wypowiadania się nie jest jednoznaczny. W wystąpieniach łączy styl gawędziarski z naukowym, kolokwializmy przeplata z korpogadką, żargon politruka z chłopską klechdą. Czasem brzmi jak menedżer, innym razem jak chłopak z sąsiedztwa. Dla wrażliwszych czytelników i słuchaczy ta wymuszona swojskość może być szokująca – oto były prezes banku chce być trybunem ludowym.

Autor fanpage'ów chce być Rusinkiem Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego. To sekretarzowanie, które bawi i uczy.

Przeproś za poezję!

Admin fanpage'ów obu polityków słucha z największą intensywnością. Gdy już uchwyci słowa godne uwagi, zabiera się do pracy redaktorskiej. Na czym ona polega? To z jednej strony budowanie konstrukcji wiersza, z drugiej drobna korekta. Na przykład zastępowanie zaimków rzeczownikami itp. Krytyków jednak nie brakuje.

– Regularnie dostaję negatywne wiadomości od konkretnych internautów. Spełniają one czasami definicję hejtu, chociaż nie są bardzo brutalne. Często autorzy takich listów mają problem ze zrozumieniem, dlaczego nadaję cytatom formę liryczną. Dziwi ich to, nigdy wcześniej nie mieli z czymś takim do czynienia, nie umieją tego zdefiniować i dlatego patrzą podejrzliwie. Uważają, że to na pewno musi służyć czemuś złemu, ale nie potrafią tego podejrzewanego przez siebie zła w żaden sposób dookreślić. Miotają się. Oczywiście nie brakuje osób, które *explicite* twierdzą, że moje fanpage'e są

eprasa.pl a9160c3526

antypisowskie. Że może i wiernie cytuję polityków PiS, może sprytnie to sobie wymyśliłem, ale mam antypisowskie intencje i oni to widzą. Zdarzało się też, że ludzie twierdzili, że ktoś za mną stoi, że jestem „tym antypolskim Jackiem Dehnelem" czy dziennikarzem „Wyborczej" – wyjaśnia admin.

Są i tacy, którzy uważają, że wiersze Kaczyńskiego i Morawieckiego to profanacja poezji! Mowa tu o osobach, dla których poezja to Jan Paweł II czy Jan Twardowski, a przede wszystkim ich własne rymowanki o kwiatach i miłości przy świetle księżyca. – W mniemaniu tych ludzi jestem barbarzyńcą, guzik się znam na poezji i powinienem przeprosić naród za to, że używam słowa poezja. Tak mi napisała jedna pani – opowiada admin i dodaje, że mowa tutaj o ludziach, którzy niezbyt dobrze orientują się w mechanizmach literatury i za poezję uważają wyłącznie te teksty, które trafiają w ich sentymenty. – Dla nich poezja zaczyna się i kończy na kilku wierszach czy wierszykach – konkluduje.

Nie bez znaczenia jest fakt, że wiersze powstają w przestrzeni Facebooka. Z mediów społecznościowych to miejsce najbardziej adekwatne. Instagram jest zbyt mało polityczny, Twitter zaś polityczny za bardzo. Ma poza tym limit znaków, a przecież liryka nie znosi ograniczeń. Na Instagramie królują piękne zdjęcia, najczęściej pozbawione głębszego przekazu, ćwierki zaś są strzałami, które mają jeden cel: zaorać przeciwnika. Facebook jest pomiędzy – to przestrzeń, gdzie wielkie łączy się z małym, a poezja może być oswajana poprzez satyrę polityczną.

1	Żywiec jest
2	znany z takiego
3	festiwalu Męskie Granie.
4	
5	I my potrzebujemy
6	takie męskie granie,
7	nawet w wykonaniu
8	i kobiet, i mężczyzn,
9	potrzebujemy w polityce.
10	
11	Twardo stąpać
12	po ziemi i dbać
13	o interesy Polski.
14	
15	Polska jest
16	dla nas największą
17	świętością.
18	
19	(12.09.2019)

Nowy Różewicz

Część czytelników „wierszy" traktuje je jako terapię. Osobom o dużej wrażliwości ujęcie rządowej propagandy w ramy liryki pozwala oswoić przekaz. W końcu zawarcie reformy szkolnictwa w dynamice wiersza – dodanie pauzy wersyfikacyjnej – to kwestia kluczowa. Dzięki takim zabiegom zwyczajna wypowiedź nabiera charakteru niemal heroicznego.

Warto zwrócić uwagę, że wszystkie wiersze są utrzymane w podobnej stylistyce. Zasada dekorum jest bardzo ważna dla admina. Potwierdza to, że mamy do czynienia nie z czczą pisaniną, ale z zabawą poważną, prawdziwą literaturą. Wystarczy tu dodać, że jeden z krytyków literackich podczas dyskusji w komentarzach na temat stylu wierszy Kaczyńskiego zaproponował określenie „nota post-różewiczowska". Wiersze pisowskich polityków są bliskie estetyce autora „Kartoteki". Jest tu jasność przekazu, bez barokowych ozdobników i postmodernistycznych żartów.

Co ciekawe, ujęcie słów polityków w wiersze jest właściwie tylko polską specjalnością. Jesteśmy krajem poetów – podobno 5 mln Polaków amatorsko trudni się tworzeniem liryki, chociaż jedynie milion tę lirykę czyta. Nie tylko zresztą Morawiecki czy Kaczyński są wieszczami. Istnieje także fanpage z wierszami Krystyny Pawłowicz, ale dużo mniej popularny, za to znacznie bardziej wulgarny.

Swojej poezji doczekał się również Donald Trump. I to wydanej w tomiku! Wszystko za sprawą Norwega Chrisa Felta, który zebrał w formie poezji przemówienia i wywiady prezydenta Stanów Zjednoczonych. – To, co mówi Trump, jest bliższe poezji i fikcji niż rzeczywistości – wyjaśnił powód swojego działania Felt. Tomik nosi tytuł „Uczyńmy poezję znów wielką" („Make poetry great again"), co jest nawiązaniem do wyborczego hasła Trumpa „Uczyńmy Amerykę znów wielką" („Make America great again").

Norweski portal The Local cytuje np. wiersz o Ivance Trump – w rzeczywistości wypowiedź Donalda Trumpa o córce sprzed 10 lat: „Powiedziałem, że gdyby Ivanka nie była moją córką, być może umówiłbym się z nią". Oczywiście żenujące słowa poddane wersyfikacji nabierają nowego znaczenia. Bliżej im wtedy do „Antygony" niż do niezdarnego chlapnięcia tatuśka. Wydawca tomiku, firma Kaggen, poinformowała, że pierwsze wydanie osiągnęło nakład 2 tys. egzemplarzy, a jeden egzemplarz wysłano Donaldowi Trumpowi. Nie jest znana reakcja prezydenta USA, ale przy takim przeroście ego mógł się poczuć nominowany do Literackiej Nagrody Nobla.

Nie liryka, nie epika

Politykę i poezję łączy to, że chcą ogarniać świat w całym zarysie. Obie sztuki roszczą sobie prawa do narzucania narracji całemu uniwersum. Już Thomas Mann w „Czarodziejskiej górze" pisał, że „nie ma nie-polityki. Wszystko jest polityką". Z drugiej strony nasz rodzimy twórca Edward Stachura zwykł mawiać, że wszystko jest poezją. Różewicz, mistrz prostoty, ustawicznie poprawiał jednak kolegę po piórze: „Wszystko. Z wyjątkiem złych wierszy".

Myślę, że gorsze od złych wierszy są złe rządy. A na takie nam się zanosi. I nie będzie to liryka czy nawet epika, ale po prostu dramat. ■

FOT. FACEBOOK/WIERSZE MATEUSZA MORAWIECKIEGO PISANE W EXCELU, FACEBOOK/WIERSZE JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO PISANE NOCĄ

eprasa.pl a9160c3526

Poszukiwany: Handke

Stara zbrodnia? Nierzadki temat kryminałów. Sprawcę zdradza po latach drobiazg. Czasem zdarza się to i w życiu. Wtedy temat znów trafia na czołówki gazet, niewinnie oskarżony – już starszy człowiek – wychodzi z więzienia, skarb państwa wypłaca mu odszkodowanie za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat niezawinionej odsiadki.

Ale cytat? Wypowiedź zmyślona, omyłkowo lub celowo przypisana komuś innemu? Jego prawdziwości nikt nawet nie próbuje dociekać. Chyba że zdarzy się coś nadzwyczajnego. Na przykład przyznanie Nagrody Nobla.

Na pięciu stronach niemieckiego tygodnika „Der Spiegel" kilkunastu autorów zadało sobie trud prześledzenia losów zdania, które miało kiedyś paść z ust Petera Handkego, austriackiego pisarza i tegorocznego noblisty. Dawno temu, bo już w latach 90., było jednak istotnie szokujące. Brzmiało: „Swoje trupy może pan sobie do d… wsadzić".

No rzeczywiście. Może i zdolny literat, a tak naprawdę wulgarny gbur. Głuchy na cierpienia ofiar. Tylko czy Handke rzeczywiście to powiedział?

Nowe śledztwo wykryło, że cytatu użyto po raz pierwszy po angielsku, w „Irish Times" z marca 1999 r. Pisarz przebywał jednak wówczas w Austrii. Irlandzki autor relacjonuje zresztą tylko trochę wcześniejszy artykuł autora austriackiego, Günthera Nenninga, o dyskusji w wiedeńskim Akademietheater. To wtedy rozzłoszczony Handke miał wykrzyknąć słowa, które potem w angielskim tłumaczeniu obiegły kulę ziemską.

Dziś Nenning już nie żyje, w internecie można jednak znaleźć wideo z tamtej dyskusji w Akademietheater. Pisarz przedstawia tam własne spojrzenie na wojny w b. Jugosławii zawarte w książce „Podróż zimowa nad Dunaj, Sawę, Morawę i Drinę albo sprawiedliwość dla Serbii". Fatalne zdanie rozemocjonowanego Handkego musiało być odpowiedzią na zarzut kogoś z publiczności. Ale co powiedział? Nie słychać tego na filmie.

Udało się za to ekipie redakcyjnej rozpoznać człowieka, do którego Handke kierował odpowiedź. To austriacki dziennikarz Karl Wendl. Pamięta wieczór, sam sporządził zresztą wtedy notatki. „To spotkanie było dawniej, już w 1996 r. Pytałem, czemu w książce Handkego nie wyczuwa się konsternacji z powodu bośniackich ofiar. A on zapytał, czy mi się wydaje, że konsternacja to coś własnego, mogę ją sobie np. umieścić w księdze hipotecznej. Wołał, że z tą swoją konsternacją mam iść do domu, mogę ją sobie wsadzić w… Ale jestem na 1000% pewny, że Handke wtedy nie użył słowa trupy ani zwłoki".

Tak samo pisze o tym wieczorze w Akademietheater „Süddeutsche Zeitung" z 5 czerwca 1996 r. Konsternacja – tak. Wsadzić – tak. Gdzie – też. Trupy – nie.

Tymczasem po latach te rzekome słowa Handkego zrobiły międzynarodową karierę, słychać je w rozlicznych dyskusjach. Rutynowo się je potępia. Tyle że pisarz nigdy ich nie powiedział.

(hart)

eprasa.pl a9160c3526

Szymborskiej nikt nie odmawiał

W artykule Agnieszki Wolny-Hamkało zatytułowanym „Nobel i loteryjka" (PRZEGLĄD nr 42), poświęconym Oldze Tokarczuk, natknęłam się na taki oto passus, stanowiący zdumiewającą puentę tegoż artykułu:

„Był moment, kiedy inna polska (znacznie starsza wtedy od Tokarczuk) noblistka, Wisława Szymborska, zapraszała znajomych do siebie – na wigilię, herbatę, loteryjki, i większość zastanawiała się, jak tu uprzejmie staruszce odmówić. Po Noblu nikt nie odmawiał. Cieszmy się więc, gratulujmy Oldze Tokarczuk i zgadzajmy się czasem na loteryjkę u jakiejś staruszki, zupełnie bezinteresownie".

Domyślam się, że autorka spożytkowała tu i, niestety, twórczo rozwinęła anegdotę, znajdującą się w autobiografii Marcina Świetlickiego „Nieprzysiadalność", w której bohater opowiada, jak to nienagrodzona jeszcze Noblem Szymborska, będąc w redakcji „Tygodnika Powszechnego", zapraszała tamtejszych redaktorów do siebie na szybką wódeczkę, ci zaś kurtuazyjnie odmawiali starszej pani, tłumacząc się nawałem pracy; po Noblu zaś gotowi byli biec tam galopem. Anegdota ta, prawdziwa na poziomie uogólnienia (bo Nobel podnosi zawsze falę snobizmu), jest na poziomie konkretu jedynie szyderczą fikcją literacką, wymierzoną w dawnych kolegów. Szymborska – w czasie, o którym tu mowa – nie miała zwyczaju organizowania spontanicznych wódeczek (zwłaszcza przedpołudniowych!) nie tylko dla dalszych, ale nawet dla bliskich znajomych, ani też nagabywania kogokolwiek, by na tę wódeczkę do niej wpadł. Mogła najwyżej podczas wizyty w „Tygodniku" rzucić luźną myśl w rodzaju: „Trzeba będzie kiedyś wydać dla was jakąś wódeczkę", co nie oznaczało wcale, że myśl ta musiała być wcielona w życie. Świetlickiemu, do którego mam słabość, odpuściłam. Ale zdanie pani Wolny-Hamkało, że „większość znajomych zastanawiała się, jak tu uprzejmie staruszce odmówić", zmusza mnie do zareagowania, bo w najwyższym stopniu rozmija się ono z prawdą.

Nobel i loteryjka

Tokarczuk zawsze była autorką chętnie czytaną. Do tego stopnia, że zaczęto na jej literaturę patrzeć nieufnie

Agnieszka Wolny-Hamkało

Także na długo przed Noblem kolacyjki u Szymborskiej (z loteryjką najczęściej połączone) miały charakter elitarny i problemem było nie to, jak jej odmówić, ale co zrobić, by zostać na nie zaproszonym. Trzeba było albo należeć do grona bliskich przyjaciół, albo czymś wyjątkowym zwrócić na siebie uwagę poetki. Goście kompletowani byli z rozmysłem, z jakim artyści kwiaciarstwa układają bukiety kwiatów, i dołączenie do ich grona traktowane było jako swojego rodzaju towarzyska nobilitacja. Nobel to ujawnił, ale nie spowodował zmian. Wigilii ani herbatek Szymborska u siebie nie urządzała. I na pewno nikt ze znajomych Szymborskiej ani myśląc, ani mówiąc o niej, nie używał słowa „staruszka", nawet później, gdy odpowiadało ono jej wiekowi. Bowiem jej osobowość i jej sposób bycia stanowiły zaprzeczenie cech, jakie z tym słowem na ogół wiążemy.

W pełni popieram końcowy apel autorki artykułu, by życzliwie odpowiadać na zaproszenia staruszek i włączać się do ich z życia towarzyskiego, ale czynienie z Szymborskiej patronki tego ruchu jest głębokim nieporozumieniem.

Teresa Walas,
członek Zarządu Fundacji
Wisławy Szymborskiej

Od autorki:

Pani Teresa Walas, nie tylko jako członek Zarządu Fundacji Wisławy Szymborskiej, ale jako osoba blisko związana ze środowiskiem Wisławy Szymborskiej, na pewno lepiej ode mnie wie, jakie obyczaje panowały w otoczeniu naszej pierwszej literackiej noblistki. Dlatego zdecydowanie polecam wierzyć jej relacji niż anegdocie, którą bez złej woli przywołałam. Chcę jednak podkreślić, że nie uważam słowa „staruszka" w żadnym stopniu za pejoratywne i bardzo chciałabym doczekać czasów, kiedy nikt tak tego słowa nie będzie traktował.

Agnieszka Wolny-Hamkało

PROBLEMY DOROSŁYCH
TO CIĘŻAR DLA DZIECI.
Razem możemy to zmienić.
SOS Wioski Dziecięce to opieka zastępcza oraz działania profilaktyczne w ramach Programu SOS Rodzinie.
Dowiedz się więcej na:
www.wioskisos.org
SOS WIOSKI DZIECIĘCE
Partner kampanii:
onet
Patronat medialny:
TVP 2

eprasa.pl a9160c3526

KONIEC ŚWIATA NA CAPRI

Krystian Lupa, odwołując się do Malapartego i prowadząc nas przez włoskie pejzaże, zwłaszcza wokół Capri, ukazuje upadek cywilizacji europejskiej. Dwa tysiące lat stracone – taki pada wyrok, a nagromadzone sceny potwierdzają niebezpieczny stan zmierzchania, znaczony zbrodniami nazistów, upadkiem moralnym przegranych i zwycięzców. W hipnotycznych obrazach, w przewrotnych samplach aktorskich, scenach pełnych zmysłowego zagęszczenia i grozy przewija się pytanie o to, kim jesteśmy i czy pojawi się jeszcze ratunek. Mimo bezwzględnej diagnozy gdzieś na dnie tli się nadzieja – to nie tylko spektakl przestroga, ale i wprost wyrażona myśl, że wciąż chce się żyć.

„Każdy może być każdym", powiada jeden z aktorów, bo nikt tu do końca nie jest przypisany do jednej postaci, poza Piotrem Skibą, który jest skupionym wewnętrznie Malapartem (ale jednym z kilku jego wcieleń), rozpamiętującym przeszłość. Tożsamość pozostałych jest chwiejna, jak to w dzisiejszym teatrze, a Lupa nie tylko nadąża, ale jak zawsze jest nawet krok dalej od swoich uczniów, bawi się więc w udawanie kogoś prywatnego na scenie, choć to przecież niemożliwe. Ale to jedynie przyprawa do tego bolesnego spektaklu, gęstego od znaczeń i odniesień do historii, kultury, sztuki, rewolucji obyczajowej. I do polskich obsesji.

Przedstawienie formalnie skomplikowane, z precyzyjnie namalowanymi obrazami jak freski w starych kościołach i pałacach, jak rzeźby w galeriach, trwające niemal sześć godzin, trzyma w napięciu widza, prowadzonego na koniec do jaskini. Czyżby ludzkość miała zaczynać wszystko od początku?

Tomasz Miłkowski

„Capri – wyspa uciekinierów" na podstawie utworów „Kaputt" i „Skóra" Curzia Malapartego, reżyseria Krystian Lupa, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 12 października 2019

JEDEN KREDYT, GODZINA ŚMIECHU

Kataloński dramatopisarz z Barcelony jest autorem sympatycznej komedii „u Jandy". Wymyślił piętrowe perypetie kredytobiorcy, któremu stawia opór dyrektor małego banku. Przeniesiona w warszawskie realia akcja trzyma w napięciu do końca, jak w dobrym filmie sensacyjnym, a dodatkowo kusi podtekstem małżeńsko-erotycznym. Widzowie śledzą brawurową grę Piotra Machalicy i Piotra Borowskiego i śmieją się gromko. Z kogo? Z bohaterów tej historii, a może z siebie?

Bronisław Tumiłowicz

Jordi Galcerán, „Kredyt", tłumaczenie Rubi Birden, reżyseria Maciej Kowalewski, Teatr Polonia, premiera 19 października 2019

DIVĄ BYĆ

Czy to narodziny nowego gatunku monodramu – operodramu? A może po prostu zgrabnie uszyta składanka, której narracja służy prezentowaniu możliwości wokalnych i aktorskich młodej sopranistki, absolwentki warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego, Małgorzaty Pawłowskiej? Mniejsza o to. Powstał dowcipny spektakl o tęsknotach i przeszkodach piętrzących się przed marzącą o karierze diwy operowej młodą artystką. Żeby przetrwać i zwrócić na siebie uwagę, mierzy się z legendarnymi ariami i popularnymi piosenkami, weselnych i pogrzebowych ornamentów nie pomijając. Tak czy owak, sopranowego wykonania „Arii z kurantem" albo „Gdybym był bogaty" ze „Skrzypka na dachu" nigdy wcześniej nie słyszałem, a już samo to warte jest usłyszenia. Nie wspominając o wybornych wyimkach partii Carmen.

Rzecz rozgrywa się na granicy dla śpiewaczki ryzykownej, krok dalej i pojawia się niebezpieczeństwo szarży, zwłaszcza że rozbawiona publiczność może w tę stronę ciągnąć. Na premierze jednak bohaterka wieczoru trzymała się twardo, we wszystkich wcieleniach zachowując umiar, ze smakiem prezentując się zarówno jako Chinka, jak i „wąsata" bohaterka „Strasznego dworu".

Scenariusz napisała sama – jest wprawdzie pretekstowy, ale sprawnie spaja opowieść, która staje się spacerem po świecie opery i okolicach dla widzów niekoniecznie obeznanych z tym rodzajem sztuki. Kto wie, może i kogoś do opery przekona. Zwłaszcza w tym wcieleniu, któremu towarzyszą inteligentnie obmyślona scenografia i sytuacje najwyraźniej modelowane na pastisz operowych stereotypów.

Tomasz Miłkowski

„Like a Diva", reżyseria Sylwester Biraga, Teatr Druga Strefa, premiera 20 września 2019

eprasa.pl a9160c3526

BYLIŚMY

KLAN KOMASÓW ATAKUJE

Przedstawiciel słynnej rodziny artystycznej Komasów, Szymon, wystąpił z recitalem pieśniarskim w mateczniku swojego klanu, w Teatrze Studio. Był to pierwszy recital tego uzdolnionego artysty w Warszawie, zgromadził więc wśród słuchaczy wiele osób znanych ze sceny i ekranu. Szymon Komasa ma już spory dorobek operowy, tym razem jednak śpiewał pieśni z towarzyszeniem fortepianu, przy którym zasiadł Michał Rot. Usłyszeliśmy Moniuszkę po polsku, Rachmaninowa po rosyjsku, Mahlera i Schuberta po niemiecku, a także Finziego oraz Barbera po angielsku. Śpiewak nie tylko doskonale przygotował wokalnie obszerny repertuar, ale też dołączył przemyślaną, dynamiczną interpretację aktorską, co można uznać za wydarzenie artystyczne. *(bt)*

NA EKRANACH

RZEKA

reż. Emir Baigazin, prod. Norwegia, Polska, Kazachstan 2018, już w kinach

W „Rzece" warto się zanurzyć. Można ją odczytać na wiele sposobów. Dla jednych historia Asłana, kazachskiego chłopca, który pod nieobecność surowego ojca musi zaopiekować się rodziną, będzie namysłem nad ciągłością patriarchatu, przekazywaniem toksycznej męskości z pokolenia na pokolenie. Pozbawiony nadzoru chłopiec musi sam zadecydować, kogo ukarać, a kogo nagrodzić, a proces odzierania z niewinności odbywa się w rytm cierpienia innych. Sceny nasycania się przez chłopaka krzywdą młodszych braci najlepiej pokazują, jak ofiara zmienia się w kata. Przecież do niedawna to Asłan drżał ze strachu przed ojcem. Ale pokazana tu historia wcale nie jest najważniejsza. „Rzece" można się po prostu przyglądać i kontemplować w oderwaniu od fabuły. Palone słońcem kazachskie stepy, bujna roślinność i rozległe krajobrazy ujmują naturalnością, w którą wkrada się podstępna cywilizacja. Kiedy do wioski przyjeżdża zwesternizowany kuzyn z telewizorem, komórką i przenośnym odtwarzaczem muzyki, wiemy, że wnosi porządek, którego nie da się już wyplenić. W tym kontekście „Rzeka" staje się pożegnaniem ze starym światem, świeczką na jego grobie. *Artur Zaborski*

ZAJRZYJ TU

OPOWIEŚCI SPOZA OBRAZÓW
Fotografie Ewy Martyniszyn

Wystawa podsumowuje projekt realizowany przez artystkę w latach 2005-2006 na terenie województw opolskiego, dolnośląskiego, śląskiego oraz na Ukrainie. Efektem były 44 fotografie czarno-białe i kolorowe oraz ok. 50 reprodukcji monideł – portretów o tematyce ślubnej, wojskowej czy komunijnej. „Wystawa ukazuje kontrast między wyidealizowanymi wizerunkami osób przedstawianych na monidłach a meandrami niedoskonałości życia człowieka. Zamiarem artystki było ocalenie jednostkowych ludzkich istnień od zapomnienia, ale także ratowanie monideł od zniszczenia oraz przywrócenie im ważności i uwagi".

MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU, DO 29 GRUDNIA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jonathan Carroll
MR. BREAKFAST
tłum. Jacek Wietecki
Rebis, Poznań 2019

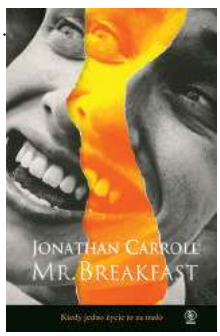

Graham Patterson jest marnym komikiem – jak wyszło z jego rozmowy z późniejszą przyjaciółką, tylko na wpół śmiesznym, co przecież nie wystarczy. Trafia mu się jednak okazja, by coś w tej niezadowalającej egzystencji zmienić, otwarta przez tajemniczych onych furtka do różnych wariantów jego losów. Stary, niezły Carroll. Jak to u niego, na fasadzie zwykłości pojawiają się rysy, pogłębiające się pęknięcia, przez które przenika dziwaczność zabarwiona horrorem, z domieszką melancholii. Ta ostatnia bierze się m.in. z przypomnienia, że zwykle nie myślimy o tym, jak wpływamy na życie innych ludzi – tych pierwszoplanowych albo tylko statystów w naszym prywatnym filmie. Rzadko mamy też okazję to sprawdzić. Dawne miłości, dawni znajomi… Zalatuje to megalomanią, ale co by się z nimi działo, gdyby nasze drogi się nie skrzyżowały? I co się dzieje, gdy już się rozejdą? Gdybyście mieli okazję przynajmniej zerknąć? I czy w alternatywnych wersjach życia wciąż wszyscy się spotykamy? *Aleksandra Pańko*

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE/ NATALIA KABANOW, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a9160c3526

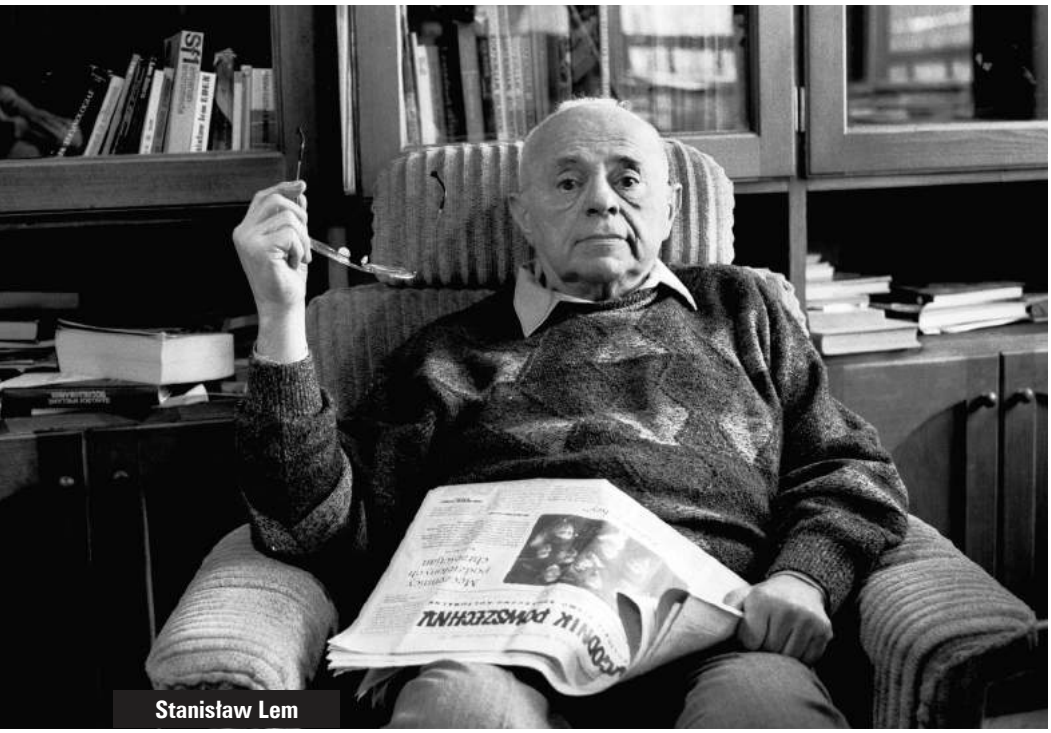
Stanisław Lem

Prof. Tadeusz Zieliński

PAMIĘTAMY

Listopad. Czas zadumy nad tymi, którzy zapisali się w 20-letniej historii PRZEGLĄDU, a wcześniej „Przeglądu Tygodniowego" – pracowali i współpracowali z nami, wspierali nas radą. Odeszli przed laty albo kilka miesięcy temu. Jak **prof. Karol Modzelewski** – historyk, ale przed wszystkim człowiek zasad, symbol demokratycznej lewicy, autorytet. Laureat pierwszej edycji „Przeglądowej" Busoli. Wywiady z nim tradycyjnie otwierały kolejne lata dziejów PRZEGLĄDU. Zmarł 28 kwietnia tego roku. 11 sierpnia odeszła współpracująca z nami **Anna Tatarkiewicz**, która sama siebie nazywała utopistką.

W ciągu dwóch dziesięcioleci pożegnaliśmy kilkadziesiąt osób. Naszych nieocenionych felietonistów: **Stanisława Lema, Piotra Kuncewicza, prof. Tadeusza Zielińskiego, Krzysztofa Teodora Toeplitza i Aleksandra Małachowskiego** – humanistę i polityka, który nigdy nie zapominał, że najważniejszy jest człowiek. Autora „Zapisków politycznych" i „Zapisków z Domu pod Ptakami" pożegnaliśmy 15 lat temu, tak jak **Jacka Kuronia** – laureata Busoli, wizjonera, autentycznego człowieka lewicy. W tym samym 2004 r. odszedł też wybitny malarz **Jerzy Duda-Gracz**, również uhonorowany Busolą.

Wspominając tych, których okrągłe rocznice śmierci przypadają w tym roku, trzeba pamiętać, że 20 lat temu zmarła **prof. Zofia Kuratowska**, wrażliwy lekarz, mądry polityk, dyplomata, autorka felietonów jeszcze w „Przeglądzie Tygodniowym", w którym pisała: „Ziarno nienawiści łatwo zasiać. Gdy wzejdzie i się rozpleni, zlikwidować trudno". Jakże aktualne dziś są te słowa.

Trudno uwierzyć, że to już 10 lat, jak odeszli **Zosia Sitnik**, dobry duch naszej redakcji, i **prof. Zbigniew Religa**, wybitny kardiochirurg, również laureat Busoli. Pięć lat temu zmarli **prof. Janusz Stanny**, który przeszło 15 lat charakterystyczną kreską komentował na naszych łamach nie tylko polityczne wydarzenia; **Małgorzata Tabaka** – również graficzka, której rysunki do dziś ilustrują publikowane w naszym tygodniku opinie; **Tadeusz Różewicz** – wielka postać polskiej literatury, laureat pierwszej edycji Busoli PRZEGLĄDU w 2000 r.; **Justyna Hofman-Wiśniewska**, która na naszych łamach pisała głównie o medycynie; **Ireneusz Łęczek** – dziennikarz, pisarz i regionalista z Zagłębia.

Odeszli, ale zostaną w naszej pamięci.

Tadeusz Różewicz

Piotr Kuncewicz

eprasa.pl a9160c3526

Krzysztof Teodor Toeplitz

Aleksander Małachowski

Prof. Janusz Stanny

FOT. DANUTA WĘGIEL/FOTONOVA/EAST NEWS, ANNA KACZMARZ/REPORTER, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), ADAM TUCHLIŃSKI/REPORTER, PAP, WITOLD ROZBICKI/T/REPORTER

eprasa.pl a9160c3526

Handel przyszłością planety

Katastrofa klimatyczna może już niebawem spowodować, że światowe mapy handlu staną się nieaktualne

Mateusz Mazzini

Co roku pod koniec stycznia szwajcarskie Davos zamienia się na kilka dni w stolicę globalnej debaty ekonomicznej. Rokrocznie przedstawia się tam formułowane na okrągło diagnozy rzeczywistości i recepty na rozwiązanie światowych problemów, które jednak zawsze pozostają teorią i nie opuszczają kartek wielostronicowych raportów, publikowanych zaraz po tym, gdy wszyscy z Davos zdążą się zwinąć. Elity dyskutują tam we własnym gronie, coraz bardziej oderwanym od realiów walki z największymi światowymi zagrożeniami.

Oskarżenia o elitaryzm nabrały jednak w tym roku nowego znaczenia. Styczniowe forum było już bowiem mocno naznaczone coraz silniej rozwijającym się na całym świecie ruchem skoncentrowanym na walce z katastrofą klimatyczną. Samo odejście podczas debat w Davos od popularnej zbitki językowej zmiany klimatyczne i zastąpienie jej słowem katastrofa pokazało, że wszystko, o czym będą dyskutować światowi liderzy, musi zostać przepuszczone przez klimatyczny filtr. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że na czas trwania forum przypadł jeden z pierwszych ogólnoeuropejskich dni młodzieżowego strajku klimatycznego.

Nie wszyscy jednak chcieli się poddać ekologicznemu trendowi. Do tej grupy należał brazylijski dyplomata Roberto Azevêdo, od 2013 r. dyrektor generalny Międzynarodowej Organizacji Handlu (WTO). Zapytany w trakcie jednego z paneli dyskusyjnych o wpływ światowego handlu na dewastację środowiska naturalnego, z pewnością siebie odpowiedział, że „nie widział jeszcze ani jednego studium naukowego, które potwierdzałoby założenie, że globalizacja handlu przyśpiesza katastrofę klimatyczną". Wręcz przeciwnie, jego zdaniem fakt, że coraz więcej dóbr produkowanych jest w innym kraju niż docelowy rynek zbytu, w rzeczywistości korzystnie wpływa na stan planety, bo „więcej towarów musi spełniać wyśrubowane standardy jakości państwa odbiorcy". I choć momentalnie spadła na niego fala krytyki ze strony międzynarodowej opinii publicznej, a Greta Thunberg nazwała go nawet „kłamcą klimatycznym", to Azevêdo swoich słów nigdy nie wycofał.

Bezpośredni związek między globalnym handlem i katastrofą klimatyczną jest jednak niezaprzeczalny, czy to się podoba światowym liderom, czy nie. Również dlatego, że oba te zjawiska wpływają na siebie. Nie tylko bowiem ogromne kontenerowce zaśmiecają oceany, naruszają szlaki migracyjne zwierząt i emitują dwutlenek węgla, ale też klimat, zmieniając się, otwiera przed handlem nowe perspektywy, zwłaszcza geograficzne. Klimatyczna rewolucja, po części wywołana przez globalizację wymiany produktów, sama może wywołać kolejną rewolucję – w tej wymianie właśnie.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl a9160c3526

Szlak handlowy wytyczony wzdłuż północnych wybrzeży Rosji stanowi alternatywę dla Kanału Sueskiego (nz.) na trasach do Chin, Japonii i Azji Południowo-Wschodniej.

Najlepiej widać to na przykładzie handlowych szlaków morskich i głównych przepraw dla kontenerowców, jak chociażby Kanał Panamski. Przez długą na 77 km sztuczną drogę wodną co roku przepływa aż 3% wszystkich towarów transportowanych statkami, co oznacza mniej więcej 159 mln ton załadunku. Kanał stanowi główny szlak łączący Ocean Spokojny z Atlantykiem i odgrywa fundamentalną rolę w eksporcie i imporcie przede wszystkim krajów Ameryki Północnej. Nie jest przypadkiem, że, jak podaje Panama Canal Authority, rządowa agenda zajmująca się zarządzaniem przeprawą, aż 62,8% statków wpływających do kanału pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. Nie powinno to nikogo dziwić, biorąc pod uwagę, że alternatywna droga z jednego oceanu na drugi, wiodąca przez patagoński przylądek Horn, wydłuża trasę aż o 13 tys. km.

Już w najbliższych kilku czy kilkunastu latach te proporcje mogą się jednak zmienić, bo katastrofa klimatyczna przyśpiesza dwa kluczowe dla morskich przepraw zjawiska: częstotliwość opadów w strefach tropikalnych i topnienie lodów na dalekiej północy. Już w tym roku opady deszczu w Ameryce Środkowej są najrzadsze od dekad. W konsekwencji tylko od lutego Panama Canal Authority aż siedmiokrotnie zmniejszała limity maksymalnego zanurzenia przepływających tamtędy statków, a to z powodu rekordowo niskiego poziom wody w jeziorze Gatún, sztucznym akwenie utworzonym w czasie budowy kanału, dzisiaj służącym za poczekalnię dla kontenerowców płynących z jednego oceanu na drugi. Gatún z kolei jest płytsze niż zwykle, bo coraz mniejsze stają się zasilające jezioro dopływy. Dodatkowo klimat w tym rejonie staje się wręcz niemożliwy do oszacowania – susza najdobitniej zamanifestowała się właśnie wtedy, kiedy tradycyjnie padało najwięcej, czyli w okresie od maja do lipca.

Niższe limity zanurzenia oznaczają mniej statków, które mogą przepłynąć przez kanał, co z kolei daje niższe wpływy do budżetu i mniejsze zyski lokalnych społeczności. Ale to niejedyne zagrożenie dla stabilności finansowej tej przeprawy. Coraz wyższe temperatury powietrza i wody w oceanach sprawiają, że topi się lód na dwóch szlakach północnych, tzw. Przejściu Północno-Zachodnim i Północnej Drodze Morskiej. Ten pierwszy może zrewolucjonizować mapy handlowe półkuli zachodniej, podczas gdy drugi, wytyczony wzdłuż północnych wybrzeży Rosji, stanowi szybszą i krótszą alternatywę Kanału Sueskiego na trasach wiodących do Chin, Japonii i Azji Południowo-Wschodniej.

W 2013 r. oba szlaki weszły już na stałe do rejestru międzynarodowych tras handlowych. Na razie jednak pozostają przeprawami niepewnymi, bo żegluga na nich jest wciąż utrzymywana sztucznie, za pomocą kanadyjskich i rosyjskich lodołamaczy. W dodatku bez państwowej asysty przepływać przez nie mogą tylko statki wyposażone w specjalne urządzenia pozwalające na kruszenie cieńszych warstw lodu. Międzynarodowy Panel na rzecz Zmian Klimatycznych (IPCC), największa na świecie rada naukowa zajmująca się tym obszarem badań, szacuje jednak, że już za maksymalnie 15 lat całoroczna żegluga będzie możliwa praktycznie wszędzie na Morzu Arktycznym.

Za 15 lat całoroczna żegluga będzie możliwa praktycznie na całym Morzu Arktycznym.

Bardzo zmieni to geografię światowego handlu właśnie z powodu, z jakiego już teraz cierpi Kanał Panamski – wody dalekiej północy są po prostu głębsze. Już w 2013 r. przez Przejście Północno-Zachodnie przepłynął duński masowiec „Nordic Orion", który wybrał drogę północną, bo jego zanurzenie przekraczało limity na Kanale Panamskim. Z czasem niestety trend ten będzie się nasilał, a regularny ruch kontenerowców wzdłuż północnych wybrzeży Kanady czy Rosji stanie się codziennością.

Światowy handel będzie jednak musiał się zaadaptować nie tylko do nowych elementów na mapach, ale także do zniknięcia części starych. Coraz wyższy poziom wód w oceanach już za kilka lat zacznie zabierać ogromne połaci lądu, i to nie tylko na pacyficznych archipelagach, ale także w Europie, Azji czy USA. Modelowym przykładem jest tu Singapur. Wyspa, na której znajduje się to miasto-państwo, jest aż w 30% położona zaledwie 5 m ponad obecnym poziomem Pacyfiku. Szacunki IPCC wskazują, że w ciągu najbliższych 80 lat poziom ten podniesie się o co najmniej 1,5 m, choć prognozy te idą w górę z każdym raportem panelu. Krótko mówiąc, przyszłość Singapuru, największego na świecie portu przeładunkowego dla kontenerowców, maluje się pod wodą. Podobny los w 2100 r. spotka m.in. japońską Osakę, egipską Aleksandrię, a w dużej części też Miami, Rio de Janeiro i Szanghaj. Statki może będą więc szybciej się przesuwać po planecie, ale mogą nie mieć dokąd zawijać, bo porty do nich przystosowane trzeba będzie zbudować od nowa.

Spore zmiany czekają nie tylko użytkowników transportu morskiego, ale też korzystających z usług towarowych linii lotniczych. Gorętszy klimat bezpośrednio spowoduje ograniczenia lotów transoceanicznych. Zdecydowana większość obecnie używanych maszyn posiada certyfikaty pozwalające na przelatywanie nad morzami i oceanami do temperatury 50 st. C. Jeśli zrobi się cieplej, maszynom może być trudniej utrzymać się w powietrzu przy maksymalnym załadunku. Nie do końca też wiadomo, jak zachowają się instrumenty pokładowe – głównie dlatego, że do tej pory w wyższych temperaturach po prostu nigdy nie trzeba było ich testować. Zresztą już teraz fale gorąca paraliżują ruch na lotniskach. W 2017 r. w Phoenix w stanie Arizona temperatura powietrza była tak wysoka, że tamtejsza kontrola lotów wstrzymała wszystkie starty, pojedyncze odwołania nastąpiły też w tym roku na lotniskach Francji, Hiszpanii, Turcji i Brazylii.

Katastrofa klimatyczna bez wątpienia będzie zmieniać nasze życie na wszystkich jego płaszczyznach. Handel międzynarodowy nie stanowi tu wyjątku – o towary z drugiego końca świata będzie trudniej, przez co najpewniej podskoczą ich ceny. To z kolei wywoła lawinę innych procesów ekonomiczno-społecznych. A przez to mapy szlaków handlowych z pewnością nie będą jedynymi, które trzeba będzie narysować od nowa. ■

eprasa.pl a9160c3526

Spacerniak jak wybieg w Paryżu

Kryminał sam w sobie jest miejscem specyficznym. Ale oddział dla kobiet to wyspa inności na oceanie odklejenia

Paweł Kapusta

Człowiek ma coś ze zwierzęcia. Im bardziej nie wolno, tym mocniej kusi. Andrzej na początku drogi dopuszczał do siebie różne scenariusze, ale akurat tego pojąć nie potrafił. Był młodym funkcjonariuszem, dopiero po szkole. A w szkole – wiadomo – tłoczenie moralnego spoiwa w podatne na skrzywienia kręgosłupy. Trzeba było jednak zostawić teorię i wciągnąć w nozdrza smród zakładu. Szybko zobaczył, że wiele tu lin, po których kumple spacerują z lubością. Krawędzi do przyjemnego balansowania. Ci z małą wyobraźnią zapominali, że za każdą krawędzią czeka przepaść. Spadali więc i roztrzaskiwali się o kamienie przepisów, kodeksów i procedur. Im coś jednak mocniej zakazane, tym bardziej pożądane. Szczególnie w zakładach z oddziałami dla kobiet.

– Gdy przyjmowałem się do służby, mój pierwszy dowódca zmiany miał na zakładzie panienkę. Taką czarnulkę, niegroźną złodziejkę. Na radiowęźle robiła. Bujał się z nią po kryminale. Co dniówka szedł na apel wiele wcześniej, niż było to potrzebne. Osobiście wyciągał ją z celi i prowadził do roboty. Gdy pojawiałem się na oddziale, on akurat, po 40 minutach, wychodził od niej z kanciapy. Na pewno nie ustalali w tym czasie planu audycji. Gdy szedł na emeryturę, ona akurat kończyła wyrok. Skumali się już za murami. Wyjechali gdzieś w Polskę – mówi Andrzej.

– Takie kontakty między skazanymi i klawiszami są normą?

– Zdarzają się, ale na pewno nie są normą. Szczególnie dziś, gdy nie ma zawodowej solidarności i złamanie procedur wypływa na powierzchnię z większą łatwością niż kiedyś. Ale tak, raz częściej, raz rzadziej, to się za murami dzieje.

Grzesiek też pracował w zakładzie z oddziałami kobiecymi. Niedawno wybrał się na spotkanie klawiszy emerytów. Jedno z pierwszych, na którym się pojawił. Lufa raz, lufa dwa. Wspomnienie raz, wspomnienie dwa. Im dłużej trwała impreza, tym coraz mocniej palił go wzrok Wandy. Na emeryturę odeszła rok przed nim. Chodzące doświadczenie, każdy złodziej na oddziale był przez nią rozpracowany jak opozycjonista przez bezpiekę. Dobrym była wychowawcą. Złodziejki ją lubiły, więc mówiły jej więcej niż komukolwiek innemu. Ufały jej. W końcu podeszła, poprosiła Grześka o chwilę rozmowy na osobności.

Grzegorz: – Chciała mi opowiedzieć coś, co strasznie ją gryzło, nie dawało spokoju. Nie „wylała" tego wcześniej, bo gdyby pisnęła choć słówko, wrzuciłaby dwójkę kolegów z pracy pod rozpędzony pociąg. Na naszym zakładzie zawsze były cztery zmiany. Czterech różnych dowódców. Cztery różne ekipy, wszyscy z innymi charakterami. Był taki moment, że jedna zmiana bardzo mocno odstawała. Żyła swoim życiem, wszelkie procedury leżały tam i kwiczały. Burdel na kołach. I to dosłownie. Wanda dowiedziała się, że na nockach na oddziale trzecim dochodziło do szokujących wręcz akcji. Oddziałową była tam Agnieszka, młoda dziewczyna. W rezerwie na wartowni siedział Kamil. Też szczyl. W środku nocy brał klucze od cel – wszystkie klucze są wtedy zawsze na wartowni – i szedł na trójkę. Wchodził na oddział, otwierał celę z dwiema skazanymi. Agnieszka wyciągała jedną na świetlicę, a do drugiej wchodził Kamil. I tak było nocka w nockę. On bzykał w celi, ona na świetlicy. Sytuacja sto procent potwierdzona.

– Zawsze poili nas ideologią, że kontakt funkcjonariusza ze skazaną, a nie daj Boże funkcjonariuszki ze skazanym, to gorzej niż korupcja. Zdarzały się jednak sytuacje, w których wiedzieliśmy, że kolega szedł kontrolować miejsce pracy, po czym znikał z osadzoną na półtorej godziny. Wszyscy wiedzieliśmy, że ją tam puka. Dowódca miał jednak na tyle jaj, żeby wziąć go na bok i wyprostować go bez pisania papierów i kręcenia afery. Mieliśmy jednak takiego kierownika ochrony, który podobnych sytuacji nie tolerował. Pamiętam chłopaka, który chodził kontrolować pracę skazanych. I dmuchał je tam po kolei. Gdy kierownik o tym się dowiedział, w pięć sekund przedstawił dowody i kazał napisać

FOT. ADOBE STOCK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a9160c3526

raport o zwolnienie ze służby. Wykopał gościa z zakładu na zbity ryj.

– Są pewne bariery. Starałem się nie patrzeć na skazaną jak na obiekt seksualny. Jasne, niektóre z nich mi się podobały. Bo miały fajny tyłek, supercycki. One siedzą, nie mają co ze sobą zrobić, więc z nudów co robią? Dbają o siebie. W celach to są prawdziwe salony kosmetyczne. Nie wszystkie są przecież biedne. Niektóre uzbierały na wolności hajsu jak lodu. Mają więc w tych celach kosmetyki, o jakich moja żona może co najwyżej pomarzyć. Szminki za 500 zł, kremy za tysiąc. I chodzą później po spacerniaku jak po wybiegu w Paryżu. Dla mnie zawsze była to jednak najpierw skazana, a dopiero później kobieta. I takie myślenie wielu z nas uchroniło od pokus. Niektórzy jednak ulegli.

Albo niektóre.

– W pewnym zakładzie na magazynie pracował skazany. Wielki cham, kafar. Cygan. Falowane włosy, lekki zarost, dobrze zbudowany. A oddziałowa taka, że kto by do niej nie podszedł i jej nie klepnął w tyłek, to ostatnią rzeczą, o której by pomyślała, byłoby złożenie doniesienia o molestowaniu. No i zaszła w ciążę. Urodziła. Dziecko wygląda dokładnie jak Cygan z tego magazynu. Złodzieja dziecko. Dziś wychowuje dzieciaka, jest na macierzyńskim, ale za moment wróci do roboty – mówi Grzesiek.

– Ciężkie ją czeka życie w zakładzie?

– Wiesz co? Nie wiem. Pewnie ze stu osób dziesięć powie jej: „Odejdź, kurwa, ze złodziejem się puściłaś". A reszta? W dupie. Nie będzie z tym miała większego problemu, bo teraz to jest jej prywatna sprawa. Jeśli nie była złapana na gorącym uczynku, nie można jej teraz nakazać wykonania badań DNA. Gdyby wtedy złapali ją w tym magazynie, to oczywiście sprawą z urzędu zająłby się prokurator. To nielegalny kontakt. Nie odpowiadasz za to tylko dyscyplinarnie. Że cię z pracy wyrzucą i tyle. Odpowiadasz przede wszystkim karnie. Może nie zamknęliby cię za to do więzienia, ale na pewno dostałbyś wyrok w zawieszeniu.

Zjawisko nie jest powszechne i nagminne, ale na pewno obecne. To sytuacja jak wszędzie, gdzie przecinają się drogi kobiety i mężczyzny. Zakład pracy, materiał ludzki, biologia, chemia. Jak schodzą się ze sobą funkcjonariusze z funkcjonariuszkami, tak dochodzi czasem do kontaktów z więźniami. Dla mnie to już wyższy poziom niegodziwości. Chociaż z drugiej strony zawsze najłatwiej oceniać z boku. Wrzucić kogoś na stos, nie mając pojęcia o kulisach. A życie pisze przecież najlepsze scenariusze.

•

– Wyparłam, wyrzuciłam. Uleciały nawet imiona klawiszy, z którymi pracowałam. Może to efekt ostatniej terapii? Albo tych wcześniejszych? A może po prostu traktuję ten okres jak śmietnik? Do śmietnika się przecież nie zagląda. Służba Więzienna upokorzyła mnie tyle razy, że dziś nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

Nazywam się Patrycja. Mam 35 lat. Powiem, co pamiętam.

Pamiętam jeden z pierwszych dni w służbie. Czyściłyśmy z koleżanką broń. Wszedł dowódca, siadł na krześle. Skończyłyśmy, chciałyśmy wyjść. „Teraz siądziecie mi na kolanach", powiedział. Zamarłam, nie wiedziałam, co mam powiedzieć. „To polecenie służbowe", nie zawahał się, gdy zobaczył nasze spłoszone oblicza. Nie siadłam.

Pamiętam, jak niedługo później napisałam rezygnację ze służby. Wiele rzeczy na to się złożyło. Między innymi fakt, że od miesiąca mieszkała już ze mną Ulka. Poznałam ją w kryminale. Ja z jednej strony kraty, ona z drugiej. Coś się skończyło, coś się zaczęło.

•

– Co cię, kobieto, zawiało do roboty w zakładzie? Dlaczego ty w ogóle tam poszłaś? – pytam Patrycję.

Spotykam się z nią w centrum dużego miasta. W kawiarni kilkanaście osób, ale wzrok przyciąga tylko jedna postać. Po prostu piękna kobieta. Długie, czarne włosy, idealna sylwetka. To ważna informacja w kontekście tego, o czym za chwilę opowie. Kryminał sam w sobie jest miejscem specyficznym. Ale oddział dla kobiet to wyspa inności na oceanie odklejenia.

– Bo była – pada odpowiedź. – Kasa pewna, na państwowym. Poza tym, nie miałam o tym chorym miejscu pojęcia. Zdałam egzamin, po czym bez ceregieli wrzucili mnie na oddział. Świeżak i pół setki recydywistek na „półotworze". Do godz. 18 otwarte, poruszały się swobodnie

One siedzą, nie mają co ze sobą zrobić, więc z nudów co robią? Dbają o siebie. W celach są prawdziwe salony kosmetyczne.

Pamiętam pierwszy dzień po awansie na zastępcę dowódcy. Bardzo się cieszyłam, to był mój duży sukces. Ciężko na to pracowałam. Przyjechała kontrola, a jak kontrola, to pojenie gości zimną wódką. Inspektor z OISW, schlany, ale kontaktujący, popatrzył na mnie, później odwrócił wzrok do dyrektora i z totalną powagą, na głos, przy wszystkich, spytał: „Komu dupy dała, żeby dostać tę robotę?".

Pamiętam ostatni dzień jako zastępca. Byłam na dłuższym zwolnieniu, miałam problemy osobiste. Przyjechała kontrola zatrudnienia. Zobaczyła mnie, odjechała. Wróciłam do pracy. Na biurku czekał papier: rezygnacja ze stanowiska. Nie dymisja, nie decyzja. Rezygnacja, z miejscem na mój podpis. Bo jeśli mam problemy w domu, to jak mogę sobie poradzić na tym stanowisku? Jaki miałam wybór? Podpisałam, wróciłam na oddział. Strasznie miałam przejebane. Gdy spadasz ze stołka, otoczenie zawsze dobije, zamiast rękę podać.

po oddziale. Na starcie przeczołgały mnie przeokrutnie. Wyczuły, że krępują mnie zachowania homoseksualne. Zawsze było tego dużo, ale wtedy jeszcze popuściły lejce. Samo przejście przez oddział, gdy wieczorem siedziały zamknięte w celach, było dla mnie wyzwaniem. Stukanie obcasów o posadzkę wywoływało lawinę cmokania zza wszystkich drzwi. Słyszałam pogwizdywanie, tuż za nim – falę okrzyków. „Lalunia! Kochanie! Piękna!". Normą było ostentacyjne całowanie, by kreować krępujące sytuacje. Działy się też rzeczy o wiele mocniejsze. Do dziś mam przed oczami dwie dziewczyny odgrywające scenę w toalecie. Wchodzę, a one w miłosnym uniesieniu: jedna rozchyla nogi, druga z głową w jej kroku. Jak weszłam, tak wyszłam. Celowo to zrobiły.

Druga sytuacja: wydawałam listy, osadzona chwyciła mnie za rękę i przytrzymała. „Magda, co ty robisz?", spytałam. Wyrwałam się i uciekłam. Spurpurowiałam w sekundę, zrobiło

eprasa.pl a9160c3526

Bolesław Faron
Poeci Sądecczyzny Antologia
Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2019

Prof. Bolesław Faron, historyk i krytyk literatury, publicysta, nauczyciel akademicki i wydawca, rektor WSP w Krakowie (1975-1981), minister oświaty i wychowania (1981-1985), nigdy nie zerwał więzi z rodzinną Sądecczyzną. W książce przedstawia 31 sylwetek poetów urodzonych tu albo emocjonalnie związanych z tą ziemią, oraz wybrane utwory i bibliografię dotyczącą ich twórczości. Antologia wpisuje się w mocny na Sądecczyźnie nurt działań regionalnych. Jednak to nie tylko poezja regionalna, ale po prostu dobre wiersze.

Arkadiusz Szaraniec
Warszawa dzika
Iskry, Warszawa 2019

Krótkie opowieści, które składają się na tę książkę, przedstawiają inną Warszawę, której w pośpiechu nie zauważamy. A przecież w promieniu kilku kilometrów od Pałacu Kultury i Nauki żyją dziesiątki gatunków ptaków, nawet orły, krogulce, czaple i kormorany, nie mówiąc o tych małych. W niemal każdym parku można spotkać jeże, a nad Wisłą czy w lesie, których w granicach miasta jest kilkanaście, spotkamy bobry, kuny, lisy, dziki, wilki, sarny. Wystarczy rozejrzeć się wokoło, zatrzymać się i podziwiać inną Warszawę. Zieloną i dziko żyjącą.

Stefan Żeromski
Przedwiośnie
Muzeum Narodowe w Kielcach, Kielce 2019

Bibliofilska edycja powieści wciąż aktualnej, oddającej melancholię, rozgoryczenie i pesymizm duszy polskiej, wyrażającej ból po straconych złudzeniach o Polsce szklanych domów, a także rozczarowanie niespełnioną miłością. Jubileuszowe – z okazji 100-lecia niepodległości – wydanie opatrzone jest przedmową Zdzisława Jerzego Adamczyka rzucającą nowe światło na genezę powieści. Dowiadujemy się z niej, jakie osobiste doświadczenia społeczne i polityczne z lat 1918-1924 doprowadziły Żeromskiego do „Przedwiośnia" oraz o niezrealizowanym z powodu śmierci planie napisania dalszego ciągu powieści o Cezarym Baryce, żyjącym w niepodległej Polsce.

mi się gorąco w dwie. Wtedy pierwszy raz się zaniepokoiłam, że wzbudza to we mnie jakiekolwiek emocje.

Mijały tygodnie, oswajałam się z tym miejscem. One oswajały się ze mną.

– Lalunia!

– Lalunia to pod latarnią – ciętam temat. – Byście się chociaż schowały. Przecież wiecie, że o tej porze zawsze tędy przechodzę – rzucałam do dziewczyn macających się na korytarzu.

Notorycznie próbowały mnie podrywać. Ich pomysłowość nie znała granic. Jedna miała pozwolenie na gitarę pod celą. Przechodziłam, a ona śpiewała miłosne piosenki, które dla mnie pisała. Zakochiwały się. Nie jeden raz wpadałam przez to w ogromne kłopoty.

Wezwano mnie na areszt. Tam – strasznie niedobra, niby grypsująca osadzona. Wszyscy postawili już na niej krzyżyk. Miałam być ostatnią próbą jej wyciągnięcia na prostą. Zatrudniliśmy ją jako bibliotekarkę. Gdy nie było mnie w zakładzie, wszyscy mieli ją w dupie. Tylko ja ją wyciągałam do roboty. Wyjęcie z celi, kontrola osobista, zamknięcie w bibliotece, kontrola książek, kontrola osobista, rozwiezienie książek, kontrola osobista, cela. I tak długi czas. Walczyłam o nią. Pewnego dnia, po ostatniej kontroli, mówi:

– Oddziałowa, muszę coś pani powiedzieć. Ale nie umiem. Nikt nie może tego słyszeć. Napisałam list – i daje mi kartkę. List okazał się gorącym wyznaniem miłosnym. Jak na nią działam, co do mnie czuje. Poszłam do wychowawcy.

– Pomóż mi. Co ja mam w tej sytuacji zrobić? Jak mam z nią porozmawiać, żeby za chwilę się nie pocięła? – spytałam. Doradził. Poszłam. – Szanuję twoją odwagę. Dziękuję, że wyznałaś mi uczucia, ale ich nie odwzajemniam. Poza tym to takie miejsce, w którym powinnaś hamować się z takimi wyznaniami.

Nagle totalny odwrót. Zaczęła mi uprzykrzać życie. Wróciłam po urlopie do roboty. Podeszła do mnie jedna z osadzonych.

– Karolina chce oddziałową oskarżyć o molestowanie w bibliotece. I ma już skazane, które to potwierdzą – powiedziała. Poszłam do inspektora ochrony, do dyrektora. Skończyło się przeniesieniem mnie na inny oddział.

Najtrudniejsze były kontrole osobiste. Homoseksualne skazane miały ogromny problem z rozbieraniem się przed oddziałowymi, które wpadły im w oko. Widziałam o kilku takich dziewczynach, unikałam sytuacji, w których musiałabym im robić kontrolę. Nie zawsze się udawało.

– Błagam, nie każ mi tego robić! Nie upokarzaj mnie! – stała przede mną jedna z nich i płakała.

– Monika, to jest normalne, to moje obowiązki – odpowiedziałam. Padła na kolana, wyciągnęła ręce błagalnie. Zrobiłam więc jej powierzchowną kontrolę i puściłam na celę. Unikałam jej, ale ona cały czas szukała ze mną kontraktu, przez inne skazane podrzucała listy. Napisałam notatkę, przyśpieszyli jej wyjazd na terapię alkoholową. Minął czas, wróciła. Prosto z transportu trafiła do mnie na osobistą.

Kolega szedł kontrolować miejsce pracy, po czym znikał z osadzoną na półtorej godziny.

– Tęskniłam za tobą – mówi.

A ja swoje.

– Zdejmij bluzkę. Teraz zdejmij stanik.

– Żyłam tylko myślą o tobie – ciągnie i wykonuje polecenia.

A ja swoje.

– Zdejmij spodnie.

– Pati, Pati.

– Pani oddziałowa. Jestem dla ciebie oddziałową!

– Patrycja! Popatrz na mnie! Proszę!

Wyszła na wolność, odnalazła mnie na Facebooku. Zaczęła wydzwaniać, zablokowałam. Wiele miałam podobnych akcji.

– Ulka też się do ciebie odezwała po wyjściu z zakładu. Jej nie zablokowałaś.

– Ale to była zupełnie inna sytuacja…

Fragmenty książki Pawła Kapusty *Gad. Spowiedź klawisza*, Wielka Litera, Warszawa 2019

eprasa.pl a9160c3526

Sztokholm i Olga Tokarczuk

10 grudnia Olga Tokarczuk odbierać będzie Nagrodę Nobla. Z rąk króla Szwecji. Jest niemal pewne, że na tej uroczystości nie będzie ambasadora Rzeczypospolitej. Z prostego powodu – Polska nie ma ambasadora w Szwecji. I to od niemal półtora roku.

To pokazuje najlepiej, jak działa dyplomacja PiS. Że tu wszystko jest na sznurki. Ostatni ambasador RP w Sztokholmie, Wiesław Tarka, został odwołany w czerwcu 2018 r. Co warte uwagi, Tarka miał opinię… pisowca. Pracował w Urzędzie Miasta st. Warszawy, gdy prezydentem stolicy był Lech Kaczyński, a w czasach pierwszego PiS (2005-2007) był podsekretarzem stanu w MSWiA. Poza tym wiele lat przepracował w MSZ, głównie na placówce w Sztokholmie. I od roku 2014 był tam ambasadorem. Jak więc widać, minister Sikorski specjalnie ludziom w życiorysach nie grzebał…

Dlaczego zatem minister Waszczykowski odwołał tak dobrze z punktu widzenia PiS wyglądającego ambasadora? Tego nie wiemy. Za to wiemy, że nie bardzo wiedział, kogo na opróżnione miejsce do Sztokholmu wysłać. Ostatecznie zdecydował się na Karolinę Ostrzyniewską, dyrektor Departamentu Komitetu ds. Europejskich. W październiku 2018 r. Ostrzyniewska stanęła przed sejmową Komisją Spraw Zagranicznych, została przesłuchana i… Małgorzata Gosiewska zgłosiła wniosek, by głosowanie nad jej kandydaturą zostało przeniesione na termin późniejszy, co też się stało.

Po paru tygodniach kandydatura Ostrzyniewskiej została wycofana. O co chodzi? Uzgadnianie nazwisk ambasadorów odbywa się w trójkącie szef MSZ-premier-prezydent. A oni wszyscy są z PiS.

Okazało się, że Ostrzyniewską pokonał towarzysz korytarz, czyli korytarzowe plotki. Że jako sekretarz Komitetu ds. Europejskich blisko współpracowała z premierem Tuskiem, że jest jego okiem i uchem, a poza tym dobrą znajomą Rafała Trzaskowskiego (z którym również pracowała w MSZ).

Takie grzechy zaważyły i Ostrzyniewska została zatrzymana na ostatniej prostej. A PiS nadal zastanawia się, kogo wysłać do Sztokholmu na stanowisko ambasadora…

Może niech nikogo nie wysyła, tylko zrobi ambasadorem dyrektora tamtejszego Instytutu Polskiego Pawła Ruszkiewicza? Dyrektorem jest on od połowy bieżącego roku, według PiS ma kwalifikacje do kierowania tą główną placówką kulturalną, bo jest specjalistą od żużla, promotorem tego sportu i komentatorem sportowym, a także biznesmenem, którego firma handlowała żużlowymi gadżetami.

Poza tym, raczej już prywatnie, lubi historię. I jak podkreślał wielokrotnie, jego priorytetem jest promowanie historii, zwłaszcza II wojny światowej, oraz walka z „nieprawdziwymi i niesprawiedliwymi" opiniami o Polsce zamieszczanymi w prasie szwedzkiej.

Na Twitterze przedstawiał się tak: „Rodzina, Bóg, Honor i Ojczyzna, speedway w nc+, ice racing, kresy, Dead Can Dance, »Apocalypse Now«, wykładowca WNPiD UAM Poznań". A po informacji, że Olga Tokarczuk otrzymała Nobla, wspaniałomyślnie zadeklarował, że Instytut Polski będzie ją wspierał.

W sumie do PiS pasuje jak ulał, więc zasługuje na awans, prawda?

Attaché

Tchukudus, samodzielnie wykonane drewniane skutery, używane przez rolników i handlowców. Mogą przenosić do pół tony plonów. Goma, Demokratyczna Republika Konga.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl a9160c3526

JOLKA

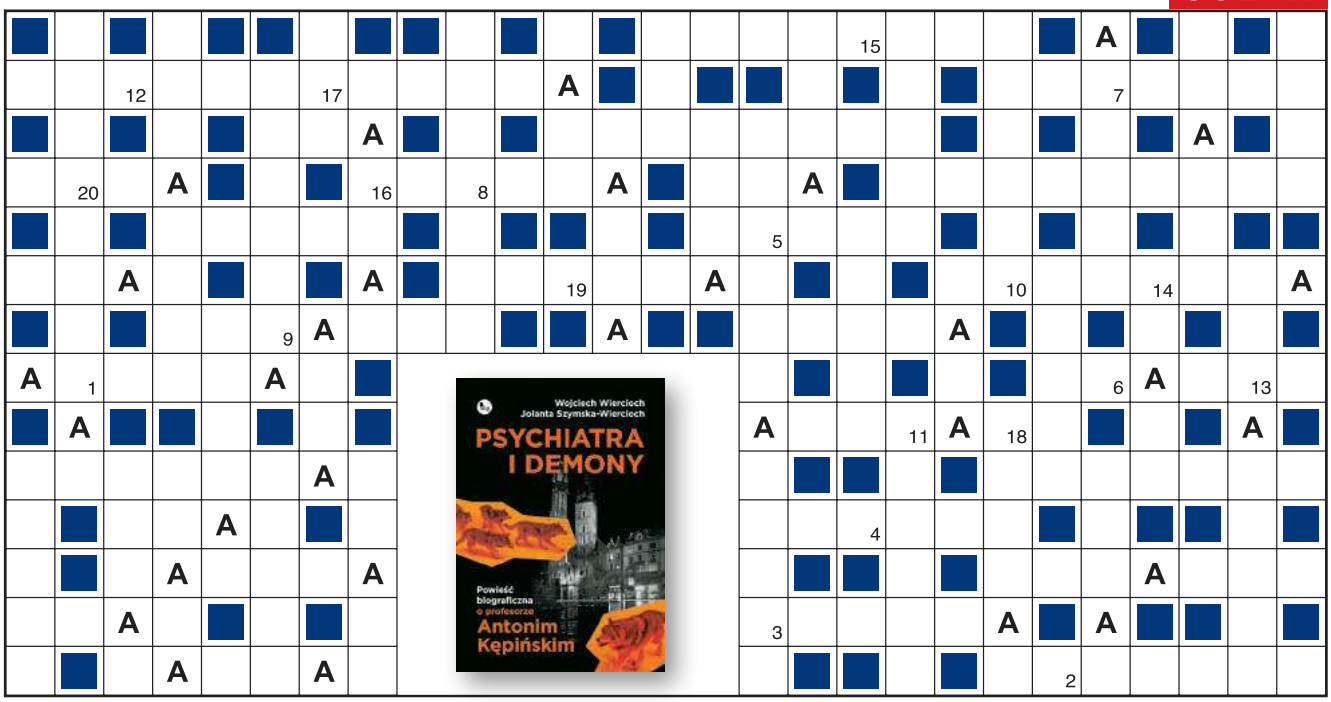

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- masywniejsze niż trampki
- sztuka samoobrony, jej twórcą Morihei Ueshiba
- opatrzone są sygnaturą
- powstaje podczas gnicia substancji białkowych
- brak jej skromności i skrupułów
- uliczne, przełajowe, płotkarskie
- palny produkt fermentacji metanowej odpadów komunalnych
- wierzchnia część stołu, biurka
- samoistny, wieczny i doskonały to absolut
- można się o nią targować
- brat Kosmy
- serbski lub tunezyjski wśród walut
- od jego nazwiska sieć parków rozrywki
- nieporadne czytanie
- 22 stycznia od wnusia dostaje laurkę
- łże… – mówił o nich Kaczyński
- siódma w alfabecie greckim
- Oskar Kolberg lub Janusz Kamocki
- imię Kopacz
- możliwość, że coś się wydarzy
- waluta wielu kredytów
- kupowana w kiosku
- ostre upominanie, zadawanie klęski w walce
- atomowy powstaje po wybuchu jądrowym
- spopularyzowany przez Leopolda Tyrmanda
- futerał na strzały do łuku
- stawiane pierwsze
- powieść Dehnela lub jak ta…
- i broń kawalerii, i element opryskiwacza
- zajmuje się korektą wad wymowy
- rozgranicza pola
- admirał Horatio
- leczone przez nefrologa
- za mało pieniędzy lub witaminy C
- syn Cham mu rzekł: Róbmy swoje!
- płynie przez Żuławy do Zalewu Wiślanego
- dziady, kupalnocka
- zbiera się w odstojniku
- jeden z największych portów morskich Japonii
- zespół bloków mieszkalnych
- hawajska bogini wulkanów
- o „Misiu” do czytania
- w parze ze zgrzytaniem zębów
- ptasi, zwany też świńską trawą
- maszyna do selektywnej zbiórki opakowań
- sypać jak z niego – przytaczać dużo
- styl kultury dworu Ludwika XV
- np. exit poll
- gruczoły mleczne ssaków zakończone brodawkami
- dymna lub zapłonowa
- tam rozpiłowywane kłody
- falista z trzech warstw
- maszyna do przecierania kłód
- z niej Skarb Priama
- podpora chmielu
- pajacyk zakładany maluszkowi
- można mieć wyrobione o czymś
- stałe – składane w banku
- myszka lub pieprzyk
- filmik reklamujący film, przedstawienie
- nie powinno się jej marnować

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-932”. Do rozlosowania książki „Psychiatra i demony” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 listopada 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-929” z 13 października: *Trudno śnić, nie śpiąc.* Nagrody otrzymują: Jerzy T. Kruk z Wrocławia, Jolanta Soja z Bodzanowa, Adam Wnęk z Olsztyna.

eprasa.pl a9160c3526

PENETRACJE

Twój STYL

JANINA OCHOJSKA, TWÓRCZYNI POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ

W tej chorobie wszyscy są tacy sami, nie ma VIP-ów. Przychodziłam rano na badanie krwi, czekałam w kolejce, jadłam śniadanie, około godz. 13 dowiadywałam się, jakie są wyniki, ile chemii dostanę. I potem na kozetce przyjmowałam chemię. Kroplówka kapie długo, bo musi być podawana z określoną prędkością, pięć, siedem godzin. Co mnie zaskoczyło? Że wciąż jestem odporna, organizm poradził sobie z leukocytozą, anemią. Miałam w życiu ponad 40 operacji, a odkrywam w sobie pokłady energii i optymizmu.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

JAN KOMASA, REŻYSER

Jest już gotowy mój kolejny film „Sala samobójców. Hejter". Film jest o hejcie w ogóle, ale pokazuje pogardę środowisk posiadaczy oraz frustrację i nienawiść w środowiskach nieuprzywilejowanych. Rdzeniem tego filmu jest bohater, który zaczyna przygotowywać zamach na prezydenta miasta. Zdjęcia skończyliśmy w grudniu 2018 r., a prezydent zginął 13 stycznia 2019 r. Ten zamach był jedyną rzeczą w filmie, który był absolutnie *political fiction*. Co więcej, imię filmowego prezydenta to Paweł, a imię zamachowca to Stefan. Naprawdę. To jest wszystko trudne do wytłumaczenia. Scenarzystą jest Mateusz Pacewicz. Co więcej, data premiery wpisana do dystrybucyjnych papierów ponad rok temu została zaplanowana na 13 stycznia 2020 r., dokładnie w rocznicę zamachu. Mam z tym problem, jednak stało się tak, jakby rzeczywistość nas chciała gonić.

TYGODNIK ANGORA

PROF. WOJCIECH MORAWSKI, SZKOŁA GŁÓWNA HANDLOWA

Wisi nad nami kryzys, który może wybuchnąć w Chinach. Rynek tego kraju ma ponad 1,3 mld konsumentów i wydaje się nieograniczony, ale któregoś dnia przekonamy się, że tak nie jest, że doszliśmy do ściany. Obawiam się, że ta ściana może być już blisko. Z prof. Jachowiczem przewidywaliśmy, że w 2007 r. wybuchnie kryzys, tyle że zacznie się nie w USA, ale w Chinach. Uważam, że będzie to bliżej jednego roku niż 20 lat.

charaktery magazyn psychologiczny

XAWERY ŻUŁAWSKI, REŻYSER

Patrzę na moje nastoletnie dzieci i widzę, że wielkie firmy typu Google, Apple niszczą nam to młode pokolenie, stwarzając im kolorowy, atrakcyjniejszy świat na ekranie niż ten za oknem – i niewiele z tym można zrobić. Jako rodzic przynajmniej nie czuję się w tym problemie osamotniony, bo wszyscy go mamy. Myślę, że tu jest zadanie dla młodych – wyrwać się z bycia *online*. To jest ich rewolucja. Albo ocalą w sobie *homo sapiens*, albo staną się matriksowymi glistami. Mam nadzieję, że zrozumieją, jak to rujnuje ich świat.

Każdy ma prawo do świętowania. Z okazji Halloween zwierzęta w zoo rozkoszują się smakołykami. Whipsnade w Wielkiej Brytanii.

FOT. BEW PHOTO

Aby język giętki…

JERZY STUHR O CHRZCIE POLSKI

Czy chrzest jest nieważny, bo Mieszko I brał chrzest, gdy Watykanem rządziły prostytutki?

JERZY BACZYŃSKI O WYBORACH

5 mln zagłosowało na KO mimo tego, że sama kampania to była katastrofa.

WITOLD JURASZ O PO

PO jest słaba i nie ma żadnego planu, gdyż partia została wyjałowiona najpierw przez Tuska, a teraz przez Schetynę.

DANIEL PASSENT O JANUSZU RUDNICKIM

Wrzucił Kosińskiego do kloaki i sam do niej wpadł.

KRZYSZTOF TREBUNIA-TUTKA O GÓRALACH

Po raz pierwszy w historii górale w ciągu kilkudziesięciu lat doszli z poziomu głodu do poziomu milionerów.

MAREK BOROWSKI O WYBORACH DO SENATU

Sforsowaliśmy drzwi do gmachu demokracji, ale na razie weszliśmy tylko na pierwsze piętro.

OLGA TOKARCZUK O BIBLIOTECE

Odziedziczyłam dużą bibliotekę po rodzicach i dodałam swoją. Mój mąż ma swoją bibliotekę w sąsiednim pokoju.

EWA LIPSKA O MIŁOŚCI

Moja miłość należy tylko do mnie i jest jedyna – jak linia papilarna.

LECH JANERKA O ŻONIE BOŻENIE

Myśmy się dobrali jakimś cudem. Jesteśmy ze sobą tyle lat i raz żeśmy się pokłócili.

PIOTR STRAMOWSKI O EMOCJACH

Żyjemy w czasach, kiedy faceci mogą w końcu okazywać emocje. Kiedyś było to trudniejsze i wstydliwe.

ANNA STARMACH O ZAPACHU CÓRECZKI JAGNY

Słodki, mleczny, lekko waniliowy, z nutą brzoskwini, mango, odrobiną róży.

BORYS SZYC O SOBIE

Miałem cudowną, szaloną młodość zakończoną chorobą alkoholową.

eprasa.pl a9160c3526

Należy się jak psu all inclusive

Do 25 października portal turystyczny Snaptrip przyjmował zgłoszenia psów zainteresowanych karierą influencera. Rekrutacja ma na celu wyłonienie dwóch czworonogów, które wraz z opiekunami odbędą 10 podróży po Wielkiej Brytanii i będą testować dostępne atrakcje. Każda wyprawa będzie relacjonowana przez pana lub panią w mediach społecznościowych, a zwieńczy ją recenzja danego miejsca pisana z perspektywy pupila (walory spacerowe, oferta lokali gastronomicznych przyjaznych zwierzętom itd.). Psy i ich ludzie poza darmowymi wycieczkami otrzymają także honoraria autorskie. Bo wakacje wakacjami, ale do miski trzeba mieć co włożyć.

Twarz na sprzedaż

Jeśli wyglądasz uprzejmie i przyjaźnie, możesz zarobić 128 tys. dol. Tyle otrzyma osoba, której wizerunek zostanie wykorzystany do „nadania twarzy" humanoidalnemu robotowi asystującemu seniorom. Geomiq, londyńska firma, która współpracuje przy tajemniczym projekcie, zaznacza, że więcej szczegółów zostanie ujawnionych kandydatom, którzy przejdą do kolejnego etapu. Wyraża jednocześnie nadzieję, że robot wkrótce będzie publicznie dostępny i że wywoła prawdziwą sensację. Oby, bo jeśli premiera wynalazku przejdzie bez echa, jego twórcy zupełnie stracą twarz…

Kto dziś na kolację?

Brytyjski kanał telewizyjny Channel 4 przygotowuje się do emisji nowego *reality show*, zatytułowanego „Meat the Family" (w wolnym tłumaczeniu: „Rodzinne smaki"). Uczestniczące w nim rodziny dostały pod opiekę zwierzę, którym troskliwie zajmowały się przez trzy tygodnie, po czym zostały poproszone o przyrządzenie z niego kolacji. Mogły odmówić i ocalić nowego domownika, lecz tylko pod warunkiem, że zadeklarują przejście na wegetarianizm. Jak wyjaśnili przedstawiciele stacji, program ma sprowokować uczestników i telewidzów do refleksji nad moralną stroną jedzenia mięsa.

Celujący pomysł na biznes

Więzienie Tihar w Delhi, zwane indyjskim Alcatraz, otwiera się na turystów. Placówka, w której przebywa obecnie ponad 16 tys. osób, kończy właśnie budowę jednoosobowych cel gościnnych. Odwiedzających czeka typowy dzień więźnia: spanie na podłodze, wczesna pobudka, prace fizyczne i porządkowe, udział w zajęciach resocjalizacyjnych, takich jak medytacja czy joga itd. Turyści zetkną się też z osadzonymi, którzy wcześniej wyróżnili się dobrym sprawowaniem. Doba pełna atrakcji kosztuje zaledwie ok. 2 tys. rupii (nieco ponad 110 zł).

Kartonówka zamiast kartkówki

Pomysłowość kwitnie także w indyjskim szkolnictwie wyższym. Studenci Bhagat Pre-University College w Haveri zdawali egzamin pisemny z chemii w kartonowych pudłach na głowach. Bardzo ograniczały one pole widzenia, co miało uniemożliwić ściąganie. Gdy zdjęcia z testu stały się popularne w internecie, resort edukacji upomniał placówkę. Ta broniła się, twierdząc, że „to tylko eksperyment", a zakładanie pudeł nie było obowiązkowe.

Technologie na szóstkę

Znacznie bardziej zaawansowane technologie testowane są w chińskiej oświacie. 10 tys. uczniów nosiło tam stworzone przez amerykański start-up opaski analizujące fale mózgowe. W czasie rzeczywistym monitorowały one poziom ich koncentracji oraz informowały o nim prowadzącego lekcję; dostęp *online* do wyników mają też rodzice. Nauczyciele twierdzą, że dzięki opaskom dzieci są bardziej zdyscyplinowane i aktywne podczas zajęć, co wpływa na

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl a9160c3526

Kiedy role obserwowanych i obserwujących się odwracają… Harrismith, Republika Południowej Afryki.

lepsze wyniki w nauce. W chińskich szkołach pojawiły się także m.in. mundurki z chipami pozwalającymi na lokalizowanie uczniów oraz kamery sprawdzające, jak często spoglądają oni na smartfony lub ziewają.

Zapłacono w naturze

Mohammad Rafique, elektryk z Pakistanu, wniesie oskarżenie przeciwko mężczyźnie, który zamiast wypłacić mu wynagrodzenie za wykonaną pracę, poszczuł go… swoim lwem. Z pomocą przyszli przechodnie, którzy usłyszeli krzyki pechowego fachowca. Rafique domaga się nie tylko zapłaty za wykonaną pracę, ale również zadośćuczynienia za obrażenia twarzy i ramion. Właściciel zwierzęcia został zatrzymany i odpowie za spowodowanie obrażeń przy użyciu „niebezpiecznej broni lub środków".

Z muszli do karafki

Restauracja Gust'eaux w belgijskim miasteczku Kuurne serwuje gościom wodę z… toalet, a także zużytą do zmywania naczyń. Rzecz jasna przed podaniem na stół jest ona kompleksowo oczyszczana z wykorzystaniem m.in. roślin, filtrów membranowych oraz węgla aktywnego. Co więcej, są do niej dodawane minerały. Podobne systemy, będące odpowiedzią na nasilające się w skali globu deficyty wody pitnej, działają już w Perth w Australii, w Singapurze i w Los Angeles.

▪ W 1927 roku Charles King, zwycięzca wyborów prezydenckich w Liberii, zdobył ponad 200 tysięcy głosów. Uprawnionych do głosowania było 15 tysięcy osób.

TYGODNIK ANGORA PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

ŚWIAT, KTÓRY ZADZIWIA

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA , ANONIMOWY INTERNAUTA, MARTA FREJ, FORUM

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl a9160c3526

VEE SPEERS
Dystopia

Czerpiąc z mrocznych opowieści i mitologii, legend, oper i biblijnych przypowieści, artystka podaje w wątpliwość wolność w świecie, w którym żyjemy. Urodziła się w Australii, mieszka w Paryżu, który jest dla niej miejscem o niewyczerpanym potencjale. Studiowała sztuki piękne i fotografię w Brisbane, pracowała też w telewizji ABC w Sydney jako fotosistka filmowa. W latach 90. była asystentką najlepszych fotografów mody, ale ta wkrótce ją znudziła i zaczęła się inspirować dziełami filmowymi. Wystawiała prace w muzeach, galeriach, na festiwalach i targach sztuki na całym świecie. Jej zdjęcia publikowane były na okładkach wielu magazynów.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

epressa.pl a9160c3526

TEATR CAPITOL

Wystrzałowy Sylwester

Przywitaj Nowy Rok w capitalnym stylu!

O co biega?

PREMIERA WRZESIEŃ 2019

TEATR CAPITOL Duża Scena

START 17:00
W wydłużonej przerwie spektaklu poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:00
- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 160 zł

Wykrywacz kłamstw

TEATR CAPITOL Scena Mniejsza

START 18:00
W wydłużonej przerwie spektaklu poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:30
- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 130 zł

Akt równoległy

PREMIERA LISTOPAD 2019

Multikino
Multikino Ursynów Al.Komisji Edukacji Narodowej 60

START 20:30
- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

Skok w bok

Multikino
Multikino Ursynów Al.Komisji Edukacji Narodowej 60

START 21:00
- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

• KUP BILET • Bilety już od 130 zł! • www.teatrcapitol.pl •

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl a9160c3526

Sprawdzamy na własnej skórze!
Testujemy, doradzamy co się opłaca.

WP finanse
w nowej odsłonie!

eprasa.pl a9160c3526